

Miranda Jarrett

Domgry

Rozdział pierwszy

Penny House

St. James Square, Londyn 1805

Tego wieczoru Eliot Fitzharding, książę Guilford, przebywał samotnie w salonie na tyłach Penny House, rozkoszując się szklaneczką doskonałej brandy i błogą ciszą, która działała na niego jak balsam po rozgardiaszu wesela. Wszyscy goście weselni już dawno wyszli, służba chyba również udała się na spoczynek. Cieplarniane kwiaty wędły w wazonach, na kominku dogasał ogień, pozostawiając po sobie szary popiół, nawet wiele świec w kandelabrach wypaliło się już do końca i przestronny, elegancki salon pogrążył się w mroku.

Większość dżentelmenów w tej sytuacji powiedziałyby dobranoc i udałyby się do domu. Guilford, ku rozpacz swej zmarłej matki, różnił się od większości dżentelmenów, więc i teraz zamiast wyjść, usadowił się wygodnie w fotelu i wyciągnął długie nogi.

Do pokoju weszła znużona pokojówka i z ziewaniem zaczęła metalowym stożkiem na kiju gasić ogarki świec w żyrandolu pod sufitem. Kończyła już, gdy dostrzegła Guilforda.

- Wasza Wysokość! - zawołała, dodając dla większego efektu przenikliwy pisk. - Ależ mnie pan przestraszył!

- Wybacz, moja miła - mruknął i uśmiechnął się tak, że biedna dziewczyna zarumieniła się i zaczęła kręcić w dłoniach kij ze stożkiem.

Rozpoznała go; był nie tylko ozdobą salonów w najlepszych domach Londynu, ale i uprzywilejowanym członkiem klubu, stałym bywalcem, który zasłużył sobie na szczególne względy również i tym, że niekiedy beztrudnie stawiał wysokie stawki, tak od niechcienia.

- To ja... ja powinnam prosić o wybaczenie, Wasza Wysokość! - wyjąkała.

- Nie chciałem cię przestraszyć.

Pokojówka poniewczasie przypomniała sobie o ukłonie i dygnęła.

- Może coś podać, Wasza Wysokość? Ogień w kuchni został już wygaszony, ale jeśli ma pan na coś ochotę, to pani Todd na pewno...

- Pani Todd, a nie panna Bethany, niestety.

Bethany Penny była jedną z trzech siostr, do których należał klub dla dżentelmenów, zwany Penny House. To ona nadzorowała kuchnię i w dziedzinie przyprawiania potraw i pieczenia ciast z powodzeniem mogła stanąć do rywalizacji z francuskimi kucharzami króla. Sztuka kulinarna przegrała jednak z naturalnymi pragnieniami kobiety, czego jej starsza siostra nie potrafiła zrozumieć.

- Jak ja przeżyję bez pieczonej gęsi panny Bethany i jej ostryg?

Pokojówka spojrzała na niego niepewnie.

- Panna Bethany wróci do nas, Wasza Wysokość. Wyjechała tylko w podróż poślubną ze swoim majorem.

- Och, ten major - mruknął Guilford melancholijnie. Bethany Penny to przecież tylko kolejna, ślepo zapatrzona w męża panna młoda, która natychmiast po ślubie zapragnie dać mu potomka. - Słabo go znam, ale on na pewno nie potrafi docenić, jaką mistrzynią sztuki kulinarnej pojął za żonę.

- Pan major, lord Callaway to prawdziwy dżentelmen i kocha pannę Bethany do szaleństwa - odparła pokojówka. - Wystarczyło zobaczyć wyraz jego oczu w czasie ślubu.

- Niezrównany smak zupy żółwiowej panny Bethany jest wart więcej niż jakaś tam miłość. - Guilford doceniał lojalność dziewczyny względem pracodawczyni, choć raził go jej czułościowy sentymentalizm. - Nie, dziękuję, moja miła. Niczego nie potrzebuję, dajmy kuchni odpocząć. Dokończ swoją pracę.

- Jak pan sobie życzy, Wasza Wysokość. - Popatrzyła na niego niepewnie, jeszcze raz dygnęła i wróciła do gaszenia świec. Potem wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Gdzieś w głębi domu zegar wybił drugą.

Podwójne drzwi salonu otwały się i stanęła w nich kobieta. Światło padało na nią z tyłu, więc Guilford widział tylko zarys sylwetki, ale to wystarczyło, by ją rozpoznał. Ten wysoki wzrost, białe pióro wpięte w wysoko zaczesane włosy, dumna postawa - to mogła być tylko panna Amariah Penny.

- Wasza Wysokość - powiedziała uprzejmie, choć stanowczo. Nie wychodziła z roli nienagannej gospodyni Penny House nawet o tak późnej porze i po tak ciężkim dniu. - Mogę zapytać, czy coś się stało?

- Może pani zapytać, panno Penny - odparł Guilford i uśmiechnął się - a ja odpowiem. Nie stało się nic złego i wszystko jest w idealnym porządku. Szczególnie od chwili, gdy pani się mną zainteresowała.

Nie zareagowała na komplement, jak zwykle.

- Czemu więc Wasza Wysokość kryje się w mroku i straszy mój personel?

- Wcale się nie kryję - oświadczył. - Po prostu siedziałem tu tak długo, aż pogrążyłem się w mroku.

- Siedząc tu, przeoczył pan zapewne, że wszyscy już wyszli. Czy mam wezwać pański powóz?

Guilford uśmiechnął się szerzej i rozkołysał brandy w szklance. Amariah Penny nadal miała na sobie ozdobioną u dołu srebrzystym haftem powiewną suknię, w której wystąpiła na ślubie. Na pewno nie zdawała sobie sprawy, że padające z tyłu światło przenikało przez zwiewną tkaninę, dzięki czemu wyraźnie widział zarys jej zgrabnych nóg.

- Wszyscy wyszli poza panią, panno Penny i mną - zauważył. - Byłbym grubianinem, gdybym w tej sytuacji zostawił panią samą.

- Personel jest już bardzo zmęczony, chciałabym zamknąć dom na noc.

Nie wstając z miejsca, przysunął drugi fotel do swojego.

- Proszę usiąść i dotrzymać mi towarzystwa.

Amariah westchnęła ciężko, zdradzając tym samym, że jest równie zmęczona, jak jej personel, choć nie chciała się do tego przyznać.

- Wasza Wysokość doskonale wie, że nie mogę tego zrobić. To klub dla dżentelmenów, a nie dom schadzek.

- Dzisiaj występuję tu nie jako bywalec klubu, ale jako gość weselny pani siostry.

Pochyliła głowę, wyraźnie stropiona. Siostry mieszkały na najwyższym piętrze Penny House, zacierały się więc granice między ich prywatnym domem a klubem, w którym bywało dobrane grono dżentelmenów, dla rozrywki przepuszczających znaczne sumy na alkohol i hazard.

Ambitna Amariah Penny wyszła jednak z tej roli, zapraszając najbardziej wpływowych bywalców klubu na ślub siostry, bo zaliczyła ich tym samym do najbliższych przyjaciół rodziny. Guilford zdawał sobie sprawę, że zrobiła to wyłącznie po to, by zacieśnić więzy z ludźmi, dzięki którym Penny House stał się ekskluzywny. W taki sposób działał całkiem nie kobiecy umysł Amariah, która nigdy nie przegapiła okazji, by rozreklamować Penny House i zwiększyć jego zyski.

- Może się pani przyznać do zmęczenia. - Zachęcająco poklepał sąsiedni fotel. - Jak każda kobieta.

Gniewnie uniosła głowę.

- Nie jestem taka jak inne kobiety, Wasza Wysokość. Zaraz każę podjechać pańskiej karecie...

- Wie pani, że u White'a stanął zakład, iż pani jako jedyna z sióstr Penny nie wyjdzie za mąż? - zapytał, leniwie przeciągając samogłoski. - Nie z braku urody czy wdzięku, bo tych z całą pewnością pani ma aż nadto, ale dlatego, że poślubiła pani ten klub, a żaden mężczyzna nie chciałby grać drugich skrzypiec.

- Nie bez powodu nie próbowałam dziś złapać ślubnego bukietu rzuconego przez moją siostrę.

- Zauważyłem - stwierdził sucho Guilford. - Ostentacyjnie trzymała się pani z dala od piszczących panien, które wyciągały ręce po zdobycz.

- A co w tym złego? - zapytała Amariah. - Prawie wszystkie zyski z Penny House przeznaczamy, zgodnie z ostatnią wolą naszego zmarłego ojca, na dobroczynność. Ilekroć panowie oddają się u nas hazardowi, przyczyniają się do zapewnienia schronienia, pożywienia i ubrania ubogim. I to znacznie hojniej niż czynicie to, dając na cele charytatywne.

- Nieprawda - zaprzeczył sucho Guilford, nieinteresujący

się losem biednych i głodnych. Siostry Penny były córkami pastora, podejrzewał jednak, że w głębi duszy były równie merkantylnie nastawione, jak wszyscy.

- Dlaczego miałabym pragnąć wyjść za męża, żeby uszczęśliwić jednego mężczyznę, skoro zostając tutaj, mogę robić tyle dobrego dla tak wielu?

- Ponieważ jest pani kobietą - wyjaśnił Guilford bez namysłu. - Mimo najszczerzej chęci nie zdoła pani wszystkiego zrobić sama, a już z całą pewnością nie zbawi pani całego świata. Nie ocali pani nawet nędzarzy z samego Londynu. Dobroczynność to, oczywiście, bardzo szlachetne zajęcie dla damy, ale dom, mąż i dzieci zawsze powinny stać na pierwszym miejscu. Każda kobieta ma to we krwi. Nawet pani, panno Penny, nie może zmienić natury.

- I o to stają zakłady u White'a, Wasza Wysokość? - zapytała podejrzliwie. - Jestem uważana za... dziwolągą?

- Nie dziwolągą. O ile pamiętam, użyto terminu: jędza.

- Mieli czelność nazwać mnie jędzą? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Jędzą?!

Guilford znał ją od prawie roku, kiedy to zjawiła się w Londynie nie wiadomo skąd i otworzyła Penny House, ale nigdy dotychczas nie zdarzyło mu się widzieć, by zawsze opanowana i nienagannie wychowana panna Penny straciła nad sobą kontrolę i dała się ponieść emocjom.

- Jędzą?! - powtórzyła, jakby czuła przymus powtarzania raz za razem tego nienawistnego słowa. - Kto śmiał mnie tak nazwać?

- Skąd mam wiedzieć? - Ponieważ najwyraźniej nie zamierzała usiąść, więc Guilford z westchnieniem wstał z fotela. - Nie jestem wszechwiedzący.

- To pan wie na pewno - odparowała bez namysłu.

- Przypisuje mi pani nazbyt duży zasób wiedzy, panno Penny. - Oczywiście znał nazwisko osobnika, który określił ją mianem jędzy w księdze zakładów u White'a; tak się złożyło, że był nim on sam. - Zgadzam się z opinią, że jestem niezwykle mądry i przenikliwy, niestety, nawet ja nie wiem wszystkiego.

Amariah skrzyżowała ramiona na piersi i dumnie uniosła głowę, jakby to ona patrzyła na niego z góry, a nie odwrotnie.

- Pana nikt nie nazwał jędzą.

- Bo nie mógł - zauważył. - Jędza ze swej istoty musi być płci żeńskiej.

- Jędza i stara panna! - zauważyła Amariah z niesmakiem. - Pewnie powinnam teraz pobiec na most Westminster i rzucić się w odmęty Tamizy, żeby uwolnić świat od takiej hańby.

Guilford roześmiał się głębokim, niskim śmiechem.

- Jest pani jeszcze zbyt młoda, by posuwać się do tak drastycznych środków.

- Doprawdy? - Spojrzała na niego wyzywająco. - Mam dwadzieścia sześć lat, Wasza Wysokość.

- Moje gratulacje. W tej rozgrywce jednak to ja jestem górą. Mam dwadzieścia dziewięć lat.

- I co z tego? - rzuciła kpiąco i machnęła ręką z lekceważeniem. - Panu nikt nie wmawia, że przegrał pan życie, bo nie ma pan żony i dzieci.

- Prawdę mówiąc, słyszę to dość często - przyznał Guilford, przypominając sobie pretensje niektórych członków rodziny, że nie postarał się o dziedzica tytułu. - Małżeństwo i co najmniej tuzin dzieci to w powszechnym mniemaniu również najlepszy scenariusz dla lordów.

Stała z przechyloną na bok głową, przyglądając mu się spod rzęs.

- Nie rozumiem, dlaczego mi pan o tym mówi-

- Aby pani pokazać, że wbrew pozorom mamy ze sobą dużo wspólnego.

- Wątpię, Wasza Wysokość. Pan urodził się dziedzicem tytułu i znacznej fortuny, natomiast ja jestem córką wiejskiego proboszcza. To sprawia, że mamy ze sobą bardzo niewiele wspólnego.

- Wystarczająco dużo.

Wbrew jego oczekiwaniom Amariah się nie roześmiała. Skrzyżowała ręce na piersi, jakby chciała stworzyć pomiędzy nimi barierę.

- Podejrzewam, że nie jest pan ze mną całkiem szczery.

Wpisany przez niego do księgi u White'a zakład dotyczący małżeństwa panny Penny to był zaledwie początek. Już bardziej kameralnie założył się z przyjacielem - i to o znacznie wyższą stawkę - że żaden śmiertelnik nie zdoła jej uwieść. Guilford zamierzał nie tylko wygrać ten zakład, ale jeszcze zdobyć sobie prawo wstępu do sypialni jędzy.

- Sądzę, że i pani nie była ze mną całkiem szczerą, panno Penny - rzekł niskim, ochrypłym szeptem, który przyprawiał większość kobiet o dreszcze. - Pod tym względem również jesteśmy do siebie podobni, prawda?

Zmarszczyła brwi.

- Wasza Wysokość, nie widzę, w czym...

- Ciii - szepnął. Wystudowanym ruchem sięgnął po jej dłoń i splótł ich palce. - Niech pani rozważy podobieństwa, a nie różnice, moja słodka.

- W tej chwili rozważam, czy nie nazbyt długo wysłuchiwałam tych niedorzeczności, Wasza Wysokość, i czy nie pora wezwać strażników. - Zręcznie uwolniła dłoń. - Chyba pan ich jeszcze nie widział. Wielkie chłopiska, małomówne, ale

wysokie i muskularne, i bardzo dbałe o moje dobro. Z pewnością poczują się zaszczytzeni, mogąc wyprowadzić pana z tego domu.

Guilford uśmiechnął się czarująco.

- Jest pani bardzo surowa wobec przyjaciół, panno Penny.

- I tu popełnia pan błąd, Wasza Wysokość. Jestem panią i właścicielką tego klubu, pan natomiast jednym z jego najbardziej szanowanych członków. Zażyłość to nie przyjaźń, o przyjaźni między nami nie ma i nie może być mowy.

- Jak mógłbym przyjąć tak okrutną odprawę?

- Stoi pan na czele komitetu członkowskiego, Wasza Wysokość - przypomniała mu delikatnie, jakby cierpiał na starcze zdziecinnienie. - Może powinien pan przypomnieć sobie obowiązujące wszystkich członków zasady zachowania, których nieprzestrzeganie może spowodować wyproszenie z klubu. Nie chciałabym rozstać się z panem w taki sposób.

Guilford przeniósł dłoń na gors koszuli, jakby chciał wygładzić wspaniałe holenderskie płótno.

- Ach, panno Penny - powiedział z łagodną wymówką. - Chyba nie mogłaby mi pani tego zrobić?

- Gdyby pan znał mnie tak dobrze, jak pan twierdzi, to nie miałby pan wątpliwości, że jeśli spróbuje pan skompromitować mnie, kogoś z personelu lub sam Penny House, właśnie to zrobię. - Amariah uśmiechnęła się słodko. - A teraz, jeśli Wasza Wysokość pozwoli, każę, by pański powóz podjechał przed główne wejście.

Nie pozwoli jej zwyciężyć. Nieważne, co do niego czuła, zamierzał wygrać ten cholerny zakład.

Rozdział drugi

- Czy na pewno chce pani tu zostać dzisiejszej nocy całkiem sama, panno Penny? - Pratt, zarządca Penny House, zawahał się na progu jej prywatnych pokojów. Obserwował, jak Amariah zapala świece w stojącym na biurku lichtarzu. - Może przyślę jedną z pokojówek, żeby dotrzymała pani towarzystwa?

- Dziękuję, ale naprawdę mogę tu zostać sama.

- Ale, panno Penny, jeśli...

- Już powiedziałam, że wszystko będzie w porządku. - Amariah zdmuchnęła patyczek, którym rozpałała świece. - Jesteś mi potrzebny w roli zarządcy klubu, a nie osobistego strażnika.

- Dobrze. - Pratt westchnął z rezygnacją i skłonił się zamasyście, aż w powietrzu zamigotały drobiny białego pudru z jego peruki. - Dobranoc, panno Penny.

- Dobranoc, Pratt - powiedziała miękko. - Jeszcze raz dziękuję za dodatkową pracę związaną ze ślubem panny Bethany, a właściwie lady Callaway. Ciekawe, kiedy wreszcie się do tego przyzwyczaję?

- Przyzwyczaj się pani - zapewnił Pratt i skłonił się ponownie. - Dobranoc.

Cicho zamknął za sobą drzwi i Amariah po raz pierwszy tego jakże długiego dnia została sama. Wreszcie mogła poddać się zmęczeniu i z głośnym ziewnięciem opaść na fotel przy biurku. Przyniesionym z dołu obrusem okryła ramiona jak szalem, kopniakiem zrzuciła z nóg pantofle, wyjęła z włosów białe rajskie pióro i spinki, a kiedy rozpuszczone włosy opadły jej na plecy, przeczesła je palcami. Przyniosła fotel bliżej do biurka, nalała sobie herbaty z przyniesionego przez Pratta dzbanka i z westchnieniem sięgnęła po stos listów, kart i rachunków, którymi należało się zająć. W związku ze ślubem Bethany klub był zamknięty wczoraj i dzisiaj, ale obowiązki związane z prowadzeniem Penny House zdawały nigdy się nie kończyć.

Szybko przejrzała korespondencję, segregując ją według ważności. Prowadzenie kancelarii parafialnej ojca było znacznie mniej skomplikowane niż takiego przedsiębiorstwa, jak Penny House, przygotowało ją jednak do działalności handlowej i prowadzenia księgowości, całkowicie obcej większości młodych dam. Amariah wniosła do Penny House umiejętność bilansowania wydatków i dochodów oraz stanowczość wobec kupców, Bethany rozstawiła klubowe kolacje dzięki talentom kucharskim, natomiast smykałka Casii do wynajdowania prawdziwych skarbów na wyprzedażach pozwoliła przekształcić ogromną landarę, jaką był Penny House, gdy siostry go odziedziczyły, w najbardziej elegancki salon gier w Londynie. Największą satysfakcję dawała im świadomość, ile pieniędzy zarabiały codziennie na cele charytatywne, zgodnie z ostatnią wolą ojca. Amariah czuła się niemal jak Robin Hood, który odbierał bogatym i dawał biednym.

Z uśmiechem zanurzyła pióro w kałamarzu, rozpamiętując, jak to trzy siostry z prowincji udowodniły niedowiarkom, że nie mieli racji. Teraz jednak małżeństwa sprawiły, że z trzech panien Penny pozostała tylko jedna i na jej barkach spoczywał cały ciężar prowadzenia klubu. Chociaż bardzo starała się skoncentrować na leżącej przed nią kartce, to litery rozmazywały jej się przed oczami, a myśli pobiegły w niepożądanym kierunku.

Księżę nie był pierwszym dżentelmenem, który próbował nawiązać bliższe kontakty z nią bądź z jej młodszymi siostrami, i niewątpliwie nie ostatnim, bo członkowie klubu wywodzili się ze środowiska, w którym mężczyźni od urodzenia przywykli dostawać to, na co im przyjdzie ochota. Guilfordowi udało się jednak ją zaskoczyć. Dotychczas droczył się z nią, prawił jej komplementy, żartował, ale to wszystko. Nic dziwnego, że stał się jej ulubionym bywalcem. Szanował ją i jej rolę w Penny House. Rozumiał, dlaczego musiała dbać o nieposzlakowaną opinię, być nieskazitelna jak żona Cezara - ze względu na dobro klubu. Raz nawet wystąpił w obronie Cassii, gdy któryś z gości narzucał się jej z niechcianymi awansami.

Teraz to uległo zmianie. Amariah odsunęła fotel od biurka i w samych pończochach podeszła do okna, obrus zwiisał jej z ramion jak złożone skrzydła. Rozsunęła zasłony z adamaszku i spojrzała na niewielkie zamknięte podwórko klubu, na kryte łupkiem londyńskie dachy i kominy. Na niebie świeciły jeszcze gwiazdy, ale horyzont na wschodzie zaczynał już się rozjaśniać. Setki osób w tym mieście rozpoczynały pracę: piekarze, mleczarze, handlarze ryb, chłopcy stajenni, pomywaczki. Amariah spoglądała na szczyty dachów i czuła się tak, jakby w całym mieście tylko ona jedna czuwała.

Dlaczego Guilford czekał na nią w mroku, jakby salonik był przytulnym gniazdkiem dla uwodziciela i jego ofiary? Patrzył na nią z uśmiechem, od którego w jednym policzku robił mu się uroczy dołeczek, ciemne włosy niedbale opadły na czoło, głęboki głos zdawał się być stworzony do doprowadzania kobiet do szaleństwa.

Przyłożyła dłoń do chłodnej szyby. Była tak zmęczona, że bolały ją nawet kości. Pewnie dlatego przychodziły jej do głowy takie myśli, dlatego snuła nierealne marzenia o mężczyźnie, który jest dla niej nieosiągalny.

- To jest to - oświadczył Guilford i dla podkreślenia swoich słów popukał w ladę jubilera.

- Wasza Wysokość doskonale wie, czym sprawić przyjemność kobiecie.

Pan Robitaille kiwnął głową i pieszczotliwie pogładził palcem rubiny bransoletki. Jako jeden z najpopularniejszych i oczywiście najdroższych jubilerów na Bond Street, znał kobiece upodobania. Bransoletka była naprawdę uroczym drobiazgiem: rubinowe płatki kwiatów okalały śródeczki z pereł. To powinno zaskarbić Guilfordowi życzliwość panny Amariah Penny. Klejnoty nigdy nie zawodziły.

- Każdy przedmiot z tego sklepu ucieszyłby damę, Robitaille - zauważył z uśmiechem. - Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Która dama nie lubi rubinów?

Robitaille zachichotał.

- Ma pan rację, Wasza Wysokość, całkowitą rację. Mam to wysłać do panny Danton, jak zwykle?

- Niestety, nie. Charlotte Danton porzuciła mnie dla zwycięzcy Derby Hunt.

- Nie wierzę, by jakakolwiek dama mogła pana porzucić.

- A jednak - zapewnił Guilford.

Prawdę mówiąc, znudził się Charlotte w tym samym czasie, co ona nim, ponieważ jednak to ona pierwsza zeszła z pokładu ich tonącego okrętu, czuł się wolny od zobowiązań, zarówno uczuciowych, jak i finansowych. Nic dziwnego, że poszukał sobie nowej rozrywki w postaci zakładu o Amariah Penny.

- Łączę się z Waszą Wysokością w bólu po tej stracie. - Robitaille pochylił głowę ze współczuciem i przybrał zboląłą minę niczym zawodowa płaczka. Jakby tknięty nową myślą, zerknął na trzymaną w dłoni bransoletkę. - Czy mogę zapytać, dokąd przesłać ten drobiazg?

- Do Penny House, na St. James. Dla panny Amariah Penny.

Robitaille otworzył usta ze zdumienia.

- Dla panny Amariah Penny z Penny House? Wasza Wysokość mnie zdumiewa!

- Sądzi pan, że panna Penny nie jest warta mnie, Robitaille, czy że ja nie jestem jej wart?

- Ani jedno, ani drugie - zapewnił pospiesznie jubiler. - Panna Penny to... inny typ damy, prawda?

- Jest córką pastora, ma ogniste rude włosy i dość oleju w głowie, by zarobić na swoje utrzymanie - powiedział Guilford i uśmiechnął się na wspomnienie, jak ją wczoraj rozzłościł. - To rzeczywiście spora odmiana w stosunku do moich poprzednich flam.

Jubiler odłożył bransoletkę do wykładanego jedwabiem pudełeczka i czubkiem palca wyprostował ogniwa, by tworzyły idealnie prostą linię.

- Ona nie przyjmie bransoletki, Wasza Wysokość - oświadczył stanowczo. - Ani panna Penny, ani żadna z jej siostr. Nie przyjmą prezentu z tego sklepu od żadnego dżentelmena.

- Co za nonsens, Robitaille! - obruszył się Guilford. - Co wieczór widzę ją w klubie obwieszoną biżuterią jak choinka. Chyba nie dostała tych brylantów i szafirów od swojego taty z plebanii.

Robitaille prychnął pogardliwie.

- To falsyfikaty. Dobrze, wykonane w Paryżu, ale jednak falsyfikaty.

Guilford nie odróżniał prawdziwej biżuterii od sztucznej, wierzył jednak w wartość i gotów był za nią płacić.

- Dlaczego, u licha, nosi sztuczną biżuterię, skoro stać ją na prawdziwą?

- Dobroczynność, Wasza Wysokość - stwierdził Robitaille z rezygnacją. - Ona nie chce nic dla siebie ani dla sióstr. Nie potrafię powiedzieć, ile klejnotów wysyłałem już dla panien z Penny House. Wszystkie nieodmiennie wracały.

- Ale nie były przesyłane przeze mnie - oświadczył Guilford z niezachwianą pewnością siebie. - Panna Penny i ja zawsze byliśmy w doskonałych stosunkach. Zakładam się, że ta bransoletka nie wróci.

Smętna mina jubilera zdradzała, że nie był w pełni przekonany.

- Skoro księżę tak twierdzi... - Zgiął się w uniżonym ukłonie. - Dziękuję za zamówienie. Zostanie niezwłocznie dostarczone.

- Dobrze.

Guilford odwrócił się od lady i uświadomił sobie, że właśnie zrobił kolejny zakład, tym razem z Robitaille'em: że bransoletka będzie pierwszym przyjętym klejnotem i będzie zdobiła śliczną, białą rączkę panny Amariah Penny.

Amariah obudziło pobrzękiwanie naczyń na tacy ze śniadaniem, dopiero później jej uszu dobiegł cichy głos pokojówki, Deborah.

- Dzień dobry, panno Penny - powiedziała Deborah, stawiając tacę na stoliku przy łóżku. - Obudziła się pani?

Amariah przewróciła się na plecy i odgarnęła włosy z twarzy. Wydawało jej się, że dopiero przed chwilą się położyła, miała ciężką głowę i piekące oczy, jakby wcale nie spała. Na pewno Deborah przyszła za wcześnie, to niemożliwe, by czas już wstawać.

- Która godzina? - zapytała sennym głosem.

- Wpół do pierwszej - odparła pokojówka przeproszającym tonem. - Na pewno jest pani zmęczona po weselu, ale pan Pratt powiedział, że urwałaby mu pani głowę, gdyby pozwolił pani dłużej spać.

- Pratt ma rację.

Udało jej się zebrać siły i usiąść w łóżku. W tym samym momencie Deborah odsłoniła okno i jaskrawe południowe słońce zalało pokój. Amariah z jękiem opadła znów na poduszki i ramieniem zasłoniła oczy.

- Przepraszam bardzo, ale pan Pratt mówi, że to jedyny sposób, by...

- Wiem, co pan Pratt mówi!

- Może łyk herbaty? - Deborah nalała parujący płyn ze srebrnego imbryczka do małej, porcelanowej filiżanki, dodała cukier, cytrynę i podała Amariah. - Proszę, pani ulubiona herbata.

- Dziękuję.

Amariah usiadła i ostrożnie wzięła spodeczek z filiżanką. Przesunęła pieśczośliwie palcami wzdłuż wytartego, zdobionego złotym szlaczkiem brzegu. Malowany w fioletowe

iryisy serwis był jedną z niewielu pamiątek, jakie zostały im po matce. Picie porannej herbaty z tej delikatnej porcelany przypominało Amariah o odległym dzieciństwie spędzonym w hrabstwie Sussex.

Pokojówka podniosła poduszki za plecami pani i postawiła tacę na łóżku.

- Proszę spojrzeć, panienko, pani Todd ugotowała jajka dokładnie tak, jak robiła to panna Bethany, to znaczy lady Callaway: z małymi przypieczanymi cebulkami z boku.

- Szalotki - powiedziała Amariah, melancholijnie spoglądając na talerz. - Takie specjalnie hodowane cebulki nazywają się szalotki.

Pani Todd, mistrzyni sztuki kulinarnej, przyrządziła śniadanie według przepisu Bethany, ale jednak nie było takie samo. I już nigdy nie będzie, bo nie zasiądą do posiłku we trzy z Bethany i Cassią. Śniadanie było jedynym posiłkiem, które siostry spożywały razem. Siedziały w nocnych koszulach przy kominku, śmiały się, plotkowały i omawiały plany na rozpoczynający się dzień.

Teraz Bethany i Cassia jadają śniadania z mężami, nalewają im herbatę i smarują masłem grzanki, podczas gdy ona pozostała w Penny House sama.

- Panno Penny?

Stojąca w drzwiach pomywaczka była nowa i bardzo młodziutka, kręciła w palcach rąbek fartuszka, a na jej twarzy malował się taki niepokój, jakby miała zaraz się rozpłakać.

- Co tu robisz, Sally? - skarciła ją Deborah. - Nie powinąś wchodzić na górę i zawracać głowy pannie Penny! Wracaj na swoje miejsce!

Oczy dziewczyny natychmiast napełniły się łzami.

- Ale pan Pratt powiedział...

- Co pan Pratt powiedział? - zapytała Amariah łagodnie. Wolała zdobywać lojalność personelu dobrocią, a nie strachem. - Czy coś się stało?

- Nie, panno Penny. Tylko to. - Dziewczyna wykonała niezgrabny ukłon i wyciągnęła rękę ze złożonym listem. - Zamiatalam kuchenne schody, panno Penny, i znalazłam go pod drzwiami. A pan Pratt kazał mi go zaraz przynieść do pani.

- Dziękuję. Dobrze zrobiłaś. - Amariah wzięła list z rąk dziewczyny i w jej sercu zrodziła się nagle irracjonalna iskierka nadziei.

Tylko dlaczego Guilford miałby zostawiać dla niej list pod drzwiami, zamiast wręczyć go służącemu? Dlaczego w ogóle miałby do niej pisać?

- Dziękuję ci, Sally - powiedziała Amariah. - Możesz odejść.

- Tak, panno Penny.

Dziewczyna wybiegła z wyraźną ulgą i Amariah została z listem w dłoni. Taki gruby, kremowy, najwyższej jakości papier produkowano na zamówienie najbogatszych klientów, nie dostrzegła jednak znaków wodnych ani pieczęci, będących wizytówką nadawcy. Amariah natychmiast zapomniała o niemądrych nadziejach; Guilford zbyt cenił swój tytuł, by zgodzić się na anonimowość.

List pozostawał więc zagadką. Na kartce widniało tylko jej nazwisko wypisane dużymi, drukowanymi literami, jakby nadawca chciał ukryć swój prawdziwy charakter pisma.

- To dziwne, prawda? - zapytała Deborah, która celowo zamarudziła dłużej, żeby popatrzeć. - Może na wszelki wypadek przyślę jednego z lokajów, zanim go pani otworzy?

- A po co? Czym mogłaby mi grozić kartka papieru? Zało-

żę się, że autor listu to wyjątkowy tchórz, skoro stara się ukryć swą tożsamość, ale ja się go nie boję.

Amariah zdecydowanym ruchem wsunęła palec pod płamę wosku ze świecy, którym zapieczętowano list i rozłożyła kartkę.

„Panno Penny!

Pragnę poinformować, że w pani sali hazardu działa wielki oszust i że zamierzam go zdemaskować oraz publicznie okryć hańbą i niesławą, jeśli pani tego nie zrobi.

Przyjaciel prawdy i honoru”

- Mam nadzieję, że to nie jest zła wiadomość - powiedziała Deborah, szykując ubranie.

- Nie, to tylko prowokacja - odparła Amariah, pospiesznie składając kartkę. List został napisany eleganckim, zdradzającym dżentelmena charakterem pisma. Postanowiła jak najszybciej odkryć tożsamość tego tchórza. - Powiedz Pratto wi, żeby zaraz posłał po Walthripa oraz po wszystkich lokajów i strażników, którzy w ciągu ostatnich dwóch tygodni pełnili służbę w salonie gry. Nie dopuszczę do skandalu w Penny House, szczególnie opartego na oszczerstwach tchórza, który nie ma odwagi pokazać twarzy.

W dwie godziny później Amariah stała u szczytu owalnego, mahoniowego stołu w sali gdy. Wysokie okna były szeroko otwarte, by przewietrzyć zaduch po wczorajszej nocy, a mimo to pokój zachował charakter przybytku nocnych hulank. Amariah przesuwiała wzrokiem po twarzach osób zgromadzonych wokół krytego zielonym sukniem stołu: niektóre były stare i pomarszczone, inne świeże i młode, ale wszystkie wyrażały zdumienie z powodu tak wczesnego wezwania do pracy.

- Przykro mi, że wyciągnęłam was z łóżek - zaczęła - ale miałam poważne powody. Otrzymałam dzisiaj list z oskarżeniem, że toleruję oszusta w klubie.

- To niemożliwe, panno Penny! - zawołał Walthrip.

Od dwudziestu pięciu lat pełnił funkcję szefa salonu gry i tak solennie podchodził do pracy, że Amariah wcale się nie zdziwiła, iż to on pierwszy zaprotestował. - Gra wymaga precyzji i skrupulatności, które wykluczają oszustwo.

- Chce pan powiedzieć, że w hazardzie oszustwo nie jest możliwe? - zapytała Amariah. - A może chodzi o to, że niemożliwe jest w Penny House?

Walthrip prychnął z oburzeniem.

- Nie istnieje taka wymyślona przez człowieka gra, w której inny człowiek nie potrafiłby oszukiwać - oświadczył. - W Penny House byłoby trudno dokonać oszustwa, naprawdę bardzo trudno.

- To prawda - potwierdził Pratt. - Jak pani wie, zarówno kości do gry, jak i kubki do rzucania zostały wykonane specjalnie na nasze zamówienie i żaden dżentelmen nie ma prawa posługiwać się własnymi kośćmi czy kubkami.

- Tak - potwierdził Walthrip. - Zmieniamy kości i kubki w trakcie wieczoru, jeśli szczęście zdaje się wyjątkowo sprzyjać jednemu z dżentelmenów. Wszystko robimy otwarcie, panienko, zgodnie z prawem. Niczego nie ukrywamy.

Amariah pochyliła się i przesunęła lekko dłonią po zielonym suknie, podzielonym żółtymi liniami na sektory.

- Czy stół mógł zostać w jakiś sposób zmieniony, by umożliwić kontrolę nad ruchem kości?

- Nie, panno Penny - odparł Talbot, najstarszy z lokajów. - Sukno stołu jest codziennie czyszczone i osobiście spraw-

dzane przez pana Walthripa. Nie ma żadnych nierówności ani wyrzuceń, które mogłyby faworyzować jednego z graczy.

- Proszę wziąć pod uwagę samą istotę gry, panno Penny. - Walthrip się pochylił. - Gdy jeden z graczy rzuca, kilku innych robi zakłady. Wpatrują się w niego jak sroka w gnat i gdyby zauważyli jakąkolwiek nieprawidłowość, rozszarpałyby go na strzępy.

- W minionym tygodniu żaden z was nie zauważył niczego niepokojącego? - upewniła się Amariah. Znowu powiodła wzrokiem po twarzach zebranych w pokoju, ale na żadnej z nich nie zauważyła nawet cienia skrępowania. - Nic dziwnego, nic zastanawiającego?

- Nic - podkreślił Walthrip. - To uczciwy hazard, panienko, kryształowo uczciwy.

Amariah skinęła głową. Niewiele wiedziała o grach, dzięki którym klub prosperował, więc musiała polegać na doświadczeniu i znajomości rzeczy zatrudnionych przez siebie ludzi. To, co usłyszała od Walthripa i pozostałych, przemawiało jej do przekonania, nie rozwiało jednak całkowicie obaw. Skandal, zapowiadany przez autora anonimu, mógł zrujnować Penny House, bo szukający w nim rozrywki dżentelmeni liczyli na dyskrecję. Jeżeli przestaną jej ufać, odejdą.

- Czy mogłaby pani zdradzić nam nazwisko oskarżyciela, panno Penny? - spytał Pratt.

- Sama go nie znam. - Amariah rozłożyła list na zielonym suknie stołu i wszyscy podeszli, by rzucić nań okiem. - „Przyjaciół prawdy i honoru”, hm, jego postępowanie bynajmniej o tym nie świadczy.

- To dżentelmen - orzekł Pratt. - Papier go zdradza.

- Ja też tak pomyślałam - przyznała Amariah. - Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać i uważnie obserwować, czy

któryś z gości nie zdradza niezadowolenia, a wtedy... O co chodzi, Boyd?

Tłumek zebrany wokół stołu rozstał się, żeby przepuścić lokaja.

- Właśnie to przysłano, panno Penny. - Podał jej wąską paczuszkę. - Pan Pratt kazał nam tego typu przesyłki doręczać pani niezwłocznie.

Amariah zdjęła opakowanie i otworzyła kryte skórą pudełko od jubilera tylko po to, by wyjąć ze środka bilecik. Papier był sztywny, a korona wytłoczona tak głęboko, by nawet ślepiec nie mógł jej przeoczyć. Najwyraźniej nadawca nie należał do skromnych.

„Droga Pani!

Zdaję sobie sprawę, że muszę nieco Panią udobruchać, nim przyjdę osobiście błagać o wybaczenie mojego zachowania ostatniej nocy. G.”

Guilford. Westchnęła poirytowana. Czy ten człowiek naprawdę sądził, że Amariah zmieni zdanie na widok jakiegoś tandetnego świecidełka? Czyżby tak nisko ją cenił? Jak mógł zlekceważyć to, co mu poprzedniej nocy powiedziała? Nawet nie raczyła rzucić okiem na spoczywającą na paśowym aksamicie bransoletkę. Wsunęła bilecik do pudełka, zamknęła je i oddała lokajowi.

- Niech Deborah zanieś to na razie do mojego pokoju - poleciła. - Jak skończę sprawę tutaj, to napiszę parę zwyczajowych słów i odeślę to z powrotem.

Oparła płasko dłonie na brzegu stołu i powiedziała z naciskiem:

- Miejcie się wszyscy na baczności. Wiecie, co macie robić.

Penny House nie może pozwolić sobie na najmniejszy skandal i ufam, że do tego nie dopuścicie.

Lord Alec Westbrook krył się w cieniu muru po drugiej stronie ulicy i obserwował personel wchodzący do Penny House. Wszystkie okna jarzyły się blaskiem setek płonących w kandelabrach świec i nawet z tej odległości do uszu Westbrooka docierał radosny gwar wytwornych głosów dobrze urodzonych mężczyzn, którzy raczyli się doskonałymi daniami, popijając je szmuglowanym francuskim winem i bez większego wrażenia wygrywali bądź przegrywali znaczne kwoty, które przesypywały im się przez palce jak piasek.

Westbrook cofnął się głębiej w cień i nasunął na czoło kapelusz. Wiedział wszystko o Penny House. Należał do pierwszych członków klubu, przyjętych wkrótce po jego powstaniu. Zapisał się, zaciekawiony wrzawą wokół salonu, prowadzonego przez trzy rudowłose siostry. Witwały gości tak, jakby przyjmowały ich w pałacu. Po dwóch tygodniach przestał tam bywać. Uznał to miejsce za zbyt szacowne, nawet sztywne, niepasujące do jego wizji miejsca rozrywki. Równie dobrze mógł zostać w domu z matką i wysłuchiwać jej gderania, że marnuje życie i majątek.

Najbardziej zaś nienawidził wymuszonej dystynkcji przy stołach gry w Penny House. Nie było tu miejsca na emocje, które Westbrook kochał bardziej od hazardu, na pijackie wrzaski, rwetes i poczucie zagrożenia, tak niepodobne do jego zwykłego życia. Wolał próbować szczęścia w plebejskich spelunkach, do których schodzili się złodzieje, szulerzy i marynarze, niż znosić pretensjonalną atmosferę Penny House.

Kłopot ze spelunkami polegał jednak na tym, że tam trzeba było płacić od ręki. Tam nikt nie przejmował się złą passą

i nikt nie miał specjalnych względów dla dżentelmena. Jeśli nie zapłaciło się przegranej, wynajmowano osiłków z nożami, żeby egzekwowali należność od opornych dłużników.

Westbrook przeklinał ojca, który zostawił mu w spadku tytuł, ale bez majątku. Gdyby ojciec nie palnął sobie w łeb, zostawiając rodzinę bez grosza przy duszy, on nie musiałby teraz żebrać u brata matki o każdego pensa. Wuj Jesse zajmował się handlem, statkami, węglem, cyną i innymi paskudztwami, jednym słowem zajęciami niegodnymi dżentelmena i choć siostrzeniec miał to wszystko odziedziczyć po jego śmierci, to stary głupiec nie potrafił pojąć, że lord potrzebuje funduszy stosownych do swego tytułu.

Westbrook przyglądał się kolejnemu powozowi, podjeżdżającemu pod drzwi Penny House. Latarnie przy wejściu wydobyły z mroku połyskującą złotem tarczę herbową na drzwiczkach pojazdu. Westbrook nie miał własnego ekwipażu, nie mógł pozwolić sobie nawet na bryczkę. Może pewnego dnia... gdy dopisze mu szczęście w kościach lub wuj Jesse pójdzie wreszcie do diabła, gdzie jego miejsce...

Kiedy Penny House otworzył swoje podwoje, siostry bez żadnych trudności udzielały kredytu, żeby ściągnąć do siebie graczy. Jednak gdy klub stał się modny, bardzo zaostrzyły kryteria i Westbrook nie był pewien, w jaki sposób zostałyby przyjęte. To wkrótce się skończy, prawda? Skandal zmienia sytuację, a jaki skandal mogłby bardziej dotknąć salon gry niż oskarżenie o oszustwo? Taki zarzut sprawia, że gracze stają się niespokojni, niepewni, gotowi wskazać palcem na kogośkolwiek innego. Elegancka klientela przeniesie się do innego klubu, a siostry Penny będą z radością witać w progu takich jak on i chętnie udziela kredytu każdemu, kto tylko zechce do nich zawitać.

Westbrook jeszcze raz objął spojrzeniem rzęście oświetlony budynek. Nie, jeszcze nie dzisiaj, ale wkrótce znowu znajdzie się wewnątrz i z otwartym kredytem zasiądzie przy stole do gry w kości.

I wygra.

Rozdział trzeci

Tego wieczoru Amariah wcześniej przyszła do sali gry, w której było dwa razy więcej strażników niż zazwyczaj; wysocy i milczący dyskretnie obserwowali graczy. W dniu otwarcia Penny House Pratt doradził siostrom, by unikały tego pomieszczenia w porze największej kumulacji hazardu. Twierdził, że kiedy znaczne sumy przechodzą z rąk do rąk, każdy rzut kośćmi powoduje emocje, nad którymi nie wszyscy gracze potrafią zapanować.

Teraz, kiedy wreszcie zobaczyła to na własne oczy, musiała przyznać Prattowi rację. Specjalne, zawieszone nisko nad stołem lampy wydobywały z mroku twarze, obnażając najbardziej elementarne ludzkie emocje - chciwość, spryt, pazerność, zazdrość, gniew, rozpacz. Rozlegały się okrzyki i oskarżenia. Tylko Walthrip, siedzący wysoko na swym stołku, pozostawał nieporuszony i donośnym głosem oznajmiał, kto wygrał, przysuwając jednocześnie ku niemu grabkami na długiej ręczce stosiki żetonów z macicy perłowej.

Tego wieczoru los nikogo specjalnie nie faworyzował, szczęście sprzyjało raz jednemu, raz drugiemu z graczy, ale i tak tłum kłębił się wokół krytego zielonym suknem stołu.

Amariah nie znała dotychczas takiego oblicza panów, należących do najlepszych rodzin w kraju. Kiedy przyglądała im się teraz, doszła do wniosku, że właściwie każdy z nich byłby zdolny do napisania anonimowego listu, podobnie jak każdy z nich mógłby posunąć się do oszustwa, byle tylko wygrać.

Wierzyła, że zna się na ludziach i potrafi ocenić ich charakter, więc przyglądała się wszystkim badawczo, żeby nie przeoczyć najmniejszego śladu czy gestu, który mógłby być dla niej wskazówką. Przyszła tu jednak nie tylko po to, żeby patrzeć, ale również by być widzianą. Chciała dać autorowi anonimu do zrozumienia, że potraktowała jego słowa poważnie.

W zamyśleniu wygładziła długą rękawiczkę przy nadgarstku, przesuając wzrokiem po mężczyznach. Może to najmłodszy syn lorda Reptona, który dopiero niedawno wrócił ze szkół i bardzo starał się zdobyć reputację zblazowanego londyńczyka? Albo sir Henry Allen, posepny i przewrażliwiony, o którym powiadano, że roztrwonił rodzinną fortunę na wyścigach koni? Lub też ksiązę Guilford?

Był w eleganckim stroju wieczorowym: doskonale skrojonym granatowym fraku i bładoniebieskiej kamizelce, haftowanej srebrną nitką w smoki. Większość dżentelmenów o tak późnej porze wyglądała już na zmęczonych i nieświeżych, on natomiast był zadziwiająco rzeński. Nie tłoczył się z innymi przy stole, ale stał w pewnym oddaleniu, podobnie jak ona. Skrzyżował ramiona na piersi i utkwiał w niej spojrzenie niebieskich oczu.

Ta obserwacja zirytowała Amariah. Nic nie powiedziała, ale gwałtownym ruchem rozłożyła wachlarz. Bez wątpienia jej szukał, a powodem tego musiał być zwrot bransoletki, którą odesłała po południu.

Guilford, jakby umiał czytać w myślach, posłał jej ponad głowami rozgorączkowanego tłumu leniwy, nieprawdopodobnie uwodzicielski uśmiech.

Ze zgrozą poczuła, że się rumieni. Odwiedzający Penny House mężczyźni otwarcie jej się przyglądali; atrakcyjna powierzchowność należała do jej wizerunku gospodyni klubu. Od wczoraj zaczęła inaczej reagować na spojrzenia Guilforda, jakby łączyło ich coś intymnego, o czym z jej strony nie było mowy. I nigdy nie będzie.

Dumnie uniosła głowę. Narastał w niej gniew, co znalazło odbicie w coraz szybszych i bardziej nerwowych ruchach wachlarza. Czyżby nie zrozumiał listu, który mu wysłała wraz z bransoletką? Tekst był uprzejmy, ale stanowczy i w jednoznaczny sposób odbierał mu wszelką nadzieję. Czy on w ogóle przeczytał to, co napisała? Potrząsnęła głową, zmarszczyła brwi, rzuciła mu surowe spojrzenie, po czym odwróciła wzrok.

Nie dość jednak szybko, by nie dostrzec, że kiwnął głową, odrzucił do tyłu ciemne falujące włosy i - o zgrozo! - mrugnął do niej.

Uznała, że czas na odwrót.

Z wysoko uniesioną głową wyszła do holu, gdzie witała się, uśmiechała i gawędziła z gośćmi, czyli robiła to, co zwykle. Potem zeszła kręconymi schodami na dół i zajęła swoje stałe miejsce przed kominkiem z włoskiego marmuru we frontowym pokoju. Stąd mogła dostrzec każdego dżentelmena, który wchodził lub wychodził frontowymi drzwiami, witała ich, mając za sobą rząd srebrnych świeczników ustawionych na kominku.

- Dobry wieczór, milordzie! - zawołała, podnosząc głos, aby sędziwy markiz mógł ją usłyszeć. - Mam nadzieję, że lo-

kaj już poszedł po kieliszek pana ulubionego wina z Wysp Kanaryjskich?

- Rzucił się biegiem, kiedy tylko na mnie spojrzał - odparł posiwiały markiz, ściskając dłoń Amariah powykęcany reumatyzmem palcami. - Pani wie, jak uszczęśliwić mężczyznę, droga panno Penny. Gdyby moja żona była choć w połowie tak utalentowana, dwa razy więcej czasu spędzałbym w domu.

Amariah uwolniła dłoń z jego uścisku i rozłożyła wachlarz. Nieważne, że markiz mógł być jej dziadkiem, wszystkich gości w klubie obowiązywały takie same reguły.

- Droga panno Penny, ma pani szczęście, że nie jestem o połowę młodszy. - Markiz z żalonym westchnieniem sięgnął po kieliszek wina przyniesiony przez lokaja na tacy. - Chodź tu, Guilford. Ty jesteś młodym byczkiem i możesz złożyć pannie Penny należne jej hołdy.

- Spróbuję. - Guilford skłonił się, a markiz z kieliszkiem w ręku ruszył, szurając nogami, w stronę jednego z przyjaciół.

- Dobry wieczór, Wasza Wysokość - przywitała się Amariah. - Jesteśmy wdzięczni za pańską wizytę. Mogę panu zaproponować coś do picia bądź lekką kolację, zanim zasiądzie pan gry?

- Wolałbym wyjaśnienia, panno Penny. - Skłonił się z lekkim uśmiechem na ustach. - Czy odmówiła pani przyjęcia nie tylko bransoletki, ale i przeprosin?

- Odmówiłam przyjęcia prezentu. - Stali obok siebie, dzięki czemu Amariah mogła posyłać ukłony i uśmiechy przechodzącym dżentelmenom i nie musiała patrzeć na Guilforda. - W liście wyjaśniłam powody takiego postępowania.

- W liście tak bezosobowym, jak drukowana w setkach

egzemplarzy i rozrzucana na ulicach ulotka, pozbawionym śladu osobistego zaangażowana.

- Napisałam go własnoręcznie, Wasza Wysokość. Jak zawsze.
 - Stosując formułkę podyktowaną przez radcę prawnego?
 - Stosując formułkę własnego pomysłu - odparła, pozdra-
 wiając z uśmiechem markiza, który właśnie mijał ich w towa-
 rzystwie swego szwagra. - Które z moich sformułowań wyda-
 ło się panu niejasne?

- Jeśli nie lubi pani rubinów, proszę powiedzieć wprost. Robitail
 ma ogromny wybór błyskotek. Może pani wybrać,
 tylko się pani spodoba.

- To nieważne, czy podobają mi się rubiny, Wasza Wyso-
 kość. - Chyba celowo udawał tępotę, jej cierpliwość była na
 wyczerpaniu! - Moje siostry i ja nigdy nie przyjmujemy pre-
 zentów od dżentelmenów. To kłóciłoby się z pragnieniami oj-
 ca i zasadami obowiązującymi w Penny House.

- Żadne zasady nie mogą zmusić damy do odrzucenia ru-
 binowej bransoletki - zaprotestował Guilford. - To wręcz nie-
 naturalne.

- Dla mnie i moich sióstr to jak najbardziej naturalne - za-
 pewniła Amariah. - Jeśli dżentelmen pragnie wyrazić swój
 szczególny podziw, sugerujemy wpłatę na fundusz charyta-
 tywny Penny House.

Guilford wydał pomruk dezaprobaty.

- A może mi pani powie, jaką przyjemność może dać wpła-
 ta na fundusz charytatywny?

Uśmiech Amariah przeznaczony był nie tylko dla niego,
 ale dla wszystkich przechodzących w pobliżu. Już dawno na-
 uczyła się rozpoznawać, kiedy mężczyzna zaczyna zdawać so-
 bie sprawę, że przegrał. Teraz usłyszała w głosie Guilforda ten
 żaloszny ton rezygnacji, lecz nie dała mu odczuć swej satysfak-

cji. Wiedziała od dawna, że pokonanemu mężczyźnie trzeba pozwolić ocalić dumę.

- A więc nie przyjmie pani bransoletki? - Podjął ostatnią próbę. - Ani żadnego innego drobiazgu ze sklepu starego Robitaille'a?

- Przykro mi, Wasza Wysokość - odparła wspaniałomyślnie. - Z radością przyjmę wpłatę na nasz fundusz.

- Może pani nie wierzyć, panno Penny, ale jest pani pierwszą kobietą, która nie przyjęła ode mnie biżuterii.

- Ależ wierzę - stwierdziła z uśmiechem i po raz pierwszy odwróciła się twarzą do księcia. - W życiu ciągle spotyka nas coś nowego. Czuję się zaszczycona, że przynajmniej w tej dziedzinie jestem dla pana pierwszą.

- Mam nadzieję, że tych pierwszych będzie jeszcze wiele - odparł - dla dobra nas obojga.

Amariah poczuła się niepewnie. Co miał na myśli? Przecież niczego mu nie obiecała, prawda? Tylko zmęczeniem po wczorajszym dniu i niepokojem wywołanym groźbą skandalu mogła tłumaczyć fakt, że taka wątpliwość w ogóle ją naszała. Guilford poddał się i powinna być wdzięczna losowi za szansę dodatkowego zasilenia fundacji dobroczynnej, zamiast podejrzewać go o ukryte motywy.

- Jeśli Wasza Wysokość sobie życzy, z przyjemnością przedstawię, w jaki sposób i na co przeznaczamy środki z naszej fundacji - zaproponowała.

- Jednak wybaczyła mi pani, pomimo że odrzuciła pani mój prezent na przeprosiny?

- A czy mam powód, by panu nie wybaczyć? - Nie potrafiła pozbyć się poczucia, że za jego słowami coś się kryło.

Pochylił głowę, próbując przybrać minę skruszonego grzesznika.

- Zawsze słyszałem, że Bóg nakazuje nam wybaczać swoim winowajcom, panno Penny.

- Przede wszystkim Bóg nakazuje nie grzeszyć, Wasza Wysokość - sprostowała Amariah - ale przyznaję panu punkt za odwagę wykorzystania tego przykazania w rozgrywce z córką pastora.

Spojrzał na nią z rozbawieniem w niebieskich oczach.

- Zawsze daję z siebie wszystko, panno Penny, szczególnie w rozmowie z panią.

- Lepiej powiedzieć „próbuję”, Wasza Wysokość.

Amariah nie mogła powstrzymać się od złośliwości. Znow zaczęła uprawiać szermierkę słowną, co bardzo lubiła. Może wczorajszy wieczór był rzeczywiście tylko godnym pożałowania błędem, może mogli o nim zapomnieć? Guilford należał do jej ulubionych bywalców klubu, będąc zarazem jednym z najbardziej liczących się członków komitetu, więc szczerze pragnęła puścić tamto zajście w niepamięć.

Roześmiał się, szczerze rozbawiony.

- Pozwoli pani, że wyrażę szczerą skruchę, panno Penny. Proszę mi opowiedzieć o swej działalności charytatywnej, a ja obiecuję chłonać każde pani słowo i wpłacić na fundusz sumę, jaką uzna pani za stosowną.

- Cena tej bransoletki będzie całkowicie wystarczająca - zapewniła Amariah i w przypływie życzliwości dodała: - Nie ograniczę się do suchych wyjaśnień. Jutro jest, niedziela, więc Penny House będzie, oczywiście, zamknięty. Jeśli pan sobie życzy, zabiorę pana do placówki, którą wspieramy ze szczególną przyjemnością, i zobaczy pan na własne oczy, czym się zajmujemy.

- Wspaniały pomysł, panno Penny! - zawołał z entuzjazmem. - Podjadę po panią jutro rano swoim powozem.

Zawahała się na chwilę, postanowiła jednak powstrzymać cisnącą się jej na usta ostrą odpowiedź. To nie jej sprawa, czy książę Guilford chodził na niedzielne poranne nabożeństwa. Owszem, przyjmie od niego pieniądze na działalność dobroczynną, ale nie ma obowiązku ratować jego duszy.

- Bardziej odpowiadałoby mi popołudnie, Wasza Wysokość - powiedziała lekko, bez cienia wymówki. - I może lepiej byłoby wziąć dorożkę, mniej rzucałaby się w oczy

- Zawrzyjmy kompromis: przyjadę po południu, ale swoim powozem. Jest bardzo skromny.

Powóz z wymalowanym na drzwiach złotym herbem nie mógł być skromny, ale Guilford nie miał pojęcia, co to znaczy: nie rzucać się w oczy.

- Dobrze, Wasza Wysokość.

- W pani towarzystwie, panno Penny będę... - Urwał i zmarszczył brwi, jakby szukał w myślach odpowiedniego słowa. - Będę w stanie ekstazy - dodał.

Skłonił się i wtopił w tłum gości, zanim zdążyła odpowiedzieć. Może uznał to za wystarczające pożegnanie, a może wydawało mu się, że dzięki temu wyszedł z tej rozmowy z twarzą. Amariah uśmiechnęła się tylko, pokręciła głową i powitała następnego wchodzącego do klubu dżentelmena.

Guilford odciągnął zasłony w sypialni, żeby wyjrzeć przez okno, i uśmiechnął się szeroko. Słońce, błękitne niebo - najwyraźniej bogowie mu dziś sprzyjali. Romantyczne sztuki i ballady sławiły mroczne cienie i mgły jako najlepszą scenografię dla kochanków, on jednak zauważył, że ciepłe, słoneczne dni wprawiały kobiety w lepszy nastrój niż chłodne i szare. Gwizdząc fałszywie jakąś melodyjkę, odwrócił się, by pozwo-

lić osobistemu służącemu zawiązać fular w węzeł równie doskonały, jak zapowiadający się dzień.

- Pięknie dziś, prawda, Crenshaw? - zagadnął. - Wszystkie niedziele powinny tak wyglądać, nie sądzisz?

- Jak pan sobie życzy, Wasza Wysokość.

Tak brzmiała standardowa odpowiedź na wszelkie pytania Guilforda. Crenshaw, który nieustannie, choć z ponurą rezygnacją, zdmuchiwał z twarzy kosmyki cienkich, siwych włosów, był w nieokreślonym wieku. Guilford nie potrafił powiedzieć, czy służący miał lat sześćdziesiąt, czy może osiemdziesiąt, wiedział tylko, że służył w rodzinie jeszcze przed jego urodzeniem. Guilford odziedziczył go po ojcu wraz z tytułem i był pewien że Crenshaw aż do śmieci swojej lub swego pana będzie co rano stał przy łóżku z miską ciepłej wody do golenia.

- Tego właśnie sobie życzę - oświadczył Guilford. - Choć nie sądzę, bym w kwestii pogody miał więcej do powiedzenia niż ktokolwiek inny. Czy powóz stoi już przed domem?

- Zapewne wkrótce podjedzie, Wasza Wysokość. - Crenshaw musnął jeszcze pieszczotliwie węzeł fularu jak niańka swego ulubieńca. - Przyjedzie pan przebrać się na wieczór czy też wybiera się pan bezpośrednio do panny Danton?

- Nie, Crenshaw, skończyłem z panną Danton, a ona ze mną. Dziś będę miał zaszczyt towarzyszyć innej pięknej damie, pannie Amariah Penny.

- Damie z domu gry, Wasza Wysokość? - Zdumienie pokonało powściągliwość; Crenshaw zamarł z surdudem swego pana w rękach. - Jednej z tych rudowłosych sióstr?

- Właśnie, najstarszej i najpiękniejszej z nich - potwierdził Guilford z satysfakcją, wsuwając ręce w rękawy surduta. Ni-

gdy dotąd nie cieszył się tak bardzo na spotkanie z kobietą jak teraz. - Nie wiem, kiedy wrócę, Crenshaw. Chyba jest już powóz.

Złapał rękawiczki i kapelusz i zbiegł po schodach. Zawsze lubił Amariah Penny, od pierwszego spotkania. Wybrał się do Penny House wiedziony ciekawością, jak też wygląda klub dla dżentelmenów prowadzony przez kobiety, ale wracał tam potem tylko dla niej. Nie przyciągały go rude włosy Amariah i jej apetycznie zaokrąglona figura, bo w Londynie pełno było znacznie od niej piękniejszych kobiet, fascynowała go jej błyskotliwa inteligencja. Amariah była bystra i dowcipna, podobnie jak on, zawsze potrafiła znaleźć odpowiednie słowa, więc jej towarzystwo było niezmiernie zabawne. Nigdy nie pokrywała ignorancji głupawym czy afektowanym uśmiechem. Uśmiechała się złośliwie, po czym przygważdżała przeciwnika zmasowanym ogniem ze wszystkich dział. Guilford nigdy nie spotkał podobnej kobiety.

Dopiero w tym tygodniu pomyślał o niej nie tylko jako o właścicielce Penny House. Nie umiał właściwie powiedzieć dlaczego; może nie chciał popsuć ich wzajemnych, doskonałych stosunków. Zakład wszystko zmienił. Sprawił, że Guilford spojrzał na Amariah w kontekście sypialni, a nie tylko reprezentacyjnego salonu i od tej chwili nie potrafił już myśleć o niczym innym. Zaprzagnął zobaczyć jej mlecznobiałą skórę i poznać ciało, ukrywane pod błękitnymi sukniemi, dotknąć pełnych piersi i bioder, których kształtu mógł się tylko domyślać.

Co mogła w tej chwili robić? Czy szykowała się na spotkanie, podobnie jak on? Wyobraził sobie, jak siedzi przed lustrem, podczas gdy służąca układa jej włosy. Albo jak z cudownym, kobiecym niezdecydowaniem próbuje wybrać

suknię, pończoszki, kapelusz, a przy tym nie przestaje o nim myśleć. Mimowolnie uśmiechnął się do tego obrazu.

Powóz został już przygotowany, wypucowana do czysta ciemnoszafirowa farba lśniła. Złoty herb na drzwiczkach odbijał promienie słońca. Zgodnie z jego poleceniem okna były otwarte a skórzane rolety podniesione, by wpuścić do środka powietrze i światło. Nie chciał, by Amariah poczuła się uwięziona czy ograniczona; pragnął, by - swobodna i odprężona - oparła się o skórzane poduchy wnętrza powozu i poddała się jego urokowi. Wskoczył do środka i rozsiadł się wygodnie, podczas gdy stangret zamknął drzwiczki. Pogwizdując, wyjął biały kwiat z umocowanego na ścianie powozu wazonika i wsunął go do najwyższej dziurki surduta. Ledwo powóz skręcił w ulicę, gdy zrównał się z nim jeździec na koniu i niecierpliwie zabębnił pięścią w bok.

Guilford zdjął kapelusz i wystawił głowę przez okno. Wiatr natychmiast wzburzył mu włosy.

- Co jest, Stanton? - Guilford westchnął ze zniecierpliwieniem. To prawda, przyjaźnili się ze Stantonem od czasów szkolnych, ale każda chwila spędzona z dala od Amariah wydawała mu się czasem straconym. - Co tu robisz?

Stanton zignorował pytanie Guilforda, zmierzył go natomiast badawczym spojrzeniem spod ciężkich powiek.

- Powóz, kwiat w klapie surduta - zauważył. - Dama będzie szczęśliwa, że tak się dla niej postarałeś.

- Dama będzie szczęśliwa, jeśli przyjadę punktualnie. - Guilford zastukał w dach powozu, dając stangretowi znak, że- by ruszać. Stanton jechał obok karety.

- To prawda - przyznał. - Doszły mnie słuchy, że panna Penny jest piekielnie punktualna.

- Nie powinieneś używać w odniesieniu do niej określenia:

piekielnie. Zważ, kim był jej ojciec. Zresztą wcale nie mówiłem, że mam dziś spotkanie z panną Penny.

- Nie musiałeś. - Stanton mrugnął znacząco i popukał palcem w rondo kapelusza. - Jeżeli nie chciałeś, by całe miasto o tym wiedziało, to dlaczego umawiałeś się z nią na dzisiaj w obecności tłumu ludzi w Penny House?

- To nie twoja sprawa, co i gdzie zamierzam robić.

- Skoro w grę wchodzi słodka panna Penny, to obawiam się, że jest to jak najbardziej moja sprawa, Guilford. - Zajrzał do wnętrza powozu. - O ile sobie przypominam, istota naszego zakładu sprowadza się do idealnie zaokrąglonego tyłeczka tej pani.

- Nie zapomniałem o tym i zamierzam wygrać. Zaplanowałem wszystko szczegółowo. Najpierw przejażdżka po parku, potem kolacja w prywatnym gabinecie u Carlisle'a, kilka butelek najprzedniejszego wina z jego piwniczki i jeszcze przed świtem zgłoszę się do ciebie po odbiór wygranej.

- U Carlisle'a, mówisz. Słyszałem, że wybierasz się w objazd po przytułkach i schroniskach dla żebraków.

- Och, to dopiero początek dnia - oświadczył Guilford nonszalancko. - Dobre uczynki powinny ją wprawić w lepszy humor.

- Czyżby? - Stanton uśmiechnął się z powątpiewaniem. - Naprawdę sądzisz, Guilford, że jakiś nędzny przytułek to najlepsze miejsce, by ją uwieść?

- Naprawdę masz o mnie tak marne zdanie? Jak mógłbym okazać tak mało względów dla wrażliwości panny Penny?

Stanton cofnął się, udając zaszokowanego.

- Czyżbyś bronił honoru damy, zanim jeszcze zagrzałeś jej łóżko? Skany Anula43, przerobienie pona.

- A jeśli tak? - Guilford wystudiowanym gestem wzruszył

ramionami. - Znasz mnie. Lepiej występować w roli galanta niż brutala. Wolę, by kobieta wymawiała moje imię z westchnieniem niż z przekleństwem.

- Ona nie będzie tak łatwa jak większość twoich zdobyczy - rzekł z naciskiem Stanton. - To kobieta jedyna w swoim rodzaju. Jest właścicielką tego piekielnego Penny House. Nie potrzebuje ciebie ani niczego, co mógłbyś jej dać.

- Tylko dlatego, że jeszcze nie wie, co mógłbym jej dać. - Oczywiście nie dotyczyło to rubinowych bransoletek, ale o tej drobnej porażce zdążył już zapomnieć. - Wkrótce jednak się dowie.

- Uśmiechasz się jak kretyn - stwierdził ponuro Stanton. - Zaraz powiesz, że galanteria każe ci wycofać się z zakładu.

- Niedoczekanie! - Nawet gdyby stawka zakładu nie była intrygująca i tak by nie zrezygnował. Chodziło o zasadę, nie o pieniądze. Gdyby wycofał się z zakładu, stałby się pośmiewiskiem u White'a. - Może ty chciałbyś odwołać zakład, ale ja nie zamierzam.

- Masz dwa tygodnie na zaciągnięcie panny Penny do łóżka i dostarczenie mi wiarygodnego dowodu, że zdołałeś tego dokonać.

- Och, będziesz o tym wiedział. - Guilford zerknął na kwiat w butonierce. - Jak sam zdążyłeś się przekonać, cały Londyn wie, co dzieje się w Penny House.

- Będę nadstawiać ucha, przyjacielu. - Stanton mocniej ujął wodze wierzchowca. - Będę nasłuchiwał każdego słowa.

Amariah kucnęła przy ławce, ściskając w dłoni spocone palce dziewczyny.

- Już niedługo, mała, już niedługo.

Dziewczyna znów krzyknęła i skrzywiła się z bólu. Poród

był w toku, wody odeszły i nie było czasu, by zabrać ją do akuszerki. Amariah zaprowadziła więc ją do mieszczącego się koło spiżarni biura swej siostry Bethany. Ławka nie była może idealnym miejscem, by dać nowe życie, niewątpliwie jednak lepszym niż ulica czy most.

- Akuszerka powinna tu być lada chwila, panno Penny - powiedziała kucharka, Letty Todd. - Z tego, co widzę, może być za późno.

- Poradzimy sobie.

Amariah wyczuwała siłę skurczów, dziewczyna coraz silniej ścisnęła ją za rękę. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście, szesnaście lat, sama była jeszcze nieledwie dzieckiem, a znozione, podarte ubranie i chudość jej rąk i policzków świadczyły dobitnie, jak pozbawione radości musiało być jej życie. Amariah nie znała imienia ani sytuacji dziewczyny, ale widywała ją w tłumie biedaków, którzy przychodzili codziennie pod kuchenne drzwi klubu po resztki, które stanowiły zapewne ich jedyny posiłek w ciągu dnia. Pomywaczka uwiedziona przez syna pana domu, wdowa po marynarzu, dojarka porzucona przez ukochanego - Amariah nie interesowało, jaki zły los doprowadził dziewczynę do tak rozpaczliwej sytuacji, nie zapytała o to. Liczyło się tylko to, że Penny House zaoferował dziewczynie schronienie, którego tak rozpaczliwie potrzebowała, gdzie ona i jej dziecko będą traktowane z życzliwością i współczuciem.

- Och, już idzie, panienko, już idzie! - wykrzyknęła rodząca. - Dziecko, panienko! Dziecko! Boże, zlituj się nade mną!

Amariah widziała w starej parafii ojca wystarczająco wiele porodów, by zdawać sobie sprawę, że dziewczyna rzeczywiście jest bliska rozwiązania. Jej doświadczenie sprowadzało się jednak do obserwacji, nigdy nie odbiera-

ła porodu, więc kiedy stanęła pomiędzy ugiętymi, trzęsącymi się kolanami dziewczyny, pomodliła się o szczęśliwe rozwiązanie.

- Posłuchaj mnie, kochanie - powiedziała. - Przy następnym bólu nabierz tyle powietrza, ile zdołasz, i przyj.

- Nie... nie mogę! - zaszlochała dziewczyna. - Pomóżcie mi!

- Możesz - oświadczyła Amariah stanowczo. - Weź głęboki oddech i postaraj się...

- Przepraszam, przysłałam najszybciej, jak mogłam. - Akuszerka szybko rzuciła szal na oparcie krzesła i przewiesiła przez ramię jeden z czystych ręczników. Była energiczna, profesjonalna i gotowa przejąć kontrolę nad sytuacją. - Nie bój się, mała, pomożemy ci przez to przejść. Niech pani przytrzyma w tym miejscu jej kolano, panienko.

Amariah posłuchała, wdzięczna, że ktoś inny przejął na siebie odpowiedzialność, i natychmiast została włączona w dramat narodzin. Jak przypuszczała, dziecko znalazło się w wyciągniętych ramionach akuszerki już po kilku minutach. Zdrowy, rozwrzeszczany chłopczyk został entuzjastycznie powitany przez personel kuchenny, a młoda matka rozpłakała się - z radości, rozpaczy, wyczerpania? - kiedy akuszerka położyła na jej piersi owiniętego w czyste ręczniki synka.

- Nie miałam dokąd pójść, panno Penny - wyszeptała przez łzy. - A wszystkie panie były dla mnie tak dobre, kiedy przychodziłam codziennie na podwórko, że pomyślałam...

- Dobrze zrobiłaś - zapewniła ją łagodnie Amariah, gładząc delikatnie pokrytą puchem główkę dziecka. - Kiedy dojdiesz do siebie, znajdę bezpieczne schronienie dla ciebie i twojego synka. A teraz odpoczywaj i ciesz się nim.

- Sammy - szepnęła dziewczyna. - Będzie się nazywał Sammy Patton.

Amariah się uśmiechnęła.

- Witaj na świecie, Sammy. I niech Bóg wam obojgu błogosławi.

Pomogła akuszerce zwinąć zakrwawione ręczniki i cicho zamknęła drzwi, żeby świeżo upieczona matka mogła odpocząć. Myjąc ręce, ciągle miała przed oczami drobne piastki noworodka, różowe usteczka szeroko otwarte jak u piskląt, gotowe oznajmić światu głód lub niezadowolenie.

- Panno Penny? - Pratt stanął przed nią z bardziej zatroskaną miną niż zwykle. - Jego Wysokość przyjechał już po panią.

- Jego Wysokość? - Amariah popatrzyła na niego pytająco, myślami była wciąż jeszcze przy nowo narodzonym dziecku.

- Książę Guilford. - Pratt kiwnął głową, jakby chciał upewnić o tym nie tylko Amariah, ale i samego siebie. - Zaprowadziłem Jego Wysokość do frontowego salonu.

Wielkie nieba, jak mogła tak kompletnie o nim zapomnieć? Natychmiast zerwała z siebie poplamiony krwią fartuch i najszybciej jak mogła, pobiegła na górę po schodach, przyglądając po drodze włosy. Gwałtownie otworzyła oba skrzydła drzwi.

- Dzień dobry, Wasza Wysokość - powiedziała z głębokim ukłonem. - Przepraszam, że kazałam na siebie czekać, ale musiałam zająć się nagłym, niecierpiącym zwłoki wypadkiem.

Obdarzyła go ciepłym uśmiechem, ale Guilford nie przestawał patrzeć na nią w milczeniu z lodowatą miną.

- Również życzę pani miłego dnia, panno Penny - powiedział w końcu. - Wygląda na to, że zjawiłem się w nieodpowiedniej chwili. Czy mam zaczekać, aż pani się ogarnie?

- Nie chciałabym, by pan dłużej czekał - odparła zdumiona.
- Poślę tylko po czepek i już jestem gotowa.
- Ależ z przyjemnością na panią zaczekam.
- Nie ma sensu... - Urwała, bo pochwyciła spojrzenie, jakim obrzucił jej suknię.

Nadal miała na sobie prostą suknię z szarej wełny, którą włożyła na poranne nabożeństwo, teraz jednak pomiętą i zaplamioną krwią w miejscach, które nie zostały okryte fartuchem. Nie włożyła biżuterii, a jej cudowne włosy były zwiniete w kok z tyłu głowy. Zwykle w ciągu dnia tak właśnie wyglądała, ale Guilford nie mógł o tym wiedzieć. Ilekroć zawitał do Penny House, Amariah stawiała przed nim w modnie skrojonej błękitnej sukni z głębokim dekoltem, z rajskimi piórami w podkreślonych włosach i sztuczną biżuterią na szyi. Jej strój wieczorowy należał do wyposażenia klubu, podobnie jak włoskie malowidła na ścianach i zielone sukno na stole do gry w kości.

Popatrzyła na jego żałośnie zgnębioną minę. Oczywiście Guilford ubrał się, jak zazwyczaj, niezwykle elegancko - granatowy surdut, tak ciemny, że niemal wpadający w czerni, zielona, kwiecista kamizelka, ozdobiona ciężkim, złotym łańcuszkiem zegarka i kremowe spodnie. Najwyraźniej nie zastanowił się, dokąd idą. Czyżby oczekiwał, że Amariah ubierze się tak, by do niego pasować: w strojną suknię z błękitnego jedwabiu i krzykliwą biżuterię? I w takim stroju wybierze się do przytułku?

- Zaczekam z największą przyjemnością - zapewnił ponownie, tym razem dodając do tych słów uwodzicielski uśmiech.
- Jak długo pani zechce. Znam zwyczaje kobiet.
- Jestem tego pewna, Wasza Wysokość - odparła z uśmiechem. Rozumiała go i to zapewne znacznie lepiej, niż przy-

puszczał i niż by sobie życzył. - Chyba wyglądam dość nieporządnie. Doprowadzę się do ładu w ciągu paru minut i wrócę, zanim zdąży pan za mną zatęsknić. Przyślę Pratta, żeby zaproponował panu coś do picia.

- Już się o mnie zatroszczył. - Guilford sięgnął po stojący na podręcznym stoliczku kieliszek i uniósł go, jakby wznosił toast. - Wracaj szybko, moja piękna, i nie zapominaj, że, moim zdaniem, najpiękniej ci w niebieskim.

- Wezmę to pod uwagę - obiecała, wychodząc z pokoju.

Tym razem maszerowała na górę gnana złością, a jej obcasiki głośno postukiwały o stopnie schodów. Książę, niewątpliwie wyjątkowo inteligentny mężczyzna, zachowywał się jak podrzędnej klasy dandys. Podobnie jak tamtej nocy po ślubie jej siostry. Czy Guilford naprawdę sądził, że miała tak krótką pamięć? Zaprosiła go w celach edukacyjnych, nie dla rozrywki, a wyraziła się bez najmniejszej wątpliwości całkowicie jasno.

Szybko zrzuciła z siebie poplamioną suknię, umyła się, uczesała włosy i stanęła przed rzędem wiszących w szafie strojów. Wbrew temu, co najwyraźniej sądził Guilford, nie miała zbyt bogatej garderoby. Poza teatralnymi kreacjami wieczorowymi, w których ona i jej siostry odgrywały swoje role w Penny House, niewiele strojów spełniało wygórowane żądania księcia. Właściwie nadawała się tylko wełniana bładoniebieska sukienka z koronkową kryzą wraz z pasującą do niej narzutką wykończoną taką samą koronką oraz aksamitny czepek w nieco ciemniejszym odcieniu, czyli zestaw zaprojektowany dla jej eleganckiej siostry Cassii. Amariah wkładała ten strój, wybierając się z siostrami na przejażdżkę po parku. Przesunęła palcem po koronce i uśmiechnęła się na myśl o tym, jaki zadowolony byłby Guilford, gdyby zastosowała się do jego prośby.

Stanowczo odsunęła suknię i sięgnęła po popielatą z metalowymi guziczkami, bez dekoltu, prostą i nudną jak mglisty dzień - bardzo stosowną na wizytę u okolicznych nędzarzy. Amariah uśmiechnęła się szeroko i z determinacją wciągnęła sukienkę przez głowę.

Guilford nie będzie zachwycony ani kolorem, ani prostym krojem. Nic jej to nie obchodziło, a raczej obchodziło, ale z innych powodów. Przynajmniej ona wiedziała, co to znaczy nierzucające się w oczy ubranie, w pewnych okolicznościach najbardziej stosowne.

A jeśli chodzi o jej reputację: cóż, dla jędzy szara sukienka jest jak najbardziej odpowiednia.

Rozdział czwarty

- Już jestem, Wasza Wysokość. - Amariah stanęła w progu, wciągając rękawiczkę. - Okazał pan wyjątkową uprzejmość, czekając na mnie. Jestem gotowa.

Guilford odwrócił się w radosnym uśmiechem na ustach i znieruchomiał.

Co ona, na litość boską, na siebie włożyła? Habit zakonnicy? Płaszcz przeciwdeszczowy? Uniform żałobnicy?

- Jest pani gotowa? - powtórzył jak echo.

Poprzednia sukienka była pognieciona i nieefektowna, ale bez wątpienia sto razy lepsza od obecnej. Szara, workowata spódnica i żakiet były już same w sobie paskudne i skutecznie maskowały wspaniałą figurę, a na domiar złego tak starannie zaczesaa włosy do góry, że nawet najmniejszy miedziany loczek nie uwolnił się spod białego, płóciennego czepka, na który założyła w dodatku paskudny płaski kapelusz. Wyglądała jak najżałośniejsza służąca z prowincji.

Gdzie podziała się olśniewająca Amariah Penny? I jak miał ją zabrać do Carlisle'a w takim stroju?

- Wasza Wysokość się rozmyślił? - zapytała słodko. - Nie będę żywiła najmniejszych pretensji, jeśli pan zrezygnuje.

Jeszcze jedno spojrzenie na obrzydliwy szary strój i był gotów przyjąć tę sugestię. Jednak powstrzymał go błysk triumfu w jej oczach. Nie powinien zapominać, że Amariah Penny to nietuzinkowa osoba, więc nie posługuje się zwyczajnymi kobiecymi sztuczkami. Jeśli sądziła, że zniechęci go nieefektywnym wyglądem, to udowodni jej, że się pomyliła.

- Nic mnie nie zmusi do opuszczenia pani, panno Penny - zapewnił i skłonił się z najwyższą galanterią.

- Oczywiście, Wasza Wysokość - powiedziała, idąc wraz z nim przez hol. Lokaj otworzył przed nimi drzwi. - Jeszcze raz dziękuję, że zaoferował mi pan swój powóz.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Penny - oświadczył Guilford i po raz drugi tego dnia znieruchomiał ze zdumienia.

Powóz stał w tym samym miejscu, w którym go zostawił, ale człowiek Amariah, pan Pratt, wszedł na kozioł i z góry kierował trzema lokajami z Penny House, którzy ładowali do karety wiklinowe kosze nakryte kraciastymi ścierkami.

Amariah spojrzała na księcia przez ramię i poprawiła rondo kapelusza. Znowu pochwycił w jej oczach wyzywający błysk.

- Mam nadzieję, że jest pan dziś w wyjątkowo miłosiernym nastroju.

- Miłosiernym?! - zachnął się. - Zmieniła pani mój pojazd w wóz dostawczy! Może przynajmniej mi pani powie, co jest w tych koszach.

- Żywność - odparła takim tonem, jakby to było całkiem oczywiste. - Placówki, które dzisiaj odwiedzimy, potrzebują żywności dla biednych, więc przywożę im, co tylko mogę. Chodźmy, jest jeszcze mnóstwo miejsca wewnątrz, na pewno się zmieścimy.

- To cudownie - mruknął Guilford ponuro, schodząc po schodach.

Jak miał ją uwodzić, kiedy będą wtłoczeni pomiędzy te przekłete kosze niczym farmer z żoną w dzień targowy? Gdyby zobaczył kogoś z przyjaciół w takiej sytuacji, docinkom nie byłoby końca.

- Dla tych nieszczęśników, do których jedziemy, to błogosławieństwo - oznajmiła Amariah, ignorując sarkazm, który musiała usłyszeć w jego głosie. - Proszę waszą Wysokość! - zawołała, kiedy już usadowiła się w zatłoczonym wnętrzu powozu. - Powiedziałabym, że jest dość... przytulnie, ale jakoś sobie poradzimy.

- Piekielnie przytulnie - rzucił gniewnie, próbując upchnąć długie nogi na niewielkiej przestrzeni, jaką mu pozostawiła. - Przytulnie byłoby, gdybyśmy siedzieli obok siebie, a nie rozdzieleni tym monstrualnym koszem.

Przekrzywiła głowę na bok i uśmiechnęła się.

- Kosz nie pozostanie tu zbyt długo, a zapewniam, że jego wartość zdziała tyle dobrego, iż odczuje pan znacznie większą satysfakcję, niż gdyby moja spódnica otarła się o pańską nogę.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, rozmyślając nad tym, jak mogłoby być, gdyby nie jej przewrotność.

- Nie chodziło mi o muśnięcie pani spódnicy, panno Penny - wyjaśnił. - Myślałem raczej o rozkosznej ciepłej pani uda tuż przy moim.

- Jak to miło być tak pewnym siebie, Wasza Wysokość - zauważyła cierpko. - Prawie panu zazdroszczę.

- Zazdrość to jeden z grzechów i pani, jako córka pastora, nie powinna nawet o niej myśleć.

- Człowiek musi mieć jakiś cel - odparła spokojnie. - Pańskim celem jest najwyraźniej popełnienie różnych grzechów.

- Wcale nie - zaprzeczył. - Nie jestem nawet pewien, czy potrafiłbym je wszystkie wymienić.

Z szerokim uśmiechem podniosła dłonie i zaczęła wyliczać na palcach.

- Zawieść, duma, chciwość, pożądanie, gniew, obżarstwo i lenistwo.

- Są jeszcze jakieś grzechy poza tymi siedmioma? - zapytał z niechęcią.

- O tak! Są grzechy, które wołają o pomstę do nieba, i grzechy niemal anielskie. Nie wystarczy mi palców, by je wyliczyć.

- Chyba nie powinienem przekomarzać się na temat grzechów z córką pastora.

- Przekomarzanie się nie należy do grzechów, Wasza Wysokość. Nawet w dzień święty.

- Tak sądziłem. - Odwrócił się ku niej, przynajmniej na tyle, na ile pozwalała na to ciasnota wnętrza. - Czy nie mogliśmy porozmawiać o czymś przyjemniejszym niż ognie piekielne i potępienie?

Rozbawiona Amariah odchyliła się, przybierając dość wyzywającą pozę, która nie pasowała do surowego stroju.

- Same wady nie prowadzą jeszcze do wiecznego potępienia - zapewniła. - Natomiast jeśli człowiek nie wykazuje skruchy i brnie w grzechy bez opamiętania, może mieć po śmierci kłopoty. Jeśli jednak woli pan przerwać rozważania o stanie swojej duszy, nie mam nic przeciwko zmianie tematu.

- Doskonale. - Guilford odczuł większą ulgę, niż gotów byłby przyznać. - Więc o czym rozmawiamy? O pogodzie? O tłumie na ulicach? O tym, gdzie dzisiaj zjemy obiad? A może o tym, który z członków klubu jest szulerem?

Tylko na sekundę na jej twarzy odmalowało się zdumienie - Amariah doskonale potrafiła ukrywać uczucia - ale

to wystarczyło, by pojął, iż to, czego wczoraj dowiedział się, niechcący podsłuchując rozmowę dwóch służących, było prawdą.

- Szuler w Penny House?

Uśmiechnął się. Znowu miał nad nią przewagę.

- Nie zaprzeczyła pani.

- To zbyt absurdalne, by zaprzeczać. Członkowie naszego klubu wywodzą się z najlepszych rodzin w kraju. Jak mogłabym podejrzewać, iż jeden z tych dżentelmenów jest szulerem?

- Dżentelmeni nienawidzą przegrywać, może nawet bardziej niż mężczyźni z niższych sfer. Dżentelmeni również mogą być zdesperowani. Jeśli jest pani naprawdę tak bezgranicznie ufna, to powinienem natychmiast powiadomić o tym komitet klubu, zanim pozwoli pani, by jakiś bandzior ukradł pani sprzed nosa wszystkie walory.

Amariah zarumieniła się z gniewu.

- Do tego nie dojdzie, Wasza Wysokość. Ma pan moje słowo.

Uśmiechnął się pobłażliwie.

- Chce pani uniknąć skandalu, moja droga.

- Nieprawda - rzuciła ostrym tonem. - Podjęłam działania, żeby z tym skończyć. Powinien pan poznać mnie już na tyle, by wiedzieć, że nie wahałabym się poprosić o wsparcie, gdybym go potrzebowała.

- A pani powinna zwrócić się do mnie, kiedy pojawiają się problemy. Znacznie lepiej sięgnąć po linę ratunkową, niż spaść w przepaść.

- Fascynujące. Widzi się pan w tej roli, Wasza Wysokość?

- Och, postrzegam się w wielu bardzo różnych rolach, pan-no Penny.

- Naprawdę nie mam ochoty wymyślać skandalu tylko po to, by panu o nim opowiedzieć.

- A jeśli nie trzeba go wymyślać? Jeśli jest prawdziwy?,

- Ale nie jest.

Westchnął i postanowił na razie ustąpić.

- Jest pani upartym stworzeniem, panno Penny.

- Znowu pan nawiązuje do tej idiotycznej historii z jędzą, prawda? Dlaczego kiedy mężczyzna obstaje przy swoim, to jest stanowczy, jeśli natomiast kobieta robi to samo, jest uparta?

Wybuchnął śmiechem. Była wspaniała! Może i jędza, ale jego podziw dla niej jeszcze wzrósł.

- Uznaję pani krytykę. Jest pani stanowcza, nie uparta.

- Zapewne powinnam panu za to podziękować. A może to wcale nie był komplement?

- Był - zapewnił. - Zresztą w pełni zasłużony. Jeśli pani sobie życzy, mam więcej komplementów na podorędziu.

- Na pewno. - Skrzywiła się lekko. - Proponuję jednak ciekawszy temat rozmowy, Wasza Wysokość. Porozmawiajmy o panu.

- O mnie? - Tego się nie spodziewał. - Gotów jestem zaakceptować ten temat pod warunkiem, że nie będziemy dyskutować o moich grzechach. Może zacznę od stwierdzenia, jak bardzo cieszę się pani towarzystwem.

- Proszę sobie darować. Wiem, że lubi pan moje towarzystwo, bo w przeciwnym razie nie prosiłby mnie pan o spotkanie. Chciałabym dowiedzieć się o panu czegoś nowego. Proszę mi opowiedzieć o swoim dzieciństwie - jak miał na imię pana pierwszy kucyk, na jakie drzewo najchętniej pan włąził, jaką jarzynę uważał pan za najwstrętniejszą. Krótko mówiąc: jakim był pan chłopcem?

- Prawdę mówiąc, nie byłem grzecznym dzieckiem - odparł Guilford ze śmiechem. - Byłem jedynym synem, długo oczekiwanym dziedzicem tytułu, który urodził się po czterech dziewczynkach, kiedy już wszyscy stracili nadzieję na męskiego potomka. Przyszedłem na świat w siedem lat po najmłodszej siostrze i rozzwoniły się wszystkie dzwony w okolicy, by obwieścić światu ten niespodziewany uśmiech losu. Byłem tak rozpieszczany i hołubiony, że aż dziw, iż nie zostałem kompletnie zepsuty.

Uśmiechnęła się złośliwie.

- Niektórzy mogliby z tym polemizować.

Odwzajemnił jej uśmiech. Kobiety nie wypytywały go zwykle o dzieciństwo, a jej zainteresowanie sprawiło mu przyjemność.

- Rzeczywiście miałem wspaniałe dzieciństwo. Większą część roku spędzałem na wsi, w Guilford Abbey, pakując się we wszystkie tarapaty, jakie tylko mogłem.

- To w Essex, prawda?

- W Devon - poprawił. W jego głosie, gdy zatonał w radosnych wspomnieniach z dzieciństwa, dźwięczała wyraźna duma. - Mój ojciec zwykł mawiać, że Devon to raj na ziemi, a dla chłopca trudno o lepsze miejsce do dorastania. Co roku dostawałem w lecie nowego kucyka odpowiedniego do mojego wzrostu, miałem całe stado psów, z którymi hasałem po polach, i łódkę, którą pływałem po stawie. Z wujkami i mężami sióstr chodziłem na ryby i na polowania, z kuzynami bawiłem się w sadzie w wojnę amerykańską, a ze służącymi zajadałem się biszkoptami z dżemem przy wielkim kuchennym stole.

- Nawet służba pana psuła - stwierdziła Amariah, zerkając na Guilforda spod ronda paskudnego kapelusza.

- Och, służba była najgorsza! Kucharka miała do mnie wyjątkową słabość i zawsze piekła mi specjalne małe ciasteczka z moimi inicjałami wydrapanymi na skórce.

Amariah się uśmiechnęła.

- Niczego więcej pan nie pragnął.

- Absolutnie niczego - przyznał. - Byłem najszcześliwszym małym łobuziakiem pod słońcem.

- Mam nadzieję, że nigdy pan o tym nie zapomni - powiedziała i wyjrzała przez okno, bo powóz zwolnił. - Jesteśmy na miejscu.

Ksiązę zdumiony popatrzył przez okno, bo tak zatonął w szczęśliwych wspomnieniach, że nie zdawał sobie sprawy, jak szybko jechali. Spojrzał i natychmiast spochmurniał.

Trudno wyobrazić sobie większy kontrast z zielonymi wzgórzami Devon, które przed chwilą opisywał. Już dawno opuścili schludne, eleganckie okolice St. James Square i znaleźli się w tej części Londynu, której nie znał.

Tutejsze domy były tak stare, że zdawały się wrastać w ziemię. Chyba cudem przetrwały wielki pożar Londynu przed przeszło stu laty. Połamane okna pozatykano wiechciami brudnej słomy lub po prostu zostawiono otwarte, by ziały pustką. Żaden szanujący się kupiec nie otwierał tu sklepu, natomiast w co drugim budynku była piwiarnia czy sklep z dżinem. Pomimo niedzieli pijacy, którzy nie zdążyli jeszcze wytrzeźwieć, leżeli otumanieni na schodach, a ulicznice w rozpiętych stanikach i z pomalowanymi na czerwono policzkami próbowały zdobyć pierwszych tego dnia klientów.

To samo słońce, którym cieszyli się bogacze, jeżdżący odkrytymi powozami po Green Parku, opromieniło te zakazane zaułki, więc na ulicach zaroilo się od brudnych, bosych dzieci, inwalidów o kulach, niemowląt płaczących z głodu w ramio-

nach zbyt młodych matek, kundli gryzących się o starą kość baranią i ulicznych handlarzy, zachwalających jarzyny i owoce zbyt niedojrzałe, by mogły znaleźć nabywców w lepszej dzielnicy. Na ulicy nie było chodnika, a środek zajmował głęboki rynsztok pełen stojącej, zgniłej wody, w której pływały zdechłe szczury i ludzkie odchody.

Amariah sama otworzyła drzwi, nie czekając na pomoc lokaja.

- Proszę uważać, Wasza Wysokość. Wszyscy będą pana o coś prosić. Jeśli da pan jednemu monetę, natychmiast wyciągnie się pięćdziesiąt rąk, więc lepiej nie zaczynać. Zresztą pieniądze wydaliby natychmiast na dżin, dlatego wołę przywozić im żywność.

Rzeczywiście zostali natychmiast otoczeni przez żebraków w różnym wieku, którzy wyciągali do nich wilgotne, szponiaste dłonie, napierali ze wszystkich stron, czepiali się szprych powozu, aż zaniepokojone konie zaczęły rzeć nerwowo.

- Proszę się zatrzymać, panno Penny, nie może pani do nich zejść! - zawołał Guilford i złapał ją za rękę. - To niebezpieczne!

Spojrzała na niego przez ramię z niedowierzaniem i lekką pogardą, po czym strząsnęła jego rękę.

- Oczywiście, że mogę - oświadczyła, sięgając po pałak jednego z koszyków. - I robię to w każdą niedzielę.

- Proszę się zastanowić, jakie podejmuje pani ryzyko...

- Bieda i głód nie zmieniają człowieka w bestię, Wasza Wysokość - oświadczyła stanowczo. - Jeśli jednak tak bardzo obawia się pan o własne bezpieczeństwo, proszę tu zostać.

Zanim zdążył ją powstrzymać, pchnęła drzwi i zeskoczyła na ulicę. Trzymając koszyk przed sobą jak tarczę, torowała sobie drogę przez tłum żebraków. Dopiero teraz zauważył,

że zatrzymali się przed nędznym kościółkiem. Pokruszone fragmenty kamiennego muru leżały na ziemi jak czerstwe skórki od chleba obok czerwonej niegdyś farby, która płatami odpadała od łukowatych drzwi. Przed wejściem stał pastor i z uśmiechem czekał na zbliżającą się Amariah.

- Wasza Wysokość? - Jeden ze stangretów stanął przy drzwiach z równie osłupiałą miną, jak sam Guilford. - Pozwoli pan, że zapytam, co...

- A niech to! Weź jeden z tych przeklętych koszy panny Penny!

Nie mógł przecież dopuścić, by Amariah weszła w to bagno sama, więc odetchnął głęboko, odsunął lokaja i skoczył w tłum. Smród był porażający, tylko z największym wysiłkiem powstrzymał się od zakrycia nosa chusteczką. Kto by przypuszczał, że człowiek może śmierdzieć tak odrażająco, jak rynsztok pod jego nogami?

- Pensa, gubernatorze, jednego pensika!

- Błagam, panie, błagam, dla mojej biednej mamusi!

- Na pewno taki wspaniały dżentelmen nie poskapi grosza cierpiącemu!

W końcu Guilford przedarł się przez otaczający go tłum, nie spuszczać wzroku z Amariah. Nagle przyszła mu do głowy przerażająca myśl i w panice przycisnął dłonią kamizelkę. Z ulgą wyczuł krzepiący ciężar złotego zegarka, łańcuszek również znajdował się na swoim miejscu. Ten chronometr pozostawał w jego rodzinie od pokoleń i nie chciał, by został skradziony przez jednego z tych nieszczęśliwych łotrzyków.

- Proszę, milordzie, proszę...

- Nie dzisiaj, przykro mi - wymamrotał. Powtarzał sobie, że stosuje się tylko do wskazówek Amariah, niemniej jed-

nak czuł się jak podły dusigrosz. - Nie mam przy sobie drobnych.

Wreszcie dotarł do kościoła i szybko wbiegł po kamiennych schodach, uciekając przed żebrakami. Serce biło mu mocno i czuł nieprzyjemne łaskotanie spływających spod kołnierzyka koszuli kropli potu.

Amariah zrekompensowała mu jednak wszystkie przykrości, bo rozpromieniła się na jego widok.

- Wasza Wysokość, pragnę panu przedstawić wielbnego Roberta Pottera. - Z taką samą swobodą i wdziękiem prezentowała zagranicznych arystokratów i innych szlachetnie urodzonych gości w Penny House. - Wielbny Potter jest proboszczem w tutejszej parafii Świętego Crispina i zajmuje się rozprawdaniem dostarczanej z Penny House żywności wśród najbardziej potrzebujących. Wielbny to książę Guilford, który jest żywo zainteresowany naszą działalnością charytatywną i towarzyszy mi dzisiaj, by przyjrzeć się wszystkiemu osobiście.

Wielbny złożył dłonie na piersi, na prostej czarnej sutannie, skłonił się i obdarzył Guilforda ciepłym uśmiechem. Był wysoki i szczupły, niemal chudy, ale ostrość jego rysów łagodziła dobroć promieniująca z bladoniebieskich oczu.

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem zaszczycony tym spotkaniem, Wasza Wysokość - powiedział. - Oby więcej wielkich panów wzięło przykład z pana i panny Penny i okazało tyle serca cierpiącym i pokrzywdzonym przez los.

Guilford chrząknął i skłonił się. Czuł się wyjątkowo niezręcznie, jak aktor obsadzony w niewłaściwej roli.

- Całe uznanie należy się wyłącznie panie Penny - odparł.
- To ona mnie tu przywiozła.

- Przywiozła również więcej żywności niż zwykle, Wasza

Wysokość. - Potter z widocznym zadowoleniem obserwował stangreta, który wstarczył do kościoła pozostałe kosze z powozu. - Rzadko się zdarza, by zaopatrzenie przyjeżdżało do nas księżącą kareta.

- Chodźmy, zobaczy pan, co przywieźliśmy.

Guilford pozwolił Amariah wprowadzić się do kościoła, którego wnętrze, w porównaniu z panującym na zewnątrz słońcem, wydało mu się chłodne i mroczne. Nagie ściany były wyszorowane do białości, zniszczona podłoga z desek zamieciona do czysta, a przez całą długość kościoła biegły trzy rzędy długich stołów. Gdy tylko stangreci postawili na nich kosze, dwie skromnie ubrane kobiety i chłopiec w czarnym kapeluszu wzięli się do rozpakowywania i układania jedzenia na drewnianych talerzach. Przy stołach nie było ławek; Guilfordowi wystarczyło jedno spojrzenie na tłum przed kościołem, by zrozumieć, że ci ludzie nie zasiedliby, by celebrować posiłek.

- Przywieźliśmy dużo, ale i tak nie starczy - orzekła Amariah, która zaczęła pomagać w rozkładaniu jabłek na talerzach. - W Londynie jest masa głodnych, a jedni informują drugich, kiedy i gdzie jest rozdawana żywność. W tej okolicy żyje mnóstwo nędzarzy, ale wydaje mi się, że połowa czekających pod kościołem nie mieszka w sąsiedztwie i przygnała ich tu nadzieja, że przynajmniej dziś uda im się zaspokoić głód.

Jedna z kobiet ostrożnie odpakowała ogromną pieczoną gęś, z której odkrojono tylko kilka plastrów mięsa. Guilford przypomniał sobie, że ta gęś królowała poprzedniego wieczoru na jednym ze stołów Penny House.

- To resztki z naszego stołu, prawda, panno Penny? - zapytał, przyglądając się, jak jedna z kobiet zręcznie oddziela mięso od kości.

- Jeśli mówiąc „naszego”, ma pan na myśli Penny House,

to tak - przyznała Amariah, podrzucając w dłoni jabłko jak czerwoną, błyszczącą piłeczkę. - Goście klubu oczekują, że co wieczór wszystko będzie świeżo przyrządzone i pięknie podane, a potem, jak rozpaskudzone dzieci, ledwo skubną odrobinę i rzucają się na nową zachciankę.

- Mają prawo do kaprysów. - Guilford czuł się w obowiązku wystąpić w obronie członków klubu.

- To prawda - odparła z uśmiechem. - Co w tym złego, że oddaję to, czym oni wzgardzili, tym, dla których los jest mniej łaskawy?

Guilford po raz pierwszy w życiu zastanowił się nad tym, ile on sam marnował co wieczór, ile ledwo tkniętych potraw odsyłał do kuchni. Uświadomił sobie również, ilu jego przyjaciół było grubasami, których okrągłe brzuchy rozpychały haftowane, jedwabne kamizelki. Sam księżę regent zapoczątkował modę na przesadną tuszę; Guilford słyszał szeptem powtarzane informacje, że spodnie Jego Wysokości miały w obwodzie przeszło pięćdziesiąt cali.

- Te jabłka nie pochodzą z naszego stołu - zauważył. - Musiała je pani kupić specjalnie.

- Jabłka, mleko, chleb, cydr i sery zostały zakupione z dochodów płynących z hazardu. Utrzymujemy z tych funduszy zgromadzenie Świętego Crispina, większe Świętego Andrzeja i oczywiście prywatną trzódkę mojej siostry, Bethany, która zbiera się codziennie na tyłach Penny House. Billy Foksie, czy kręcisz się tutaj w jakimś konkretnym celu?

- Tak, psze pani. - Pomagający przy rozdziale żywności chłopak uśmiechnął się i przechylił głowę na bok, żeby spojrzeć na nią zawadiacko spod obszarpanego runda kapelusza, idealnie nadającego się dla stracha na wróble. - Tak właśnie postępuję w życiu. Idę prosto do celu.

- Arogant!

Amariah roześmiała się i rzuciła mu jabłko. Chłopak natychmiast z entuzjazmem zatopił w nim zęby, najwyraźniej głodny.

Guilford doszedł do wniosku, że chłopak musi mieć dziewięć czy dziesięć lat. Przerażliwie chudy, brudny i obszarpany jak wszyscy czekający pod kościołem nędzarze. Przynajmniej umył ręce, zanim zaczął pomagać przy rozkładaniu jedzenia. Miał zawadiacki, łobuzerski wdzięk, za który Guilford natychmiast go polubił.

- Jem też celowo, psze pani - powiedział pomiędzy jednym kęsem a drugim. - I nie ma w tym żadnej arogancji.

- Jeśli dama twierdzi, że jesteś arogantem, chłopcze, to jesteś - oświadczył Guilford ze śmiechem. Dziwne, przed chwilą opowiadał Amariah o swym dzieciństwie i nagle uświadomił sobie, że ten dzieciak był ulepiony z tej samej gliny, co on. - Możesz mi wierzyć. Na własnej skórze przekonałem się, że nie należy doprowadzać panny Penny do wściekłości.

- Gadanie! - Chłopak łypnął na niego z ukosa, spod ronda czarnego kapelusza. - Panna Penny to anioł dobroci, zawsze gotowa wszystko wybaczyć, nawet mnie.

- Lepiej nie kuś losu. - Guilford rzucił Amariah wymowne spojrzenie. - Niech pozostanie w anielskim usposobieniu. Radzę ci więc teraz zdjąć z głowy kapelusz i prosić o wybaczenie.

Zanim chłopiec zdążył zareagować, sam zerwał mu z głowy kapelusz.

- Proszę tego nie robić - syknęła stojąca obok Amariah. - Proszę!

Ostrzeżenie przyszło jednak za późno. Guilford zamarł

z kapeluszem Billy'ego w dłoni, rozpaczliwie, przerażająco świadom, jak straszliwy błąd popełnił.

Chłopiec nie drgnął, nie cofnął się. Stał w miejscu, wpatrując się w Guilforda równie uporczywie, jak księżę w niego. Nie mógł oderwać spojrzenia od tego, co skrywało szerokie rondo kapelusza. Tam, gdzie powinno znajdować się drugie błękitne oko, widniało przerażające kłębowisko blizn, ponaciągana, przypominająca roztopiony wosk skóra otaczała pusty oczodół.

Chłopiec wyciągnął do Guilforda odwróconą dłoń.

- To będzie pana kosztować pół korony. Nie pozwalam nikomu gapić się na mnie za darmo, a od takich dandysów jak pan biorę pół korony.

- To nie dandys, Billy - wtrąciła Amariah - to Jego Wysokość księżę Guilford.

- I co z tego? - Billy odrzucił do tyłu jasne włosy, jakby postanowił nie ukrywać niczego przed wzrokiem Guilforda.

- Zwracaj się do niego „Wasza Wysokość”, Billy - powiedziała Amariah, po czym wyjęła z dłoni Guilforda kapelusz i włożyła go na głowę chłopca, tak samo zawadiacko na bakier, jak poprzednio. - Jeśli nie zaczniesz bardziej zważać na słowa, możesz znaleźć się wśród nieszczęśników zesłanych do kolonii za brak respektu dla lepszych od siebie.

- To raczej on okazał brak respektu, gapiąc się na mnie tak, jakby w życiu nie widział czegoś równie wstrętnego - odparł Billy, choć już znacznie mniej zadziornie. Poprawił kapelusz, naciągając go głębiej. - Jestem szpetny jak sam diabeł i nawet pani nie może temu zaprzeczyć, panno Penny.

- Wcale nie powiedziałem, że jesteś szpetny, chłopcze - zaprotestował Guilford.

- Nie musiał pan tego mówić - oświadczył Billy z goryczą.
- Widziałem to w pańskich oczach. Obu oczach.

Skruszony Guilford zrobił krok w stronę chłopca i wyciągnął rękę na zgodę.

- Nie chciałem, Billy...

- Spływaj, milordzie - mruknął chłopiec i cofnął się. - Po prostu... spływaj i już.

Zanim Guilford zdążył się odezwać, Billy odwrócił się i uciekł z kościoła tylnymi drzwiami. W tym momencie wielbny Potter wprowadził pierwszych żebraków głównym wejściem.

- Jak pan mógł mu to zrobić? - zapytała Amariah, odsuwając się od stołu, do którego przepychali się wygłodniali nędzarze. - Niczym sobie na to nie zasłużył.

- A skąd, u licha, miałem wiedzieć o jego twarzy? - Guilford nadaremnie szukał w gęstniejącym tłumie sylwetki chłopca. - Mogła mnie pani ostrzec.

- Jasne, to byłoby naprawdę miłe! - Zabrała jeden z opróżnionych koszy. - Ten chłopiec to Billy Fox, sierota, a jego twarz jest poznaczona bliznami, bo przed laty wpadł w otwarty ogień na palenisku. Czy naprawdę pan przypuszczał, że uwierzy w te brednie, iż nie jest brzydki?

- To nie były brednie - oświadczył Guilford, który pamiętał, że zanim zobaczył blizny, porównał w myślach chłopca do cherubinka. - Mówiłem poważnie.

- Jasne, a on w to uwierzy, ponieważ usłyszał to z ust najprzystojniejszego, najdoskonalej zbudowanego mężczyzny na świecie. Idę go poszukać, bo boję się, że możemy go więcej nie zobaczyć.

- Nie, to ja pójdę. Popełniłem błąd i muszę spróbować go naprawić.

Zaczął przepychać się przez tłum tą samą drogą, którą uciekł chłopiec. Wyszedł na zewnątrz i stanął na stopniu

schodów. Billy zniknął w labiryncie krętych uliczek, w którym Guilford nie miał najmniejszych szans go odnaleźć. Nie dziwił się chłopcu; gdyby znalazł się w jego sytuacji, zrobiłby dokładnie to samo.

Nie wziął jednak pod uwagę ogromnej siły przyciągania swych wspaniałych koni.

Kiedy po wyjściu z kościoła i przejściu zaułka znalazł się na ulicy, przy której było główne wejście do świątyni, zobaczył, że stangret i lokaj pilnują, by żaden z ciekawskich nie podszedł do powozu.

Odnosiło się to również do Billy'ego, który przysunął się najbliżej, jak zdołał. Stał z rękami w kieszeniach za dużego płaszcza i zachłannie wpatrywał się w parę pięknych koni. Guilford dostrzegł we wzroku Billy'ego zachwyt i to nasunęło mu pewien pomysł. Podszedł do chłopca najciszej, jak mógł i stał przy nim przez chwilę w milczeniu, by go nie spłoszyć.

- Lubisz konie? - zapytał w końcu.

- Jasne - odparł Billy, nie odrywając wzroku od wierzchowców. - Należą do pana?

- Tak - odparł Guilford. - Nazywają się Hop i Buck. Mają tych samych rodziców, dlatego stanowią idealny zaprzęg. Buck jest starszy i nie pozwala Hopowi o tym zapomnieć. Możesz je pogłaskać po chrapach, jeśli chcesz.

Billy wstrzymał oddech i odwrócił się, żeby spojrzeć na Guilforda.

- Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Nie, jeśli podejdziesz powoli, żeby ich nie spłoszyć. Choć, przedstawię cię oficjalnie.

Zaprowadził chłopca do koni, nie zwracając uwagi na milczącą dezaprobatę stangreta.

- To jest Buck - powiedział, a chłopiec zaczął głośno chrząkać rozdęte chrapy konia. - A to Hop. Buck, Hop, ten młody człowiek to Billy Fox.

Chłopiec zachichotał rozpromieniony.

- Jest śliczny! - zachwycił się. - Jego kumpel też. Widziałem mnóstwo koni w Newmarket, to były konie wyścigowe, ale żaden nawet się do tych nie umywał. Prawda, Buck?

- One doskonale wiedzą, kiedy są podziwiane. - Guilford uśmiechnął się do uszczęśliwionego chłopca. - Staraleś się kiedyś o pracę w stajni? Wydaje mi się, że wszędzie potrzebują chłopców stajennych, szczególnie z takim sercem do koni jak ty.

Billy zarumienił się, nie zdejmując ręki z końskiego nosa.

- Raz pytałem, ale mnie wygonili. Powiedzieli, że przeraziłbym konie.

- Buck i Hop nie wyglądają na przerażone - zauważył Guilford. - A one, jak wszystkie konie, doskonale potrafią ocenić charakter człowieka. Może sprawdziłbyś słuszność ich oceny, przyjmując pracę w moich stajniach?

Chłopiec odwrócił się w jednej chwili, niepewny, czy może zaufać Guilfordowi.

- Za pieniądze?

- Muszę dowiedzieć się, ile mój koniuszy płaci chłopcom w twoim wieku. Dostaniesz też łóżko w pokoiku nad stajniami i posiłki, podobnie jak wszyscy zatrudnieni.

- Na serio mnie pan weźmie? - zapytał. - Nie robi pan ze mnie balona?

- Nie. - Guilford wyjął z kieszeni kamizelki kartę wizytową i wręczył ją chłopcu. - Przyjdź jutro rano pod ten adres i zapytaj o pana Lawsons. Uprzedzę go, że ma na ciebie czekać.

Billy wpatrywał się w sztywny, biały kartonik i Guilford

poniewczasie zdał sobie sprawę, że chłopiec najprawdopodobniej nie potrafi czytać.

- To Guilford House przy Grosvenor Square numer czternaście, na wizytówkach zawsze wypisują mnóstwo niepotrzebnych informacji.

Chłopiec kiwnął głową, nie odrywając wzroku od małego kartonika. Był bliski łez.

Książę poklepał go po wąskim, kościstym ramieniu.

- Więc do jutra - powiedział, żeby oszczędzić chłopcu podziękowań, których ten najwyraźniej nie był w stanie wykrztusić. - Buck i Hop będą na ciebie czekać. ,

Odwrócił się w stronę kościoła i dostrzegł stojącą na schodach Amariah, która najwyraźniej słyszała całą rozmowę.

- To nic takiego - powiedział Guilford tonem ni to wyjaśnienia, ni *to usprawiedliwienia*, *bo nie* był pewien, czego *od* niego oczekiwała. - Przecież mówiłem, że spróbuję wszystko naprawić, prawda?

- Nic takiego? - powtórzyła. - Och Guilfordzie! To, co pan przed chwilą zrobił, było więcej warte od tysiąca rubinowych bransoletek!



Rozdział piąty

Amariah spojrzała przez kryształowy kieliszek na twarz siedzącego naprzeciw niej księcia: mimo załamania i nierówności szkła wyraźnie widziała jego ujmujący uśmiech. Urok Guilforda był absolutnie nieodparty, a szczególnie po tym, co dziś zrobił.

Czyżby jednak zbyt wiele wypła?

- To był przemiły wieczór - powiedziała, nieco zbyt hałaśliwie odstawiając pusty kieliszek. - Naprawdę muszę wracać do Penny House.

- Nie musisz - zaprotestował.

- Ale wróć - oświadczyła Amariah.

Odsunęła się od stołu, choć nie przyszło jej to łatwo, bo miała wielką ochotę zostać. Stara nadrzeczna gospoda była w niedzielny wieczór niemal pusta, w niewielkiej salce byli jedynymi gośćmi. Płonący w kominku ogień chronił ich przed wieczornym chłodem, kucharz wciąż przysyłał nowe dania, służący z uporem napełniał jej kieliszek, więc pokusa pozostania była naprawdę silna.

A przecież nie wspomniała jeszcze o przystojnym dżentelmenie, który uśmiechał się do niej z naprzeciwka. Zdjęła

z kolan serwetkę, złożyła ją starannie i położyła na swoim nakryciu.

- Muszę wracać do domu, książę. Do Penny House. Czekam na mnóstwo pracy przed jutrzejszym dniem.

- Machnąć ręką na pracę. - Dał znak służącemu, by napełnił ich kieliszki. - Zbyt ciężko pracujesz, Amariah.

- Za to pan nie pracuje w ogóle. - Nakryła ręką kieliszek na znak, że nie chce więcej wina.

- *Touche!* Namawiam jednak, byś poszła za moim przykładem. Mniej pracy, a więcej rozrywki to najskuteczniejszy sposób, by uczynić życie przyjemniejszym.

- Przyjemniejszym! - Amariah zerwała się na równe nogi i mocno przytrzymała się oparcia krzesła, żeby odzyskać równowagę. - Lepiej prowadzić życie użyteczne niż *przyjemne*.

- Jedno nie wyklucza drugiego. - Guilford wstał również i odstawił kieliszek. - Skoro nalegasz, to odwiozę cię do domu. Nie chcę, by ktoś zarzucił mi brak galanterii wobec dam.

- Tego nikt panu nie może zarzucić. Jeśli poda mi pan ramię, książę, to też będzie objaw galanterii.

Ujął jej rękę i wsunął w zagięcie swego ramienia. Była z tego zadowolona, bo nie miała pewności, czy zdołałaby sama trafić.

- Dziękuję, Guilfordzie - szepnęła. Był taki uprzejmy, dobry, słodki... - Dziękuję... och... za wszystko.

- Podziękujesz mi, kiedy odstawię cię do domu - odparł, holując ją ku drzwiom. - Błagam, daj mi znać, gdyby zrobiło ci się niedobrze. Wolałbym, żebyś nie pochorowała się w powozie.

To stwierdzenie wydało się Amariah tak zabawne, że nie zdołała powstrzymać się od śmiechu i nie przestawała chicho-

tać nawet wtedy, kiedy księżę pomógł jej wsiąść do powozu i ruszyli w drogę powrotną

- Widzisz sama, Amariah - powiedział Guilford, również szczerze rozbawiony. - Mówiłem, że życie może być znacznie przyjemniejsze, i jak widzę, wzięłaś to sobie do serca.

Śmiech zamarł na ustach Amariah. Spojrzała na księcia, nie próbując nawet ukryć podziwu.

- Nadal nie mogę uwierzyć w to, co pan zrobił dziś po południu.

- Chodzi ci o tego chłopca? - Wzruszył ramionami, wyraźnie zakłopotany, przez co jeszcze zyskał w jej oczach. - Starałem się tylko wynagrodzić mu w ten sposób krzywdę i najwyraźniej mi się udało.

- Jest traktowany jak monstrum do pokazywania na jarmarku. Kiedy ludzie zobaczą jego blizny, nie chcą mieć z nim nic wspólnego.

- To przecież nie jego wina. Sądziłem, że nasze społeczeństwo wyrosło już z wiary w diabelskie oko i tym podobne nonsensy.

- Niestety, ludzie często tę wiarę osłabiają. - Westchnęła i pomyślała, jak dobrze czuje się w jego towarzystwie. - Jest pan znacznie miłszy, niż pragnie ludziom pokazać.

- Jestem, jaki jestem, kochanie, ani lepszy, ani gorszy.

- Myślę, że znacznie lepszy - oświadczyła, zsuwając się po miękkich poduchach powozu. - Nie wiem, dlaczego sądził pan, że będzie mi niedobrze, skoro nigdy w życiu nie czułam się tak znakomicie.

- Miejmy nadzieję, że w dalszym ciągu będziesz czuła się równie dobrze.

- Oczywiście, że będę, Guilfordzie. - Szttywne rondo kapelusza ciągle zahaczało się o oparcie, więc zdjęła nakrycie gło-

wy i położyła pomiędzy nimi na siedzeniu. - Mogę zwracać się do ciebie: Guilfordzie, prawda? Wiem, że wszyscy przyjaciele z klubu tak do ciebie mówią, to znacznie łatwiej niż: „Wasza Wysokość”.

- Możesz mówić do mnie Guilford, a ja będę cię nazywał Amariah, co uzgodniliśmy już trzy godziny temu. - Podniósł z siedzenia powozu jej kapelusz i skrzywił się na jego widok. - Nienawidzę tego kapelusza, Amariah, nienawidzę go od pierwszego wejrzenia.

- Ponieważ go nienawidzisz, Guilfordzie, to od tej chwili ja również będę go nienawidziła.

- W takim razie pozbędę się tego paskudztwa dla naszego obopólnego zadowolenia.

Opuścił okno powozu i, zanim Amariah zdążyła zaprotestować, wyrzucił odrażający fragment garderoby w noc.

- Guilfordzie! - pisnęła Amariah zaskoczona i przycisnęła ręce do policzków, przy czym zsunęła się jeszcze niżej po śliskiej skórce siedzenia. - Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś! Och, mój biedny, stary, paskudny kapelusik!

- Niech od tej chwili zdobi głowę stracha na wróble. Ty, moja śliczna Amariah, zasługujesz na coś znacznie piękniejszego.

Przysunął się bliżej, korzystając z kołysania powozu i pochylił się nad nią tak, że jego twarz przesłoniła jej całe pole widzenia: miała przed oczami ciemne rzęsy, ocieniające błękitne oczy, siny ślad zarostu na szczęce, czarne włosy, zwijające się w drobne loczki nad uszami.

- Chcesz mnie pocałować, prawda? - zapytała z uśmiechem.

- Przyznaję, że kusi mnie, żeby to zrobić.

- Mnie też - szepnęła i zarzuciła mu ręce na szyję.

Dziwne, jak bardzo różnił się pocałunek Guilforda od po-

całunków wszystkich innych mężczyzn. Właściwie jej doświadczenia były dość skromne, najwyżej pół tuzina panów skradło jej całusa, kiedy wychodziła podczas przerw w tańcach z sali balowej Havertown Assembly jeszcze jako najstarsza córka wielebnego Penny'ego.

Guilford potrafił całować - jego pocałunek nie miał nic wspólnego z pospiesznymi, ukradkowymi cmoknięciami. Całował czule, powoli potęgował jej doznania, aż z westchnieniem rozchyliła wargi, zapraszając go do pogłębienia pieśczozy. Wodziła palcami po twardych muskułach jego ramion. Nie miała pojęcia, że język mężczyzny i bliskość jego ciała mogą rozpalić w niej takie podniecenie.

A potem nagle było po wszystkim. Guilford usiadł w najdalszym kącie powozu, z rękami skrzyżowanymi na piersi, jakby odgradzał się od Amariah.

- Gdybym był tak miłym człowiekiem, za jakiego mnie uważasz - powiedział z żalem - nie zrobiłbym tego.

Usiadła wyprostowana.

- Owszem, ponieważ ja również bym to zrobiła.

Westchnął i wyjrzał przez okno, by oderwać od niej spojrzenie.

- Nie pomyślałabyś nawet o pocałunku, gdybym ci go przedtem nie zasugerował.

- Nie bądź taki cholernie zarozumiały! - ofuknęła go i również przesunęła się w kąt powozu, by znaleźć się jak najdalej od księcia. - Owszem, jesteś wielkim i wspaniałym księciem Guilfordem, ale nie zmusiłbyś mnie, bym cię pocałowała, gdybym nie miała na to ochoty.

- Czy to wyzwanie, panno Penny?

- Nie zamierzam cię do niczego prowokować - odparła ostrym tonem. Miły szmerek już prawie całkiem wyparował,

pozostawiając po sobie tylko tępy ból głowy i przykre poczucie, że właśnie zrobiła coś, czego długo będzie żałować. - Po prostu stwierdzam fakt. Daleko jeszcze do Penny House?

Guilford wyrżał przez okno.

- Już tylko przez pięć minut musimy znosić swoje towarzystwo.

- To nie było dowcipne - zauważyła, wymawiając każde słowo z naciskiem. - Może i słuszne, ale nie dowcipne.

Spojrzał na nią spod oka.

- Stwierdzenie godne prawdziwej jędzy.

- Oczywiście - odparła zgryźliwie. Nienawidziła tego określenia (przecież wcale nie była jędzą), ale nie zamierzała dać mu satysfakcji i powtórnie podejmować z nim dyskusji na ten temat. Wyrzała przez okno. - Już wjechaliśmy na moją ulicę. Stangret, proszę tu zatrzymać. Dziękuję za obiad, książę. I za wspaniałomyślność wobec Billy'ego Foksa. Niemniej muszę zrewidować swoją opinię o zaletach pańskiego towarzystwa.

Otworzyła drzwi i wyskoczyła, nie czekając, aż lokaj pomoże jej wysiąść.

- Do diaska, Amariah, wracaj! - zawołał Guilford. - Wracaj natychmiast!

Nawet się nie odwróciła, tylko z wysoko podniesioną głową maszerowała do kuchennego wejścia Penny House. Nie poszedł za nią. Gdyby potrzebowała dowodu, że nie powinna spotykać się z członkami klubu poza terenem Penny House, to właśnie go otrzymała.

Ze zdumieniem stwierdziła, że w kuchni jest ciemno, a kiedy cichutko zastukała do drzwi, nikt jej nie otworzył. Czyżby naprawdę wróciła tak późno, że wszyscy już poszli spać? Poszukała w torebce klucza i weszła do mrocznej kuchni.

Ruszyła w stronę schodów, gdy nagle nadepnęła na coś twardego. Pomyślała, że to kromka suchego chleba i pochyliła się, żeby ją podnieść, ale zamiast okruchów chleba zobaczyła potłuczone szkło, a trochę dalej, pod stołem - pół cegły owiniętej papierem. Obejrzała się przez ramię i dostrzegła stłuczoną szybę. Wyjęła cegłę spod stołu i zapaliła świecę. Wygładziła papier i przeczytała wiadomość, wypisaną starannym charakterem pisma.

„Droga panno Penny!

Dlaczego zignorowała pani moje ostrzeżenie?

Nadal toleruje pani OSZUSTA i jeśli go pani nie wyrzuci, to ja okryję go hańbą, a wraz z nim i Panią. Podam to do prasy.

Proszę nie wątpić w moje słowa, mówię poważnie i przyjdzie pani za to zapłacić.

Pani oddany

Przyjaciel prawdy i sprawiedliwości."

Oto odpowiednie zakończenie pechowego dnia. Amariah ponownie przebiegła wzrokiem wiadomość, by upewnić się, że niczego nie przeoczyła. Niewątpliwie był to ten sam nadawca, co poprzednio; elegancki charakter pisma nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości. Przypomniała sobie, że przecież zrobiła już wszystko, by zabezpieczyć salę gier przed ewentualnym oszustem.

Tym razem nadawca zwrócił się do niej bardziej familiarnie „Droga panno Penny!" i groził nie tylko Penny House, ale i jej osobiście. Nieważne, że charakter pisma wskazywał na dżentelmena, bo postępowanie wyraźnie temu przeczyło. Im dłużej wpatrywała się w kartkę, tym silniej drżały jej ręce, a serce mocno biło z trwogi.

A gdyby ten człowiek jeszcze był na podwórzu, gdy na nie weszła? Gdyby postanowił „kazać jej zapłacić”, kiedy była sama, skoncentrowana na poszukiwaniu w torebce klucza do drzwi? Jak mogła dopuścić, by duma i gniew na Guilforda wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem? Jak mogła samotnie maszerować ciemną aleją w środku nocy, zamiast pozwolić odwieźć się pod frontowe wejście? Lokaj stałby przy drzwiach i czekał, aż ona bezpiecznie znajdzie się w środku.

Rozległo się pukanie do drzwi. Szybko wsunęła list do rękawa i złapała cegłę, by mieć się czym bronić. Przez okno dostrzegła niewyraźną sylwetkę wysokiego mężczyzny. Podniosła wyżej świecę, by oświetlić jego twarz.

- Guilford! - Szeroko otworzyła drzwi. - Bogu dzięki, to tylko ty!

- Tylko ja? - Spojrzał na cegłę w jej dłoni i na stłuczone okno. - Jak miło słyszeć tak serdeczne powitanie. Czyżbyś zapomniała klucza, a może zwykłaś w ten właśnie sposób wchodzić do domu?

- Posłuchaj. - Wzięła głęboki oddech dla uspokojenia. - Ktoś stłukł cegłą okno. Razem z cegłą wrzucono ten list.

Guilford przeczytał kartkę.

- Mógł na ciebie czekać, Amariah - stwierdził. - Mógł cię skrzywdzić, a nawet zabić.

- Ale tego nie zrobił. Tak czy owak, to łajdak.

- Powinnaś natychmiast wezwać straż miejską, a rano powiadomić konstabla.

- Żadnego konstabla, żadnych strażników! - zaprotestowała Amariah. - Penny House nie może sobie pozwolić na skandal, a nie dałoby się go uniknąć, gdybym włączyła w tę sprawę służby porządkowe. Zresztą podejrzewam, że te brednie wypisuje jeden z członków klubu. Co byśmy zrobili, gdyby kon-

stabl ujawnił światu jego nazwisko? Chyba rozumiesz, że nie możemy podjąć takiego ryzyka. Przecież poza stłuczonym oknem nie ma żadnych strat.

- Tym razem.

- Ani tym razem, ani w ogóle - odparła stanowczo. - Nie jestem dzieckiem. Potrafię o siebie zadbać.

- Zastanów się. Już zapomniałaś, co spotkało twoją siostrę?

Oczywiście, że pamiętała. Bethany została porwana, gdy szła aleją za domem, tą samą, którą Amariah przemierzyła kilka minut temu. Bardzo niewiele brakowało, a Bethany zostałaby zamordowana. Uratował ją William Callaway.

- To... to całkiem co innego - wyjąkała, odwracając głowę, by nie wyczytał prawdy z jej twarzy.

- Nie zmieniło się tylko jedno: znowu postanowiłaś ignorować fakty. Jeśli nie chcesz skończyć z lufą pistoletu przy skroni, to radzę ci, przestań odgrywać bohaterkę i wezwij straż.

- Niczego nie odgrywam! Jestem Amariah Penny z Penny House i byłabym ci wdzięczna, Guilfordzie, gdybyś o tym nie zapominał.

Zamknęła oczy, by odzyskać panowanie nad sobą. Zdernował ją przypomnieniem przerażającego obrazu Bethany z lufą pistoletu przy skroni. Niemal czuła na skórze chłód metalu, kwaśny zapach prochu, męskie ramię zaciśnięte na szyi, by nie mogła walczyć, gdy on...

- Amariah? - Usłyszała głos Guilforda.

Ostatkiem przytomności uświadomiła sobie, że nie mdleje z gracją jak światowa dama, a leci głową do przodu, bo kolana się pod nią ugięły, a ręce zwisły bezwładnie jak u marionetki, której odcięto sznurki.

- Nic się nie stało - powiedział uspokajająco Guilford, bio-

rać Amariah w ramiona. - Nic ci nie będzie. Spójrz na mnie, kochanie. To tylko twój stary, złośliwy przyjaciel. Nikt inny.

- Nic mi nie jest - szepnęła słabo. - To tylko zmęczenie i nadmiar wina.

- Tak, wino - powtórzył miękko. Był przejęty i zatroskany, nigdy go takim nie widziała. - Poznajesz mnie?

- Oczywiście, że cię poznaję.

Zdawała sobie sprawę, że powinna go odepchnąć, by udowodnić, że może stać o własnych siłach, ale smutna prawda była taka, że nie miała na to najmniejszej ochoty. Otaczające ją ramiona dawały poczucie bezpieczeństwa, a tym razem chciała czuć się chroniona.

A niech to! Lubiła go.

- Jak mogłabym nie wiedzieć, kim jesteś?

-- Złośliwym, starym Guilfordem?

- Zawsze cię poznam.

Zsunął dłonie wzdłuż jej pleców i przestał ją podtrzymywać.

- Nie powinienem spuszczać cię z oka. Dlaczego pozwoliłem ci odejść?

- Odeszłam z własnej woli. Nie miałeś tu nic do pozwania.

- Należało szybciej ruszyć za tobą - oświadczył. - Nie mogłbym spojrzeć sobie w oczy, gdyby cokolwiek ci się stało.

- Och, twoje sumienie przetrwa każdą próbę. - Zamierzoną złośliwość złagodził miękki ton.

Księżę pochylił się i zawładnął ustami Amariah. Znów, jak poprzednio, poczuła zawrót głowy. Zarzuciła mu ręce na szyję, żeby nie stracić równowagi. Ponieważ już raz ją pocałował - tego dnia w powozie - wydawało jej się, że wie, czego może się spodziewać, kiedy ich wargi znów się spotkają. Tym razem

było inaczej. Całował ją delikatnie, z czułością, jakiej się po nim nie spodziewała.

- Panno Penny! - rozległ się głos Pratta zaskoczonego tym, co widzi. - Proszę wybaczyć, nie chciałem przeszkadzać.

Amariah odskoczyła od Guilforda jak oparzona. Pratt stał przy służbowych schodach ze świecą w dłoni. Na głowie zamiast peruki miał białą szlafmycę, a liberię, w której zwykle występował, zastąpił czarny szlafrok.

- Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość, przepraszam panią - powtórzył, kłaniając się. - Boyd słyszał jakieś głosy w kuchni, a że pani jeszcze nie wróciła, pomyślałem, że lepiej sprawdzić. - Nie przyszło mi do głowy, że pani... że ja... zobaczę...

- Nie tłumacz się, Pratt - poprosiła Amariah, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Wyraz twarzy zarządcy uświadomił jej, jak egoistycznie się zachowała, zapominając o odpowiedzialności za los wszystkich mieszkańców Penny House, od Pratta poczynając na młodej dziewczynie, która urodziła dziecko w kantorku przy kuchni, kończąc. - Postąpiłeś słusznie.

Nie odważyła się spojrzeć na Guilforda. Czy był zły, że im przerwano, czy raczej rozbawiony? Bo to w gruncie rzeczy było zabawne; jeszcze nigdy nie została przyłapana z mężczyzną w sytuacji zwanej w kręgach towarzyskich kompromitująca.

Dla Guilforda natomiast to niewątpliwie nie była pierwszozna.

- Zdecydowanie postąpiłeś właściwie, Pratt - oznajmił z przekonaniem - ale powinieneś raczej troszczyć się o bezpieczeństwo panny Penny niż o jej reputację. Przyślij kogoś, żeby zabezpieczył wybite okno.

- Oczywiście, Wasza Wysokość - odparł Pratt, wdzięczny za zmianę tematu.

- To pewnie sprawka jakichś miejscowych łobuzów - uważył Guilford, trącając czubkiem buta jeden z odłamków szkła. - Jednak wezwałbym straż na wypadek, gdyby...

- Jego Wysokość już wychodzi, Pratt - wtrąciła Amariah, zanim zdążył powiedzieć coś, co wzbudziłoby podejrzenia zarządcy.

- Czy na pewno chce pani, bym wyszedł, panno Penny? - zapytał Guilford z najbardziej czarującym ze swych uśmiechów. - Noc jeszcze młoda i z pewnością nie chce jej pani spędzić sama, skoro...

- Dobranoc, Wasza Wysokość - powiedziała z pełnym irytacji ukłonem.

Owszem, przyjęła jego wsparcie, gdy była zdenerwowana, ale chyba nie przypuszczał, że to daje mu prawo do spędzenia z nią nocy?

Guilford wyciągnął do niej rękę w pełnym wdzięku geście, który można było uznać za zaproszenie bądź pożegnanie. Gdzie on się tego nauczył?

- Nie, dziękuję, Wasza Wysokość - odparła. Wolałaby, żeby jej głos nie brzmiał tak oschle.

- Jest pani pewna, panno Penny? Trzeba pani wiedzieć, że mam spore doświadczenie w przeganianiu z sypialni potworów i goblinów.

- Dobranoc, książę - powtórzyła z naciskiem. Była odpowiedzialna za Penny House, była to winna nie tylko siostrom, ale przede wszystkim pamięci ojca. - Proszę o wybaczenie, ale jestem bardzo znużona. Dlatego nie odprowadzę pana osobiście. Pratt, zastąp mnie.

Z wysoko podniesioną głową, wyprostowana, zaczęła wchodzić po schodach i nawet oparła się silnej pokusie obejrzania się za siebie.

Westbrook szedł spiesznie aleją w stronę ulicy, z opuszczoną głową i skulonymi ramionami, starając się pozostać niezauważonym. Po ostatnim spotkaniu niczego już nie był pewien.

Dlaczego, u licha, Amariah Penny błąkała się po nocy wokół domu, skoro klub był dziś zamknięty? I, co gorsza, co tu robił Guilford?

Chciał tylko podrzucić kolejny liścik. Zasiać następne ziarno wątpliwości, zachwiać fundamentami Penny House, postraszyć perspektywą skandalu. Natomiast zdecydowanie nie potrzebował dwojga świadków, którzy mogli go rozpoznać.

Skreślił w ulicę i zwolnił kroku, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Nie zauważyli go. Gdyby go spostrzegli, ruszyliby za nim w pogoń. Odetchnął spokojnie. Był bezpieczny.

W przeciwieństwie do Penny House.

Następnego dnia Guilford obudził się w paskudnym nastroju. W tak niebywale podłym nastroju, że nie tylko zaszył się w najciemniejszym kącie u White'a, ale jeszcze odwrócił swój fotel tyłem do sali. Nawet gdyby wywiesił na plecach szyld, nie mógłby wyraźniej zademonstrować złego humoru.

- A więc tu się ukrywasz! - Henry, lord Stanton, spojrział z góry na Guilforda. - Rozumiem, że zmagasz się z rozpaczą w samotności.

Książę wiele by dał, by przyjaciel zniknął.

- Jak zwykle bredzisz. Dlaczego miałbym rozpaczać? Jeśli nie liczyć tego, że zakłócasz mój spokój.

- Nie udawaj idioty. - Stanton pochylił się do ucha przyjaciela. - Rozpaczasz nad przegranym zakładem.

- Nie przegram! - Guilford błyskawicznie odwrócił się

wraz z fotelem, by móc zmierzyć przyjaciela oburzonym spojrzeniem. - Co nasunęło ci ten idiotyczny pomysł?

- O ile wiem - oświadczył Stanton z denerwującą pewnością - byliście z panną Penny tak zajęci karmieniem żebraków, że wasza noga nie powstała u Carlisle'a.

- Po prostu zamiast do zatłoczonego Carlisle'a zabrałem ją do Złotego Jelenia nad rzeką - odparł Guilford. - Zresztą to nie twoja sprawa.

- Złotego Jelenia? - powtórzył zaskoczony Stanton. - Ta stara knajpa nie nadaje się do uwodzenia.

- Doskonale się spisała - zapewnił Guilford, przypominając sobie, jaka radosna była Amariah w powozie, gdy wracali do domu. Gdyby tylko pozwolił, by i jemu wino uderzyło do głowy (albo przynajmniej uspiło jego sumienie), mógł od razu wykorzystać sytuację i teraz zażądać od Stantona wygranej.

- Uświadom sobie, że panna Penny to nie jakaś aktoreczka, gotowa pokazywać się publicznie nawet przy jedzeniu.

- To prawda. To rudowłosa córka biednego pastora, która prowadzi salon gry dla elity.

- Uważaj, co mówisz o panie Amariah Penny! - zareagował ostro ksiązę, zaskakując nie tylko przyjaciela, ale i samego siebie.

- A jednak ją zdobyłeś, tak? Inaczej nie stawałbyś w jej obronie.

- Nie, nie zdobyłem - uciął Guilford. - Skończ już z tymi niesmacznymi spekulacjami.

Stanton uśmiechnął się i niedbale machnął ręką.

- Mój drogi Guilfordzie, a czymże jest nasz zakład, jeśli nie niesmaczną spekulacją?

- Co jest niesmaczną spekulacją? - wtrącił się baron Westbrook.

Książę westchnął z rezygnacją. Już sam Stanton był wystarczająco irytujący, Alec, baron Westbrook to już za wiele. Guilford nigdy za nim nie przepadał, uważał go za człowieka powierzchownego, bez własnego zdania, powtarzającego jak echo opinie rozmówcy. Zresztą był on raczej znajomym Stantona niż Guilforda.

- Chodzi o zakład dotyczący właścicielki Penny House, Westbrook - wyjaśnił Stanton z wyraźną satysfakcją. - Tej wysokiej, rudowłosej lali, która wita gości przy drzwiach.

Irytacja Guilforda ustąpiła miejsca prawdziwej furii.

- Panna Penny to nie żadna „lala”, Stanton. Wydawało mi się, że już to ustaliliśmy.

- Ale jest jędzą - orzekł Westbrook, wesolutki jak rudzik, którego zresztą przypominał, bo miał na sobie czerwoną kamizelkę, nieco zbyt opiętą na zaokrąglonym od nadmiaru brandy brzuchu. - Sam to napisałeś w księdze zakładów. Widziałem na własne oczy. Przewidywałeś, że nigdy nie wyjdzie za męża, bo jest jędzą i żaden mężczyzna jej nie zdobędzie.

Teraz do rozmowy wtrącił się Stanton, którego oczy błyszczały z podniecenia.

- To tylko połowa zakładu. Stanął jeszcze jeden, bardziej prywatny zakład ze mną, że w ciągu dwóch tygodni Guilford ją uwiedzie, nie zważając na to, jaką jest jędzą.

- Chętnie się przyłączę. - Westbrook pochylił się i zajrzał w twarz Guilforda. - Jaka jest stawka? Będziemy żądali szczergółów, by upewnić się, że rzeczywiście zdołałeś...

- Odczep się, Westbrook. - Książę wstał gwałtownie i usunął obu mężczyzn z drogi. - Wypchaj się ze swymi pieniędzmi. Nie wejdiesz do tego zakładu.

- Nie wygrasz. Z tą kobietą ci się nie uda. Panna Penny nie

będzie miała czasu nawet dla takiego przystojniaka jak ty, bo musi rozprawić się z jakimś oszustem w klubie.

Zaskoczony Guilford okręcił się na pięcie.

- Gdzie, u licha, o tym słyszałeś? - zapytał gniewnym szeptem, żeby nikt nie mógł podsłuchać, o czym mówią. - Nie zdajesz sobie sprawy, że taki skandal mógłby zniszczyć Penny House?

- To... to tajemnica poliszynela, całe miasto o tym mówi - wyjąkał Westbrook, cofając się. - Nie pamiętam, gdzie mi o tym mówiono. Do licha, Guilford, to przecież tylko cholerny salon gier hazardowych, który chce się dobrać do naszych kieszeni. To prawda, wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

- Prawda, Westbrook? - powtórzył Guilford z niesmakiem. - Taki drań jak ty nie rozpoznałby prawdy, nawet gdyby się o nią potknął.

Zbiegł po schodach na ulicę, gdzie czekał jego powóz. Prawda, a niech go! Westbrook to ignorant! Jaka szkoda, że Amariah nie mogła zabrać wszystkich członków klubu, którzy narzekają na pecha w kartach, do kościoła Świętego Crispi-
na, żeby im pokazać, jak ich przegrane zmieniają się w żywność dla...

- Cześć, wasza łaskawość.

Guilford zatrzymał się i spojrzał na stojącego mu na drodze chłopca.

- Billy Fox! - zawołał. - Co tu, u licha, robisz?

Chłopiec uśmiechnął się i przekrzywił głowę tak, by móc swym jedynym okiem patrzeć na księcia. Wyraźnie dołożył starań, by przed tym spotkaniem poprawić swą powierzchowność: umył twarz i ręce, uczesał włosy, a nawet stary kapelusz starannie oczyścił z kurzu i trawy.

- Miłego dnia, wasza łaskawość - powiedział, dotykając

w powitalnym geście brzegu kapelusza. - Przyszedłem w sprawie posady, którą mi pan zaproponował, tej z końmi.

- Ale dlaczego tutaj? Dlaczego nie poszedłeś na Grosvenor Square?

Chłopiec nadal uśmiechał się, ale zeszywniał, wyraźnie miał się na baczności.

- Były powody, panie - mruknął tonem usprawiedliwienia.

- Poważne powody.

Guilford skinął głową, żeby uspokoić chłopca, bo bał się, że Billy ucieknie jak wczoraj.

- Ale nie zmieniłeś zdania co do posady, prawda? - zapytał łagodnie. - A może znalazłeś inne miejsce, które ci bardziej odpowiada?

Chłopiec aż sapnął.

- Nie, panie, to nie tak. Jasne, że dalej chcę tej posady!

- To dlaczego nie zgłosiłeś się do głównego koniuszego?

Chłopiec potrząsnął głową, ale nie odpowiedział.

- Powiedz mi, Billy. Jeśli nadal chcesz zajmować się moimi końmi, muszę to od ciebie usłyszeć.

- Chciałem się upewnić co do pana. Sprawdzić, czy nie zaproponował mi pan pracy tylko ze względu na pannę Penny, żeby jej sprawić przyjemność i zasłużyć sobie na jej pocałunek czy coś w tym rodzaju. A jak jej nie będzie w pobliżu i nie będzie widziała, to mnie pan przegoni jak inni.

- Myślałeś, że chciałem tylko zrobić wrażenie na pannie Penny? - To była niska, niecna pobudka. Niestety, było w tym sporo prawdy. - O to chodzi, Billy?

Chłopiec kiwnął głową.

- W gruncie rzeczy tak.

Guilford westchnął i wyprostował się. Nie zamierzał popełnić tego samego błędu, co Amariah i wierzyć, że może zmie-

nić dolę biedoty Londynu, ale mógł przynajmniej zrobić coś dobrego dla tego jednego chłopca.

- Nigdy nie cofam danego słowa - powiedział i położył rękę na kościstym ramieniu Billy'ego. - A teraz powiedz, czy lubisz zapiekane cynaderki?

- Tak, panie! Kto by nie lubił?

- Nikt przy zdrowych zmysłach - przyznał Guilford. - Znam pewną gospodę w pobliżu, gdzie robią najlepsze cynaderki na świecie. Zjemy i pogadamy o koniach. Weź pod uwagę, że panny Penny nie będzie w pobliżu.

Rozdział szósty

- Dobry wieczór, milordzie. - Amariah skłoniła głowę i dygnęła zgodnie z wymogami dworskiej etykiety, określającej precyzyjnie głębokość ukłonu należnego wicehrabiemu.

- Bardzo nam pana brakowało w Penny House.

Wicehrabia odpowiedział jej uśmiechem, wyraźnie zadowolony, że za nim tęskniono, szczególnie, że powiedziała mu o tym w obecności przyjaciół, w których towarzystwie skierował się do sali gier. Będzie dzisiaj wysoko grał, pomyślała Amariah; powinna pamiętać, by zatrzymać się przy nim, dodać mu otuchy i podtrzymać poczucie satysfakcji.

Z ciepłym uśmiechem zwróciła się ku grupie dżentelmenów, wchodzących właśnie do holu. Aż dziw, z jakim trudem jej to przychodziło, i to wcale nie tak dawno. Tak bardzo się bała, że pomyli nazwiska i tytuły.

- W sali hazardu wszystko jest jak zwykle, panno Penny - rozległ się zza jej pleców głos Pratta, znizony do szeptu, by nikt niepowołany nie mógł go podsłuchać. - Wszystkie stoły zajęte, ale nikt nie wygrywa bardziej niż inni. Żaden z panów nie robi wrażenia szczególnie podekscytowanego czy nieumiarkowanego. Pan Walthrip i jego ludzie mają

oczy szeroko otwarte i nic im nie umknie, podobnie lokaje i strażnicy.

- Dziękuję, Pratt - odszepnęła i usłyszała, że zarządca prze-suwa się za jej plecami, by wrócić do swych obowiązków.

Znow wróciła myślą do listu. Pokazała go wyłącznie Prattowi, nikt inny z personelu nie został o nim poinformowany. Pratt, podobnie jak Guilford, namawiał ją, by zawiadomiła straż, ale odpowiedziała mu to samo, co księciu. Dopóki nie będzie miała żadnego dowodu poza listem, dopóty nie narazi Penny House na skandal. Klub przetrwa i to zagrożenie.

Ta próba wydawała się Amariah łatwa w porównaniu z drugą, której musiała stawić czoło. Poprzedniego wieczoru pocałowała członka klubu, potem przed nim uciekła, by po chwili całować go znowu. Niech licho porwie Guilforda! Nic dziwnego, że do świtu nie zmrużyła oka, tylko wzdychała i przewracała się z boku na bok.

- Dobry wieczór, Wasza Wysokość. - Starając się powstrzymać zdradziecki rumieniec, rozłożyła wachlarz i wykonała dworski ukłon. - Co za radość dla Penny House, że raczył pan dzisiaj złożyć nam wizytę.

- Co za nonsens, panno Penny - powiedział Guilford z uśmiechem. - Po ostatniej nocy z pewnością wołałabyś, bym już nigdy nie przestąpił progu tego domu.

- Błąd, Wasza Wysokość. Jesteś tak marnym graczem i tracisz tak znaczne sumy, że nie mogłabym pragnąć, byś przestał bawić w klubie. Skany Anula43, przerobienie pona.

Stanął obok niej, jak czynił to już wielokrotnie, więc nikt nie mógł dostrzec w tym niczego niezwykłego.

- W takim razie w bardzo dziwny sposób okazujesz pazer-ność, panno Penny - stwierdził. - Nawet rozbójnik na wrzo-sowisku staje przed ofiarą twarzą w twarz, zanim zażąda łu-

pu, natomiast ty ostatniej nocy nie zostałam nawet tak długo, by *ŻYCZYĆ* mi słodkich snów, zostawiłaś mnie samego z portfelem.

Amariah ukłoniła się dwóm nowo przybyłym dżentelmenom z olśniewającym uśmiechem na ustach.

- To był długi, męczący dzień, Guilfordzie, i jeszcze dłuższa noc. Czułam się tak wykończona, że musiałam natychmiast się położyć.

- Gotów byłem zanieść cię na rękach i osobiście położyć do łóżka - oświadczył i przesunął palcami po jej ramieniu tak delikatnie, że mógł to być przypadkowy dotyk. - Wystarczyło poprosić.

- Ale ja o to nie prosiłam. - Odsunęła się nieznacznie. - Niestety, w moim łóżku nie ma dla ciebie miejsca.

- Wiem - przyznał. - Właśnie dlatego tak ci się podobał mój powóz.

- Jeśli to już wszystko, co możesz...

- Czy poinformowałaś konstabla o tym, co wydarzyło się ostatniej nocy?

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Guilfordzie, mówiłam ci przecież od razu, że nie zamierzam tego robić. Podjęliśmy daleko idące środki ostrożności, by zabezpieczyć stoły do gry przed oszustem. Zresztą poza tymi listami nie mam dowodu, że ktokolwiek kiedykolwiek oszukiwał przy grze.

- Listami? - powtórzył ostrym tonem. - Czyżbyś dostała następny?

- Powiedziałam już, że nie wybieram się do konstabla, i koniec dyskusji - ucięła, nie odpowiadając na jego pytanie. Guilford był bystry, zawsze go za to ceniła. Oczywiście musiał zauważyć nawet tak drobne przejęzyczenie. Odwróciła się

w stronę drzwi i wyciągnęła rękę do kolejnego dżentelmena, wchodzącego do holu. - Dobry wieczór, baronie Westbrook! Od dawna nie zaszczycił już pan Penny House swą obecnością. Tym milej nam gościć pana dzisiaj.

- To ja jestem zaszczycony, panno Penny, że znów panią widzę. - Westbrook uśmiechnął się tak szeroko, że czerwone policzki niemal zasłoniły mu oczy. Z tą okrągłą twarzą i równie okrągłą figurą przypominał Amariah złośliwego chochlika. - Tylko ważne sprawy rodzinne powstrzymywały mnie od odwiedzin w tym przybytku dobrej fortuny.

- Witam pana z powrotem - powiedziała. Baron Westbrook był kurą znoszącą złote jajka, gdyż obdarzony został dobrodziejstwem rodzinnego majątku zbudowanego na węglu i cynie przy równoczesnej całkowitej niemożności opanowania nawet najprostszych gier losowych czy zręcznościowych. Pieniądze przepływały mu przez ręce z taką łatwością, że Amariah była gotowa zaoferować mu apartament gościnny pod swoim dachem, byle tylko zechciał zostać dłużej i grać, wzbogacając klub. - Serdecznie zapraszam, osobiście zaprowadzę pana do sali hazardu i wskażę miejsce przy stole.

Kiedy jednak chciała podać rękę Westbrookowi, Guilford stanął pomiędzy nimi.

- Sam znajdzie krzesło, panno Penny.

- Dlaczego miałbym odrzucić tak uprzejmą ofertę damy, Guilfordzie? - zapytał Westbrook, wtykając kciuki do kieszonek kamizelki. - Nie chciałbym obrazić panny Penny. Ty też nie powinieneś, jak sądzę.

- Nie ma mowy o urazie. - Amariah ze zdumieniem wodziła wzrokiem od Westbrooka do Guilforda. Między obu mężczyznami niewątpliwie wytworzyło się niezrozumiałe napięcie. Byli mniej więcej w tym samym wieku, ale obracali się

w innych kręgach towarzyskich i nigdy dotychczas nie widziała ich razem. - Jak mówiłam, baronie, jest pan tutaj miłym gościem.

- Niezależnie od tego, jaką wybiorę grę, panno Penny? - zapytał Westbrook z tajemniczą miną. - Zawsze będzie mnie pani witać, bez względu na to, na co postawię?

- Dosyć tego, Westbrook. - Księżę złapał barona za ramię i, zanim Amariah zdążyła się zorientować, niemal wywłókł go z klubu na ulicę.

- Guilford, co pan wyprawia?! - wykrzyknęła i próbowała wybiec za nimi, ale na drodze stanęła jej grupa mężczyzn, którzy stłoczyli się przy drzwiach, żeby popatrzeć. - Przepraszam, proszę mnie przepuścić.

- Niech ich pani zostawi, panno Penny - poradził lord Henry Stanton, który przyszedł z Westbrookiem. - To drobne nieporozumienie między dwoma panami.

- Co oni robią? - pytała, nie mogąc niczego dostrzec poprzez gromadę gości. - Chyba się nie biją, prawda? Nie będę tolerowała bójek przed drzwiami tego domu.

- Nie biją się - poinformował jakiś mężczyzna, wyciągając szyję. - Przecież Guilford rozłożyłby Westbrooka jednym palcem.

- Nie dopuszczę do tego! - zawołała zdenerwowana i dała znak odźwiernym, stojącym po obu stronach wejścia. Nie chciała, by ktoś został zamordowany czy zraniony w pobliżu białych, marmurowych schodów jej domu. - Boyd! Cary! Idźcie tam zaraz i dopilnujcie, by ci dwaj panowie nie pobili się i...

Jej słowa utonęły w głośnym aplauzie stojących przed nią mężczyzn, którzy rozstąpili się, by przepuścić kroczącego z buńczucznią miną Guilforda, wracającego samotnie do klu-

bu. Stanął przed Amariah, odgarnął włosy z czoła i skłonił się z uśmiechem na ustach.

- Baron Westbrook bardzo żałuje, ale nie będzie jednak mógł zagrać dzisiaj w klubie, panno Penny - powiedział, a stojący wokół mężczyźni ucichli, by usłyszeć, co mówi. - Nagła niedyspozycja sprawiła, że musiał natychmiast wracać do domu i położyć się do łóżka.

Amariah zirytowała ta zuchwałość, ale najbardziej zdumiało ją zachowanie audytorium - ci wielcy panowie gwizдали, tupali i krzyczeli jak gromada pijanych marynarzy w najniebezpieczniejszej speluncie w dokach, a Guilford puszył się niczym indor.

- Wasza Wysokość! - podniosła głos, by przekrzyknąć harmider. - Chciałabym zamienić z panem słówko na osobności.

Pomachał ręką na znak zgody jak aktor, który dziękuje za aplauz publiczności.

- Tędy - wycodziła, wskazując ręką niewielki pokój w głębi korytarza. - Chodźmy.

Wszedł za nią do pokoju i z założonymi na piersi ramionami czekał, aż zamknie drzwi.

- Chcesz mnie ukarać, droga panno Penny? Skrzyczeć? Wysmagać najostrożniejszymi wyrazami, jakie istnieją w słowniku? A może zostaną odesłany do dziecięcego pokoju o chlebie i wodzie?

- Zamilknij, Guilfordzie, proszę! - Amariah zacisnęła opuszczone dłonie w pięści, żeby opanować pokusę rzucenia się na niego ze zgoła niechrześcijańską furją. - Należysz do uprzywilejowanych członków klubu. Jesteś filarem komitetu członkowskiego. Zdajesz sobie chyba sprawę, że muszę stawiać wszystkim te same wymagania.

- Jesteś wymagającą guwernantką, panno Penny.

- Cicho bądź, Guilfordzie, i przynajmniej raz w życiu posłuchaj! - Rzeczywiście poczuła się w tym momencie jak surowa guwernantka. - Wiesz doskonale, że obowiązujące tu reguły zdecydowanie zabraniają bijatyk na terenie i w pobliżu Penny House pod groźbą natychmiastowego i definitywnego skreślenia z listy członków i nawet ty...

- Nie byliśmy na terenie klubu - przerwał. - W pobliżu, ale nie na terenie. Żadne reguły nie odnoszą się do bliskiego sąsiedztwa. Ponadto to wcale nie była bójka.

- Więc dlaczego inni goście pchali się do drzwi?!

- Ja tylko wytłumaczyłem Westbrookowi, dlaczego nie jest mile widziany w Penny House.

- Ten człowiek kiedyś w ciągu jednej nocy przegrał tutaj dwadzieścia tysięcy funtów! Oczywiście, że jest wyjątkowo mile widzianym gościem. Choćby codziennie.

- Nie mów tak. Nie warto go tu wpuszczać nie tylko za dwadzieścia tysięcy funtów, ale nawet za całą herbatę Indii Wschodnich.

- Nie zmienię zdania! - wykrzyknęła Amariah i zaczęła okładać księcia pięściami. - Przyjmę Westbrooka, jego dwadzieścia tysięcy i całą herbatę Indii. Po tym, co wczoraj widziałeś, powinieneś rozumieć. Celem istnienia Penny House jest pozyskiwanie funduszy. Potrzebujemy właśnie takich członków jak baron, który...

- Do licha, Amariah, zrobiłem to, żeby cię chronić.

- Chronić? - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. - Przed Westbrookiem?

- Tak, przed Westbrookiem - potwierdził niskim głosem.

- Nie znasz go tak dobrze jak ja.

- Nie potrzebuję stróża, Guilfordzie, szczególnie takiego, który nie wpuszcza graczy do Penny House.

- To nie takie proste, Amariah.

- Owszem, proste - powiedziała i rzeczywiście dla niej wszystko było jasne. - Ponieważ wczoraj mnie pocałowałeś, wydaje ci się, że masz prawo... nie, wydaje ci się, że masz wręcz obowiązek odpędzać ode mnie innych mężczyzn, choćby nie mieli złych intencji.

- Amariah, proszę... - Wyciągnął do niej rękę.

Cofnęła się i pokręciła głową, zaciskając usta.

- Znow ten ośli upór.

- Nie upór, a zdrowy rozsądek. Nie masz tytułu do tego, by mnie „chronić”, zresztą absolutnie sobie tego nie życzę.

- Stwierdziłaś, że jestem filarem komitetu klubu - przypomniał. - A ty jesteś najważniejszą osobą w Penny House. Bez ciebie klub nie przetrwa. Czy to nie wystarczający powód, bym troszczył się o twoje bezpieczeństwo?

- To żaden powód. - Gwałtownym szarpnięciem rozłożyła wachlarz i zaczęła nim nerwowo poruszać. - To nie daje ci prawa do dyktowania mi, co mam robić i z kim się spotykać. I nie zamierzam...

W tym momencie księżę zatrzasnął za sobą drzwi niewielkiego pokoju tak mocno, że zabręczały szybki w oknach, ale nawet się nie obejrzał.

- Ciii, ciii, malutki - szeptała Amariah, spacerując po pokoju z małym Sammym w ramionach.

Podeszła do drzwi kuchennych i zawróciła. Krażyła tą samą trasą już od pół godziny. Tylko ten monotony spacer zdawał się uspokajać dziecko, a właśnie przyszła kolej Amariah, żeby dać młodej matce - nazywała się Janey Patton - parę godzin snu. Kiedy tylko odzyska siły po porodzie, zostanie wysłana na wieś, gdzie Amariah znalazła dla niej miejsce u hodowcy

krów, który potrzebował dójki. Janey ani słowem nie wspomniała o ojcu dziecka, a Amariah nie pytała.

- Ciii, ciii - mrucała, zawracając znowu.

Wśród personelu było mnóstwo chętnych do opieki nad niemowlęciem, ale Amariah nie pozwoliła się wyręczyć. Małe dziecko było w jej oczach tworem doskonałości. Samo trzymanie niemowlęcia na rękach dawało jej poczucie spokoju i pozwalało uporządkować kłębiące się w głowie myśli.

Rano, zaraz po wstaniu z łóżka, napisała do Westbrooka list z przeprosinami. Dodała również serdeczne zaproszenie, by wrócił do klubu. Miała nadzieję, że przyjmie przeprosiny i wróci.

Znacznie trudniej było jej podjąć decyzję, co zrobić z Guilfordem.

Nadal uważała, że nie powinien być wywlekać barona z klubu. Dowiedziała się później od odźwiernego, że obeszło się bez bójki, wystarczyło kilka szturchańców i ostrzejszych słów, by Westbrook wycofał się w pośpiechu, ale nadal oburzała ją arogancja Guilforda. Nie mogła jednak dopuścić, by czuł się urażony, podobnie jak nie mogła pozwolić, żeby Westbrook chował urazę. Księżę nie był takim utracjuszem jak baron, należał jednak do najbardziej wpływowych i potężnych przedstawicieli elity towarzyskiej i jego regularna obecność w klubie stanowiła dla wielu magnes oraz gwarancję ekskluzywności tego miejsca. Gdyby przestał bywać, jego nieobecność zostałaby natychmiast odnotowana.

Leciutko pogładziła małą główkę Sammy'ego i jego ciepłe paluszki, które natychmiast instynktownie zacisnęły się wokół jej palca. Jeśli napisze do Guilforda, to tylko ze względu na dobro klubu. Ograniczy się do wyrażenia nadziei, że wkrót-

ce znowu zobaczą go w Penny House i na okrasę doda kilka zręcznie skomponowanych pochlebstw. Ale nic więcej: żadnych nawiązań do pocałunków i wspólnego śmiechu, żadnych wzmianek o tym, jak było jej przykro, gdy wczoraj wyszedł z klubu bez słowa.

- Może wezmę małego, panno Penny? - Letty, która pod nieobecność Bethany przejęła rolę szefowej kuchni, wyciągnęła ramiona po niemowlę. - Mam parę chwil, zanim bulion się ugotuje.

- Dziękuję. - Amariah bardzo ostrożnie przekazała śpiące dziecko w ramiona kucharki. - Czeka na mnie sterta rachunków.

Zatrzymała się jednak, obserwując, jak niemowlę ziewa i mości się wygodnie w objęciach kolejnej opiekunki.

- Kochane maleństwo, prawda? - zagruchała Letty, a na jej pomarszczonej twarzy zagościł uśmiech. - Nie ma to jak mieć w domu nowo narodzone dziecko, prawda?

Amariah nie mogła zaprzeczyć, że i ona będzie tęskniła, gdy Sammy wyjedzie stąd z matką. Po raz kolejny przekonywała się w duchu, że Penny House, działalność charytatywna oraz towarzystwo bliskich w zupełności wystarczają, by jej życie było satysfakcjonujące, pełne i pożyteczne. Nie starczyłoby jej czasu na męża, nie mówiąc o zaspokajaniu potrzeb takiego maleństwa jak Sammy.

Ale czy taka postawa życiowa nie była właśnie przyczyną wpisania do księgi u White'a zakładu, który ją tak zirytował? Że ona będzie jedyną z sióstr Penny, która nie wyjdzie za mąż i zostanie starą panną?

- Tu pani jest, panno Penny! - Odźwierny Boyd zbiegł po schodach i został natychmiast uciszony przez obie kobiety. Na palcach wszedł do kuchni i położył na stole

wielką paczkę. - To zostało właśnie przysłane przez księcia - wyjaśnił szeptem. - Poślaniec kazał to przynieść bezpośrednio tu, na dół.

Amariah westchnęła. Ile razy jeszcze będzie musiała odsyłać Guilfordowi prezenty na przeprosiny, zanim zrozumie, że nie będą przyjmowane. Tym razem przynajmniej to nie biżuteria, sądząc po wielkości paki. No i jednak postanowił prosić o wybaczenie.

- Odeślę to Jego Wysokości, jak tylko napiszę stosowny bilecik.

Najwyraźniej skrępowany Boyd chrząknął i wbił wzrok w podłogę.

- Przykro mi, panno Penny, ale to nie jest paczka dla pani - powiedział. - To dla Janey Patton i dziecka.

Zmarszczyła brwi i pochyliła się, by przeczytać kartę, wsuniętą pod sznurek. Starannie wykaligrafowany przez sklepiarza napis nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości. Boyd miał rację: prezent nie był przeznaczony dla niej.

„Dla młodej mamy z Penny House i jej dziecka!

Z najlepszymi życzeniami i gratulacjami z powodu szczęśliwego rozwiązania od Jego Wysokości księcia Guilforda”.

Amariah wsunęła kartę na miejsce. Bez podnoszenia wzroku wiedziała, że wszyscy na nią patrzą w oczekiwaniu na jej reakcję. Nie mieli pewności, czy będzie zła, czy też zadowolona, że paczka księcia nie była dla niej przeznaczona.

Prawdę mówiąc, sama nie była tego pewna.

- To prezent dla Janey i Sammy'ego - powiedziała. - To bardzo miło ze strony Jego Wysokości.

Jakby w odpowiedzi, Sammy otworzył oczy i zaniósł się

płaczem, którego żadne lulanie i gruchanie nie mogło uciszyć, bo był to głośny, gniewny wrzask z głodu. Drzwi kuchennego kantorku, w którym urządzono prowizoryczny pokój dla matki z dzieckiem otworzyły się i Janey weszła szybko, przecierając zaspane oczy. Wzięła dziecko z rąk Letty.

- Przykro mi, że krzyczał, panno Penny - wyszeptęła, rozpinając stanik. - Sammy nie chciał być niegrzeczny. Po prostu jest głodny.

- To przecież tylko dziecko, Janey - uspokoiła ją Amariah. - Musi płakać. Zresztą w naszym królestwie nie brakuje dorosłych, którzy wrzeszczą z wściekłością, kiedy nie dostaną kolacji na czas.

Nie było dnia, by Amariah nie dziękowała Bogu, że Janey trafiła do Penny House; była tak rozpaczliwie nieśmiała, że chyba tylko cudem zdołała przetrwać na tłocznych, i gwarnych ulicach Londynu.

- Spójrz, kiedy spałaś, przyszła do ciebie paczka. To prezent od księcia Guilforda.

- Dla mnie, proszę pani? Dlaczego księżę daje mi prezent?

- W bileciku napisał, że to dla ciebie i dziecka - wyjaśnia Amariah. - Opowiadałam mu o tobie i najwyraźniej zapamiętał.

- Proszę otworzyć paczkę - poprosiła Janey. - Księżę zna panią, nie mnie.

- Dobrze. - Amariah przecięła sznurek, rozwinęła sztywny brązowy papier i zawołała z zachwytem: - Och, Janey, zobacz, co ci przysłał!

Wśród cieniutkich bibułek leżały maleńkie dziecięce ubranka: czapeczki, skarpetki, kaftaniki i pieluszki z białego płótna najwyższej jakości, wspaniale uszyte i eleganckie, ale jednocześnie wygodne i praktyczne.

- Ojej - szepnęła Janey i jej oczy wypełniły się łzami. - Dlaczego ksiązę przysłał takie rzeczy mojemu Sammy'emu?

- Jego Wysokość chciał być miły - wyjaśniła Amariah, w której oczach również pojawiły się łzy. Najpierw Billy Fox, a teraz to. Domyślił się, jakiego prezentu na pewno nie odrzuci. Dowód leżał przed nią na stole. - Jego Wysokość postanowił wspaniałomyślnie podzielić się z innymi, mniej szczerze obdarowanymi przez los.

Janey z zachwytem dotknęła leżącej najbliżej czapeczki, przesunęła palcem po satynowej wstążce do wiązania, ostrożnie, jakby bała się ją pognieść.

- To musi być dobry pan, skoro zrobił to dla mnie i Sammy'ego, proszę pani - wyszeptwała. - To musi być wielki, wspaniały pan.

- Może i tak, Janey - mruknęła Amariah z nutką ironii w głosie. - Może i tak.

Guilford rozsiadł się wygodnie w ulubionym mahoniowym fotelu, a służący, Crenshaw, zręcznie go golił. Było ciepło, więc okna pokoju zostały otwarte. Ksiązę z zamkniętymi oczami wdychał znajome zapachy, towarzyszące porannym czynnościom, choć w jego wypadku poranek był bliski południa: korzenną woń mydła do golenia, aromat gęstej, gorącej czekolady, ostry zapach leżącej na stoliku przy łóżku najświeższej gazety. Czuł na nagiej piersi śliski jedwab szlafroka, słyszał ciche, prawie bezgłośne stąpanie Crenshawa, uwijającego się przy codziennych obowiązkach. Ta rutyna pozwalała mu łagodnie przejść ze snu w stan aktywności z możliwie jak najmniejszym wysiłkiem i biada temu, kto śmiałby zasugerować zmianę najdrobniejszego bodaj szczegółu.

Zastanowił się, czy jego paczka została już dostarczona do

Penny House. Zaadresowana była do biednej dziewczyny, która urodziła dziecko na schodach klubu, więc istniała możliwość, że Amariah się o niej nie dowie. Jednak przygotowując prezent, uświadomił sobie, że wcale mu na tym nie zależy. Właściwie miał nawet nadzieję, że ta demonstracja wspaniałomyślności zrobi na Amariah wrażenie.

Crenshaw zaczął wycierać ciepłym ręcznikiem resztki mydła z twarzy chlebobdawcy, ale nagle przerwał i wyrzwał przez okno.

- Pod naszymi drzwiami stoi jakaś szkapina, Wasza Wysokość - powiedział. - Spodziewa się pan odwiedzin?

- Szkapina pod naszymi drzwiami? - Guilford wyprostował się w fotelu, żeby wyrzeć przez okno. - O tej porze?

Jadący z tyłu wynajętej dorożki służący zeskoczył i podszedł, by wziąć kartę wizytową od siedzącej w środku kobiety. Dama wychyliła się i słońce rozbłysło w jej miedzianych włosach, które wysunęły się spod najbardziej eleganckiego i niepraktycznego kapelusika, jaki można sobie wyobrazić.

- Co, u licha? - mruknął Guilford. - Amariah?

Wyrwał się z rąk Crenshawa i wypadł z sypialni. Nawet nie marzył, że panna Penny pofatyguje się tu osobiście. Damy, nawet tak niekonwencjonalne jak Amariah, nigdy nie odwiedzały kawalerów w ich domach. Pewnie postanowiła zostawić kartę wizytową. Liczyła na to, że o tak nieprzyzwoicie wczesnej godzinie książę będzie jeszcze leżał w łóżku. Nie zamierzał jednak pozwolić jej tak łatwo uciec.

Zbiegł szybko po białych marmurowych schodach, powiewając połamami jedwabnego szlafroka. Kto by przypuszczał, że ubranka dla dziecka bezimiennej dziewczyny okażą się tak skuteczną przynętą?

- Wasza Wysokość! - Lokaj, który stał w drzwiach ze srebrną tacą, żeby przyjąć kartę wizytową od służącego Amariah,

spojrzał na swojego pana ze zdumieniem. - Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość, ja tylko...

- Z drogi, Parker!

- Guilford! - wykrzyknęła Amariah, wyglądając przez okno dorożki. Dlaczego dzisiaj, kiedy nie spodziewała się go zobaczyć, miała na głowie ten kapelusik z jasnozielonej słomki z podwiniętym rondem, w którym jej twarz wyglądała jak kwiat otoczony liśćmi? - Co ty wyprawiasz?

- Mógłbym zapytać cię o to samo, kochanie. Nigdy bym się nie spodziewał, że cię tu zobaczę.

- Właściwie wcale mnie tu nie ma. - Nie mogła oprzeć się pokusie przesuwania wzroku z jego twarzy na nagą pierś i z powrotem. - Przyjechałam, żeby zostawić kartę wizytową i... i... Guilford, nie wyglądasz przyzwoicie.

Uśmiechnął się szeroko, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony.

- Ależ jestem przyzwoity.

- Tak się nie chodzi w Londynie - wyjąkała, rumieniąc się.
- Wyglądasz jak jakiś pogański pasza, a nie porządny angielski książę.

- I tu właśnie popełniasz błąd, Amariah - zauważył, zbliżając się o krok. - Jestem księciem, to prawda, ale nigdy nie twierdziłem, że jestem porządny.

Cofnęła się gwałtownie i zawadziła wysoką główką kapelusza o ramę okna, po czym mruknęła coś, co - gdyby nie była najstarszą córką zmarłego pastora Penny'ego - Guilford uznałby za przekleństwo. Szarpała się przez chwilę z kapeluszem, próbując odzepić go od ramy okiennej, wreszcie ściągnęła go z głowy. Gwałtownie otworzyła drzwiczki i zeskoczyła na chodnik. Włosy rozsypały jej się na ramionach, a nieszczęsny kapelusz ścisnęła w rękach.

- Doskonale wiem, że nie jesteś przyzwoitym człowiekiem - oświadczyła z godnością, choć z potarganych włosów sterczały spinki. - To nie oznacza, że cała reszta świata ma cię oglądać w tym stanie.

Guilford skrzyżował ramiona na piersi i nagle poczuł się rzeczywiście jak pasza Grosvenor Square. Przechodząca w pobliżu niania z dwójką podopiecznych, pospiesznie odciągnęła zafascynowane dzieci, które szeroko otwartymi oczami przyglądały się półnagiemu mężczyźnie.

- Cały świat może się gapić do woli - oznajmił wyniośle. - Nic mnie nie obchodzą ich pożałowania godne opinie.

- Ciii - szepnęła i szturchnęła go niecierpliwie w ramię. - Nie przyjechałam tutaj, żeby podziwiać twoją figurę.

- A po co przyjechałaś? - zapytał. - Co napisałaś na karcie wizytowej, którą twój lokaj złożył na srebrnej tacy?

- Chciałam ci podziękować. Właśnie to napisałam na odwrocie wizytówki: „Dziękuję za dobroć”. Możesz to sam przeczytać, jeśli wrócisz do domu.

- Mogłaś przysłać z tym służącego. Nie musiałaś fatygować się sama. Pewnie o tej porze zaczynasz już przygotowania do wieczoru.

- Rzeczywiście, powinnam zacząć. Pomyślałam jednak, że wpadnę osobiście. Uznałam, że przynajmniej tyle ci się ode mnie należy.

- Ale na wszelki wypadek wybrałaś się o takiej porze, kiedy, jak sądziłaś, będę jeszcze w łóżku. Tym sposobem miałabyś satysfakcję, że przyjechałaś podziękować mi osobiście, a zarazem nie naraziłabyś swego poczucia przyzwoitości na szwank, odwiedzając mnie w domu.

Amariah nie zaprotestowała przeciwko tej konkluzji, co świadczyło, jak bardzo była ona słuszna.

- Te śliczne dziecięce ubranka, które przysłałeś... - zaczęła. - Janey Patton rozpłakała się na ich widok. To był bardzo piękny, wspaniałomyślny gest. Zaskoczyłeś mnie, podobnie jak poprzednio z Billym Foksem.

- Lubię cię zadziwiać.

- Nie doceniałam cię. Spełniłeś bardzo dobry uczynek.

- Czy ty również płakałaś wraz z nią? - zapytał, nie mogąc się powstrzymać.

Uniosła wyżej głowę, odrzucając z twarzy miedziane kosmyki.

- Prawdę mówiąc, tak. Dziecięce ubranka zawsze działają na kobiety.

- Ale nie na jędze.

- Nie. - Przez jedną przerażającą chwilę bał się, że Amariah zaraz znów się rozpłacze. - To twoje określenie, nie moje. Nigdy nie twierdziłam, że jestem jędzą.

- Nie jestem porządny, a ty nie jesteś jędzą.

Zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Nie - przyznała. - Ja niewątpliwie nie jestem jędzą, a ty równie niewątpliwie nie jesteś porządnym księciem.

- Przynajmniej w jednym zgadzamy się całkowicie.

Zaczynał żałować, że wpisał to słowo do księgi zakładów u White'a. Nie dlatego, że znudziło mu się droczenie z Amariah na ten temat, bo wcale mu się nie znudziło; dlatego, że nie chciał, by ktokolwiek myślał o niej jak o jędzy. Pewnego dnia będzie musiał ją za to przeprosić.

Pewnego dnia, kiedy wyzna, że pierwszy użył tego określenia.

- Wejdz ze mną do domu na filiżankę herbaty, szklaneczkę brandy czy cokolwiek tylko zapragniesz. Potem będziesz mogła nadal mi dziękować, jeśli uznasz na stosowne.

- Nie mogę, Guilfordzie - powiedziała. - Ty możesz łamać zasady, ale ja nie. Zresztą i tak już je naruszyłam, stojąc tu z tobą ubranym jak...

Pochwycił spojrzenie, jakim obrzuciła jego niemal nagi tors i wybuchnął śmiechem.

- Cicho - szepnęła, zaczerwieniona po uszy. - Wyobrażasz sobie, co by powiedziano, gdybym weszła do twojego domu bez przyzwoitki?

- Że ty jesteś wspaniałą kobietą, a ja największym szczęściarzem wśród ludzi.

- Ale potem padłyby znacznie mniej miłe słowa, z których żadne nie poprawiłyby reputacji Penny House. - Amariah uwolniła ramię z uścisku księcia.

- Zostań, Amariah. - Owszem, Guilford pożałował, że nazwał ją jedzą, ale nie zapomniał o zakładzie, w którym zobowiązał się zaciągnąć ją do łóżka. - Proszę, wejdz ze mną. Co mogłoby stać się w ten jasny słoneczny poranek?

- Już minęło południe - sprostowała. - A jeśli chodzi o ciebie, to pora dnia nie ma najmniejszego znaczenia.

Rozłożył szeroko uniesione ramiona wyrazistym gestem, szerokie jedwabne rękawy czerwonego szlafroka Załopotwały na wietrze i spłoszyły jadącego ulicą konia, na co woźnica zareagował soczystym przekleństwem.

- Nie proś mnie więcej, Guilfordzie, odpowiedź zawsze będzie odmowna. Zostałam uprzedzona, że lord Alistair przywodzi do klubu sporą grupę kuzynów z Edynburga, więc musimy być przygotowani na najgorszy rodzaj klanowej hulanki.

- Czy będę dziś w Penny House miłą widziany?

- Zawsze jesteś serdecznie witany, Guilfordzie, i doskonale o tym wiesz.

- Niemniej miło mi to słyszeć.

Uśmiechnęła się w taki sposób, że chciał ją od razu pocałować. Po namyśle doszedł do wniosku, że będzie jeszcze miał ku temu niejedną okazję, i to w bardziej ustronnym miejscu, zapewniającym minimum prywatności, wymaganej dla pocałunku, a szczególnie tego, co powinno nastąpić po nim.

- Jestem ciekaw, jakiego powitania mogę się dzisiaj spodziewać?

- Jakiego powitania? - W jej oczach błysnęło doskonale mu znane wyzwanie. - Chyba będziesz musiał przyjść wieczorem, żeby się przekonać.

Amariah z uśmiechem na ustach wchodziła po schodach do Penny House. Pojechała do domu Guilforda pod wpływem impulsu i zachowała się głupio, stojąc z nim tak długo na ulicy przed wejściem. Prowokowała skandal, wręcz prosiła się o plotki. Każdy, kto ich zobaczył - jego ubranego, a właściwie prawie rozebranego i ją przy wynajętej dorożce - musiał pomyśleć, że jest świadkiem czułego pożegnania po nocy grzesznych uciech.

A jednak - o dziwo! - niczego nie żałowała. Prawie jej nie dotknął, ale ponieważ oboje lubili gierki słowne, potrafił sprawić, że czuła się bardziej występna niż po pocałunku innego mężczyzny. Nic dziwnego, że była w tak szampańskim humorze. Uśmiechała się do siebie samej i do świata w ten piękny słoneczny dzień. Potrafił poprawić jej nastrój jak nikt inny. Czy mogła w tej sytuacji czegokolwiek żałować? Może tego, że nie zdobyła się na to, by wejść do jego domu.

- Dzień dobry, Boydzie! - zawołała radośnie, kiedy odzwierny otworzył przed nią drzwi. - Czy możesz przysłać do mnie na górę Pratta?

Pratt już spieszył ku niej przez szachownicę posadzki. Jego twarz była jeszcze poważniejsza niż zwykle, a na tacce przeznaczonej na listy i karty wizytowe niósł złożoną gazetę z taką miną, jakby to była trumna na marach.

- Wreszcie pani wróciła, panno Penny - powiedział. - Widziała to pani?

Wzięła podsuniętą przez niego gazetę. Stronice były starannie złożone, by wyeksponować środkową stronę z rubryką wiadomości towarzyskich i plotek.

- Jakich to straszliwych wieści mam się spodziewać? - zapytała z lekką kpina, przeglądając długie kolumny. Nie opuścił jej miły nastrój po rozmowie z Guilfordem, więc nie przejmowała się grobową miną Pratta. - Jaka straszliwa nikczemność... o nie! Nie!

Przeczytała tylko nagłówek, ale to jej całkowicie wystarczyło. Podczas gdy ona marnowała czas z księciem, ta wiadomość rozchodziła się po wszystkich salonach arystokracji w Londynie:

„Szlachetnie urodzony oszust znajduje przystań w Penny House”.

Rozdział siódmy

Sznur powozów czekających w kolejce na St. James Street był tak długi, że zniecierpliwiony Guilford wysiadł i kilka przecznic przeszedł na piechotę, zbyt zaciekawiony, by dłużej czekać. Jeśli anonimowa fałszywa notka w dzisiejszej gadzinówce miała jakiś wpływ na opinię publiczną, to niewątpliwie nie powstrzymała stałych bywalców klubu od odwiedzin.

Kiedy jednak dotarł wreszcie do wejścia, został powitany przez Pratta, nie Amariah.

- Gdzie panna Penny? - zapytał z troską, rozglądając się wśród morza ludzkich głów za białym rajskim piórem, które w klubie zawsze wpinała we włosy. - Jak się czuje? Chyba nie chowa się przed prasą bulwarową?

- Nic jej nie jest, Wasza Wysokość - odparł Pratt z niskim ukłonem. - Powiedziałbym nawet, że trzyma się zadziwiająco dobrze. Zna pan charakter panny Penny, Wasza Wysokość. Uwielbia wyzwania, walkę.

- Masz rację. Czy odkryła łajdaka, który to napisał, i wdeptała go w ziemię na samym środku Strandu? Taki tu dzisiaj tłum, jakby miała się odbyć publiczna egzekucja.

Usta Pratta wygięły się w czymś na kształt uśmiechu.

- Panna Penny jest w takim humorze, że niewątpliwie byłaby do tego zdolna, Wasza Wysokość. Przebywa obecnie w sali hazardu, gdyby miał pan ochotę do niej dołączyć.

Guilford poklepał zarządcę po ramieniu.

- Dziękuję, Pratt. Zawsze należy zająć jak najlepsze miejsce przed pokazem fajerwerków, prawda?

- Jeśli lubisz fajerwerki, Guilford, to chodź ze mną. - Lord Stanton nagle stanął przy przyjacielu i objął ramieniem jego barki. Nawet gdyby Guilford nie widział opróżnionego do połowy kieliszka w dłoni przyjaciela i tak domyśliłby się, że Stanton pił, bo jego twarz była czerwona, a powitanie zbyt wylewne. - Westbrook ma dziś takie szczęście w kości, że przysięgłbyś, iż to on jest tym osławionym szulerem.

- Westbrook jest za głupi, by kogokolwiek oszukać - stwierdził Guilford. Poprowadził w stronę schodów przyjaciela, który miał problemy z utrzymaniem równowagi. - Jeśli wygrywa, to znaczy, że szczęście naprawdę mu dopisuje.

- Chodź ze mną i przekonaj się na własne oczy. - Stanton mrugnął znacząco, opróżnił kieliszek i odstawił go na tacę niesioną przez przechodzącego kelnera. - Dama twojego serca też tam jest. Piękniejsza niż czerwiec i chłodniejsza niż grudzień.

- Jeśli masz na myśli pannę Penny, to trudno ją nazwać damą mojego czy czyjekolwiek innego serca.

- To nieprawda! - Stanton oswobodził się i, pozbawiony oparcia, zatoczył się do tyłu. - Wiem, że to nieprawda, więc przestań udawać. Godny zaufania znajomy zdradził mi dzisiaj, że widział pannę Penny, opuszczającą twój dom w wyjątkowo kompromitujących okolicznościach.

- Niemożliwe - oświadczył Guilford. - Dobrze, że dama nie słyszy tego, co wygadujesz. Nie opuszczała mojego domu, ponieważ nie weszła do środka.

Stanton spojrział na niego podejrzliwie.

- Chyba nie mówisz mi prawdy. Już miałeś tę małą, przyznaj.

- Jak dotąd od panny Penny dostałem wyłącznie filiżankę herbaty - zapewnił Guilford. - To wzór cnót dziewiczych.

- Nie uda ci się wygrać zakładu, Guilford - dogadywał Stanton z uporem, podejmując słabe wysiłki, by poklepać go po ramieniu. - Teraz ona ma w głowie już tylko to domniemane oszustwo.

- W takim razie będę musiał zacząć oszukiwać, żeby zwrócić na siebie jej uwagę - zauważył Guilford. - Wybacz, Stanton, ale chcę popatrzeć na fajerwerki.

Odwrócił się i zaczął torować sobie drogę przez tłum, żeby stąd uciec. Nie sądził, by Stanton był w stanie iść za nim, szczególnie po wypolerowanych schodach. I rzeczywiście, nie dał rady, więc poszedł szukać kogoś, na kim mógłby się wesprzeć.

Tłum na ulicy i przy drzwiach klubu był niczym w porównaniu z tym, który kłębił się pod salą gier. Relacje z tego, co się działo przy poszczególnych stołach, były wykrzykiwane wszem i wobec, a towarzyszyły temu przekleństwa i wybuchy śmiechu. Nagle z sali dobiegł głośny gwar, który zagłuszył wszelkie inne odgłosy: jeśli Westbrook nadal grał, to albo wygrał ogromną sumę, albo stracił wszystko. Guilford zdołał wepchnąć się do sali i precyzyjnie się pod ścianę, skąd mógł wszystko obserwować.

Choć wysokie okna szeroko otwarto, w sali była duchota nie do zniesienia. Nagrzane powietrze pod nisko zawieszonymi lampami zdawało się wibrować. Guilford szybko rozejrzał się, szukając wzrokiem Amariah. Nietrudno ją było odnaleźć. Nie tylko dlatego, że była jedyną kobietą w pomieszczeniu

i miała na sobie błękitną suknię i białe pióro wpięte w miedziane włosy, ale przede wszystkim dlatego, że stała koło Walthripa. Pochylony i podobny do trolla dzierzył w dłoni grabki na długiej zielonej rączce, znak firmowy jego profesji. Nikt nie ośmielił się nigdy zakwestionować jego władzy nad stołem gry; jego autorytet nie podlegał dyskusji.

Amariah stała obok wysokiego krzesła Walthripa. Podobnie jak on, przybrała maskę obojętności. Dyskretnie obserwowała twarze ludzi zgromadzonych wokół stołu i opierających się o ściany, sondowała je, taksowała, szacowała. Kiedy spojrzała na Guilforda, uśmiechnął się do niej, ale choć zauważył, że go rozpoznała, natychmiast przeniosła wzrok na stojącego obok mężczyznę.

Do licha, dlaczego nie odpowiedziała mu uśmiechem?

- Spójrz na tę Penny - powiedział nieznajomy. - Jest zimna jak stary Walthrip. Westbrook właśnie stracił dwanaście tysięcy funtów, a ona nawet nie drgnęła. Możesz wyobrazić sobie kobietę całkowicie pozbawioną współczucia dla tego biednego drania?

Guilford nie musiał sobie niczego wyobrażać. Amariah nie była zimna i niewątpliwie nie była pozbawiona współczucia dla innych; rozumiała jednak, jak zgubne mogłoby się dla niej okazać ujawnienie choć cienia litości dla któregokolwiek z pechowych graczy. Podziw Guilforda dla niej jeszcze wzrósł. Musiała stawić czoło plotkom, że toleruje w swoim salonie gier szulera. A co napisałyby te szmatławce, gdyby faworyzowała Westbrooka czy choćby samego księcia?

- Biedny drań - ciągnął przypadkowy sąsiad Guilforda.
- Mam nadzieję, że nie palnie sobie w łeb z powodu przegranej.

- Westbrook? - Myśli Guilforda wróciły do tego, co działało

się przy zielonym stoliku. Przegrana barona oznaczała spory dochód dla Penny House. Amariah musiała być zadowolona, choć miała dość oleju w głowie, by tego po sobie nie pokazać.

- Na biednego nie trafiło, mógłby stracić dwa razy tyle i bez obaw spojrzeć rano wujowi w oczy.

- W takim razie dobrze, że padło na niego, a nie na mnie.

Westbrook nadal siedział przy stole, pogrążony w ponurym nastroju. Pomimo panującego w sali ścisku wokół niego była wolna przestrzeń, jakby pozostali gracze obawiali się, że jego pech może być zaraźliwy. Zielone sukno przy nim ostentacyjnie ziało pustką. A jeszcze dziesięć minut temu znajdował się tu spory stos wygranych perłowych żetonów w kształcie rybek. Jeden rzut kośćmi sprawił, że został z niczym.

Naprzeciw niego zajmował miejsce nieznany Guilfordowi młody dżentelmen, do którego teraz uśmiechnęło się szczęście. Najlepszym dowodem była piętrząca się przed nim sterta rybek: to pewnie te dwanaście tysięcy, które stracił Westbrook, a przynajmniej większość tej sumy. Szeroka, piegowata twarz młodzieńca lśniła od potu, oczy błyszczały mu z podniecenia, gorączkowo mieszał kości w specjalnym drewnianym kubku.

- Co pan obstawia, milordzie? - zahuczał Walthrip. Dla niego każdy gracz w Penny House był lordem; wygodniej mu było przyjąć to założenie, zresztą z reguły odpowiadało to prawdzie. - Co pan obstawia?

- Siedem - odparł mężczyzna z silnym szkockim akcentem. Musiał należeć do grupy przybyłych z Edynburga kuzynów lorda Alistaira, na których hulanki Amariah się przygotowywała. - Tyle szczeniaków miała w ostatnim miocie moja ulubiona żółta suka.

Pozostali gracze zachichotali ukradkiem lub śmiali się ot-

warcie jak gromada uczniów, których wyrwany do tablicy kolega udzielił idiotycznej odpowiedzi.

- Spokój - zagrział Walthrip. - Co pan obstawia, milordzie?

- Siedem - powtórzył skruszony młody Szkot, wiedząc już, na co może go narazić nadmierne gadulstwo. Przesunął do przodu stertę żetonów na znak, że stawia wszystko. Jeden z jego znajomków gwizdnął z podziwem. - Siedem.

- Siedem, milordzie - powtórzył Walthrip. - Obstawiono siedem.

Guilford rzadko uprawiał hazard, wolał gry wymagające myślenia i kalkulacji, niepolegające wyłącznie na zrządzeniu ślepego losu, wiedział jednak, że siódemka była najczęściej wybierana przez początkujących graczy jako cyfra uznawana za szczęśliwą, choć w tym przypadku chodziło o ilość szczeniaków pewnej żółtej suki. Tę liczbę trudno było jednak wyrzucić, o czym najlepiej świadczył szmer stłoczonych w sali graczy.

Szkot kiwnął głową i ostatni raz potrząsnął kubkiem, mamrocząc bezgłośnie modlitwę, by dotychczasowe szczęście go nie opuściło. Wszyscy w pokoju wstrzymali oddech, kiedy wreszcie wyrzucił kostki. Małe sześciany podskoczyły, potoczyły się po zielonym suknie i znieruchomiły.

Czwórka i trójka. Siedem. Siedem wybrane przez młodego szczęściarza ze względu na żółte szczeniaki przyniosło wygraną! Cisza eksplodowała nagle okrzykami i śmiechami Szkotów z klanu młodego gracza, którzy tak energicznie poklepywali go po plecach, że o mało nie przewrócili go na stół. Pozostali świadkowie również krzyczeli, śmiali się i tupali nogami.

- Siedem, milordzie - oznajmił Walthrip, który nawet nie

raczył podnieść głosu, by przekrzyknąć harmider. - Wygrana, milordzie.

- Chciałeś chyba powiedzieć: oszukana. - Westbrook tak gwałtownie wstał od stołu, że przewrócił krzesło. - Nikt nie może mieć takiego fartu.

Zaskoczony Szkot podniósł wzrok, nie zdejmując dłoni ze stosu żetonów.

- Co pan powiedział, milordzie?

- Powiedziałem, że ktoś pomógł pańskiemu szczęściu. - Westbrook przechylił się przez stół ku innemu mężczyźnie, jakby chciał mu wypluć w twarz słowa oskarżenia. - Powiedziałem, że to oszustwo.

Szkot zsiniał na twarzy i rąbnął pięścią w stół.

- Nikt nie będzie mnie nazywał oszustem, szczególnie jakieś nadęte angielskie lordziątko! Używam tych samych kości, którymi pan grał i jeśli...

- Cisza, milordzie! - Wargi Walthripa dygotały z oburzenia. - Przypominam, że w tym domu są przestrzegane zasady obowiązujące w wyższych sferach.

Szkot potrząsnął głową z niedowierzaniem i zwrócił się do Walthripa, podczas gdy rodacy starali się go uspokoić.

- Ale słyszał pan, jak mnie nazwał ten głupek! Wszyscy słyszeliście, co powiedział o...

- Sprawdź te przekłete kości, Walthrip - rozkazał Westbrook. - Stawiam dziesięć do jednego, że zostały wyważone na korzyść Sandy'ego.

- Dość tego, Westbrook - powiedział Guilford, nie przejmując się tym, że wszyscy obecni skupili na nim uwagę.

Westbrook się obejrzał.

- Pilnuj swoich spraw, bo rozprawię się z tobą później.

- Baronie Westbrook - rozległ się głos Amariah - proszę

się opanować. Pan Walthrip osobiście sprawdza każdą parę kostek, które są używane w tej sali, i co godzina zmienia je na nowe.

Co za kobieta, pomyślał Guilford z podziwem. Żadnych pi-sków, żadnej hysterii, tylko rzeczowa argumentacja i to powiedziana nie głosem jędzy, a raczej anioła zemsty.

- Proszę, by pan się opanował, bo w przeciwnym razie będę zmuszona prosić pana o opuszczenie Penny House.

Na nalaną twarz Westbrooka wystąpiły czerwone plamy, uderzył pięścią w stół.

- Jeśli kości nie są sfałszowane, to proszę sprawdzić ten cholerny kubek, panno Penny - warknął. - Jeśli nie wystarczy pani moje słowo przeciwko jakiemuś nędznemu oszustowi z...

- Wydzierasz się na damę! - wrzasnął Szkot. - Ależ z ciebie odważniak...

- Pokażę ci, że jestem odważnym Anglikiem! - zawył Westbrook z furją, odpychając stojących mu na drodze ludzi, by rzucić się na Szkota. - Ty przeklęty, nędzny szulerze!

Członkowie klanu, do którego należał młody Szkot, przeciskali się przez tłum w stronę Westbrooka, wydając bojowe okrzyki wojowniczych przodków z gór. Należący do klubu Anglicy również nie stali spokojnie: oni także rzucili się do boju, wrzeszcząc, klnąc, kopiąc, waląc pięściami i tłukąc szkło. Strażnicy i lokaje łapali, kogo popadło, próbując przerwać bójkę.

- Amariah! - zawołał Guilford, próbując dostrzec ją poprzez las zaciśniętych pięści. Wysokie krzesło Walthripa było puste, zniknął wraz ze swymi grabkami. Nagle na moment mignął mu czubek jej głowy i białe pióro. - Amariah!

Przedzierał się przez zbitą gromadę mężczyzn w wieczorowych strojach, próbując utorować sobie drogę do miejsca,

w którym ostatnio widział Amariah. Nie było tu teraz miejsca dla żadnej kobiety, szczególnie zaś takiej, której niejeden z tych doskonale wychowanych dżentelmenów mógł w skrytości nie lubić czy pożądać.

- Amariah! - wykrzyknął na cały głos, żeby przekrzyczeć hałas.

Do pokoju wbiegali coraz to nowi strażnicy i lokaje, podczas gdy część bardziej zrównoważonych dżentelmenów starała się opuścić pole walki.

- Guilford?

Pojawiła się nagle obok niego. Pióro znikło, a jej twarz wydawała się przeraźliwie blada na tle czarnych, doskonale skrojonych fraków. I równie nagle, jak się pojawia, znikła znowu. Guilford rzucił się naprzód, rozpaczliwie próbując ją odszukać.

- Amariah!

- Tutaj! - Chwyciła jego rękę, jakby tonęła.

Przyciagnął ją bliżej i osłaniając własnym ciałem, wyprowadził do holu.

- Nic ci nie jest? - zapytał, kiedy znaleźli się wreszcie w bezpiecznym miejscu.

- Oczywiście, że nie! - mruknęła niewyraźnie, odwracając głowę, by spojrzeć, co dzieje się w sali hazardu. - Nie wierzę własnym oczom. Spójrz na nich, Guilfordzie. Patrz, niszczą wszystko, na co pracowałam tyle lat! Wszystko!

- Nie, nie niszczą. - Starał się ją uspokoić, choć sam był jeszcze rozdygotany, ale zaczynała ogarniać go ulga, że nic jej się nie stało. - Wszystko będzie dobrze.

- Jak możesz tak mówić? - Pociągnęła go za rękę. - Muszę tam wrócić i wyjaśnić im, że...

- Teraz nie zdołasz im niczego wyjaśnić. Natomiast jutro

tak. Westbrook i Alistair zostaną na zawsze usunięci z klubu, a...

- Żaden z nich nie jest oszustem - przerwała mu Amariah.
- Żaden z nich nie był tu wcześniej, więc to nie przed nimi ostrzegął mnie autor anonimów.

- Teraz nie łam sobie tym głowy - poradził Guilford. - Musicie z Pratem doprowadzić dom do porządku przed jutrzejszym wieczorem. I to tak, żeby nikt nie domyślił się, co się tu dzisiaj wydarzyło. Trzeba będzie znaleźć Walthripa, który zasztył się gdzieś.

Amariah podniosła ręce do włosów i nagle oparła się o ścianę, jakby osłabła.

- Do licha! Ukradli też moje pióro!

- Kupię ci inne - obiecał. - Kupię ci całe stado afrykańskich strusi. I ty, i Penny House przetrwacie to, Amariah. Bez wątpienia przetrwacie.

Przyglądała się, jak strażnicy wyprowadzają z sali gości z podbitymi oczami i w podartych kamizelkach.

- Wiem, że przetrwam - stwierdziła z westchnieniem. - I wiem, że w końcu wygram.

Guilford uśmiechnął się i znów zapragnął ją pocałować.

- I kto tu jest pewny siebie?

- Ja. Nie bez powodu. - Otworzyła zaciśniętą dotąd dłoń.
- Te kości zostały sfalszowane, Westbrook się nie mylił. Niech Bóg ma w swojej opiece tego drania, który je tu przyniósł, kiedy dostanę go w swoje ręce.

Zniszczenia w sali hazardu okazały się zadziwiająco niewielkie. Kilka połamanych krzeseł, parę stłuczonych szklanek, szkło wdeptane w deski podłogi i kilka naderwanych rękawów liberii - to wszystko. Ogólna suma strat zamknęła się

w kwocie stu funtów, oczywiście jeśli nie liczyć mniejszych dochodów spowodowanych przedwczesnym zakończeniem gry. Zgodnie z przewidywaniem Guilforda, do południa zdążyli już doprowadzić wszystko do porządku. Pozostały guzy, zadrapania i siniaki strażników i służby, nie było jednak połamanych kości ani poważniejszych obrażeń, a ludzie Amariah zdawali się traktować awanturę jak znakomitą zabawę.

Podobnie zresztą jak członkowie klubu, którzy wczorajszej nocy wychodzili stąd, słaniając się na nogach, na przemian jęcząc i chełpiąc się, z dumnie wypiętą pierśią, jakby każdy z nich zdobył główną nagrodę w turnieju bokserskim. Amariah była wściekła na Guilforda za przepychanki z Westbrookiem na ulicy, a tu okazało się, że zrobił to, o czym wszyscy mężczyźni marzyli. To było dla Amariah do tego stopnia niezrozumiałe, że do późnej nocy zadawała sobie pytanie, czy starczy jej cierpliwości i odwagi, by nadal prowadzić klub.

Teraz siedziała w kantorku, przyglądając się, jak Walthrip cieniutkim nożem z chirurgiczną precyzją bada jedną z kostek do gry, zabranych przez nią poprzedniego wieczoru.

- To nie jest robota amatora, panno Penny - stwierdził, spoglądając z ukosa na trzymaną w dłoni kostkę. - Ten typ doskonale wiedział, co i jak zrobić. Każda z kości została wydrażona przez środkowe oczko trójki, napełniona ołowiem, a potem zaklejona, by nikt nie rozpoznał szachrajstwa. O, tu jest łąta.

- Zauważyłam różnicę, jak tylko wzięłam ją do ręki - powiedziała Amariah. - Nie toczą się tak jak powinny.

- W tym rzecz. - Potrząsnął kośćmi delikatnie i potoczył je po stole. Zatrzymały się na trójce i czwórce: siedem. Zebrał je i rzucał kolejno pięć razy, z tym samym efektem. Zawsze otrzymywał tę samą liczbę oczek. - Bez pudła.

Amariah spróbowała, z tym samym rezultatem: siedem.

- To nasze kości - stwierdziła. - Poznaję je.

- Nasze - potwierdził Pratt. - A raczej niegdyś były nasze.

- To prawda - przyznał Walthrip ze smutkiem. - Jedna z par naszych kości musiała kiedyś w tajemniczy sposób zniknąć ze stołu, a później zostać podmieniona w trakcie gry. Jeśli wziąć pod uwagę, ile par czujnych oczu śledzi codziennie ruch kostek, nie mam pojęcia, w jaki sposób to się udało.

Pratt rzucił kości i znów wypadła siódemka.

- Jak ja zdołam panią za to przeprosić, panno Penny - powiedział. - Przez cały okres kariery zawodowej przy żadnym z moich stołów nie wydarzyło się takie nieszczęście. Jeśli pani zwolni mnie z pracy, w pełni to zrozumiem.

- Nie zamierzam pana zwalniać - zapewniła Amariah. - Musimy razem rozwiązać ten problem.

- Młody Alistair jest naszym oszustem? - zapytał Pratt, postukując paznokciem w kostkę. - Inaczej nie mógłby przecież odnosić takich sukcesów przy każdym rzucie.

Amariah pokręciła głową.

- To nie mógł być on. Wczoraj pojawił się w Penny House po raz pierwszy. Kto inny musiał sfałszować kostki, a on tylko na tym skorzystał.

Pratt zamknął kostkę w dłoni.

- Nawet początkujący gracz musiałby poczuć różnicę, biorąc tę kostkę do ręki.

- Ale on ani razu nie wziął jej do ręki - wyjaśnił Walthrip.

- Kostki były przez cały czas w kubku. Kto inny musiał wprowadzić te kości do gry w sposób niezauważony przez nikogo z nas.

- Wróciliśmy do punktu wyjścia - zauważyła Amariah, wyraźnie przygnębiona.

Pratt jeszcze raz rzucił sfałszowanymi kostkami i zostawił na stole kolejne siedem oczek.

- To samo mówił księżę, panno Penny - przypomniał. - Twierdził od razu, że jutro będziemy wiedzieli jeszcze mniej niż dzisiaj i że musimy...

- Kiedy Jego Wysokość ci to powiedział?

Pratt przybrał skruszoną minę.

- Kiedy wszyscy wychodzili - odparł. - Jego Wysokość powiedział, że okazała się pani wyjątkowo bystra, zabierając te kostki ze stołu, ale że raczej nie będziemy z nich mieli wielkiego pożytku.

- To wszystko? - zapytała. Nie była do końca pewna, czy może wierzyć słowom Pratta, bo jej zarządca podziwiał Guilforda, podobnie jak chyba cała reszta Londynu. - Czy księżę powiedział ci, co dalej robić, albo wydał ci jakieś dyspozycje?

- Nie, panno Penny - zapewnił Pratt. - Księżę żywi dla pani podziw. Nigdy nie skompromitowałby pani ani nie podważyłby pani pozycji w Penny House.

Owszem, mógłby, pomyślała Amariah, ale szybko odpędziła tę myśl.

- Przynajmniej Jego Wysokość i ja doszliśmy do tych samych wniosków.

- Tak, panno Penny - potwierdził Pratt skwapliwie. - A skoro Jego Wysokość tak powiedział... To musi być Mary z gazetami.

Wstał, żeby otworzyć drzwi, a Walthrip skorzystał z okazji, by skłonić się i zniknąć. Amariah z westchnieniem usiadła w fotelu i zbierała siły, by stawić czoło temu, co powypisywały gazety. Czuła się jak autor sztuki teatralnej, czekający na ukazanie się pierwszych recenzji. Nie wątpiła, że wczorajsze wy-

darzenia w klubie wzbudzą zainteresowanie prasy. Nie mogło być inaczej.

- Daj mi najpierw „Advertisera”, Pratt - poprosiła. - Oni są najłagodniejsi. Ty weź „Morning Chronicle”, a „Tattle’a” zostaw sobie na koniec.

- Najlepsze na koniec? - mruknął Pratt, otwierając „Chronicle” na stronie z rubryką towarzyską.

- Najlepsze, jeśli ktoś najwyżej ceni brak wiarygodności, taktu i upodobanie do skandali. - Szybko przebiegła wzrokiem relację w „Advertiserze”. Pomiędzy wzmianką o błyskotliwym debiucie nowej aktoreczki w głównej roli i bardziej szczegółowych rozważaniach o jej miejscu w książęcym łożu, znalazło się kilka słów o „nieokiełznanym ekscesach” w Penny House. - O, jest! - zawołała i zaczęła czytać na głos. - Według „Advertisera” te ekscesy były „zbyt emocjonalną reakcją niewielkiej grupki krewnych lorda A. na sugestię, że, być może, mieli więcej szczęścia w grze niż pozostali dżentelmeni”. Doprawdy, bardzo wyważona opinia.

- „Chronicle” obarcza odpowiedzialnością barona Westbrooka - stwierdził Pratt. Podszedł z gazetą do okna, żeby mieć lepsze światło i zaczął czytać na głos:

„Jak zwykle, szczęście uśmiecha się do jednych graczy, powierzających swą fortunę kostkom toczącym się po zielonym suknie, a do innych nie. Wczorajszej nocy spokój Penny House został zakłócony przez pewnego pechowego barona, który przekonał się na własnej skórze, że bogini hazardu może w każdej chwili odwrócić się od gracza, którego dotychczas obdarzała najwyższymi łaskami. Jego reakcja spowodowała pewne nieprzyjemności i przerwanie gry tego wieczoru”.

- Tu także nie ma nic strasznego - orzekła Amariah i w jej sercu pojawiła się isierka nadziei, że, być może, jej obawy okażą się nieuzasadnione.

Pratt kiwnął głową.

- Książę Guilford utrzymywał, że żaden z dżentelmenów nie powie pismakom, co dokładnie się wydarzyło. Będą milczeli, by ich żony o niczym się nie dowiedziały.

- Czy masz jeszcze w zanadrzu jakieś złote myśli księcia, które powinnam poznać?

- Nie, panno Penny - zapewnił Pratt. - Nic szczególnego. Może tylko tyle, że Jego Wysokość porównał efekty nocnych wydarzeń w Penny House do różnicy pomiędzy mdłą potrawą a pikantnym przysmakiem doprawionym przez pannę Bethany.

- Jego Wysokość powinien przypomnieć sobie żałosne skutki spożycia nazbyt ostrego dania. Nadmiar przypraw może sprawić, że jedzenie stanie się nie do przełknięcia i wszyscy nim wzgardzą.

- Tak, panno Penny - oświadczył Pratt natychmiast. - Jak pani sobie życzy.

Guilford miał rację i Amariah doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Trzy młode damy z prowincji, które odziedziczyły dom gry stanowiły pikantną przyprawę, dzięki której klub od razu odniósł sukces. Czy miał również rację, że stały się nazbyt mdłe i zadowolone z siebie?

Westchnęła i sięgnęła po ostatnią gazetę - „Covent Garden Tattle”. Trzymała ją z obrzydzeniem w dwóch palcach. Rozłożyła gazetę na stole, wygładziła zgniecenia i zaczęła czytać. Pod nagłówkiem „Haniebna noc w Penny House” znalazła więcej palących przypraw niż w najostrzejszym indyjskim curry.

„Uczciwość i honor powinny stanowić dewizę wszystkich salonów gry, które mają pretensje uchodzić za lokale dla wyższych sfer. Nie było jednak o tym mowy wczorajszej nocy w Penny House na St. James Street. Jeden ze szlachetnie urodzonych graczy, którego uszu już wcześniej dochodziły pogłoski o działającym w tym klubie oszuście, poczuł się zmuszony zakwestionować wygraną pewnego młodego przybysza z północy, gościa ze Szkocji, który jednym rzutem kostek zdobył ogromną fortunę, podczas gdy baron W****b****k zgrał się do suchej nitki”.

- Pani wybaczy, panno Penny - przerwał oburzony Pratt
- ale to przecież nie było tak!
- Przecież wiesz, Pratt, że „Taffe” nie dopuszcza, by prawda popsuła smakowitą historyjkę - powiedziała Amariah ponuro.
- Słuchaj dalej, kłamstwa stają się coraz bardziej odrażające.

„Żadna pomoc ze strony władz klubu nie nadeszła, personel opowiedział się po stronie Szkota a przeciw baronowi, co więcej, beczynnie stał z boku, podczas gdy przyjaciele Szkocji zaatakowali go i naruszyli jego nietykalność cielesną. Niewątpliwie ta pożałowania godna afera zakończy się wkrótce spotkaniem honorowym pomiędzy obu panami gdzieś na obrzeżach miasta, natomiast Czerwona Królowa Penny House będzie musiała ukryć problem nieuczciwego faworyzowania i opracować z wielkim oszustem sposób dalszego uprawiania owego niecnego procederu przy zielonym stoliku, z którego oboje czerpią profity”.

Amariah była zbyt wściekła, by mówić, prychnęła tylko ze złością i cisnęła gazetę do paleniska. Stronice zatrzepotały i stanęły w ogniu.

- Nic mnie nie obchodzi, co ci powiedział książę, Pratt. To nie jest żadna przyprawa, to piekielna trucizna! Ci ludzie chcą nas zrujnować, a ja nie zamierzam tu siedzieć beczynn timer. Jeżeli mają czelność nazywać mnie z powodu moich włosów Czerwoną Królową, to będę królową i pokażę im, co spotyka tych, którzy zbrukali moje królestwo!

- Nie, panno Penny! - zawołał Pratt, choć jego głos również drżał z tłumionego oburzenia. - To znaczy, tak, panno Penny, nie może pani siedzieć beczynn timer.

- I nie będę. - Tak mocno uderzyła pięścią w stół, że filiżanka podskoczyła na talerzyku. - Sprowadź dla mnie dorózkę, Pratt. Najwyższy czas, żebym złożyła wizytę wydawcy „Tattle a”.

Rozdział ósmy

Guilford skrzywił się na widok skromnego szyldu wiszącego nad jego głową. Farba łuszczyła się, więc nazwa wyblakła zarówno na szyldzie, jak i na drzwiach do niewielkiego biura, przed którym stał. Dziwne, jak tak nędzna firma mogła narobić tyle zamieszania wśród najlepszych rodzin w Londynie. Sam Guilford, w przeciwieństwie do większości znajomych, kompletnie nie liczył się z tym, co o nim mówiono bądź pisano.

Dla dobra Amariah zrobił jednak rzecz nie do pomyślenia. Przejrzał pierwsze wydania gazet, zanim poszedł spać, co wystarczyło, żeby dziś wstał wraz ze świtem. Nie zerwał się z łóżka o tak nieprzyzwoitej godzinie, odkąd odziedziczył tytuł i majątek, jednak zdobył się na to dla Amariah. Dla niej również odwiedził dwóch posiniaczonych i skacowanych dżentelmenów, którzy nie mieli ochoty go widzieć ani z nim rozmawiać, musieli jednak go zobaczyć i wysłuchać. I wreszcie, również dla Amariah, przyjechał do tej plugawej części Strandu, by stoczyć batalię z pismakami „Covent Garden Tatle”, choć nie minęło jeszcze południe.

- Przyjechałem zobaczyć się z twoim pryncypałem. Mam

z nim do omówienia pewną sprawę. Idź i przyprowadź tu tego łachudrę - obwieścił niskiemu, grubemu czeladnikowi z przy-czernionymi atramentem palcami, który siedział na wysokim stołku i porządkował pudło z czcionkami.

Lokal zajmowany przez „Tattle'a” był ciasny, wąski i brudny, na nagich ścianach wisiały upstrzone przez muchy ulotki polityczne, a na stojącym pod oknem biurku walały się resztki wczorajszej kolacji.

Chłopak zsunął się ze stołka i wytarł ręce o fartuch.

- Nazwisko, sir?

- Moje nazwisko? - Guilford uśmiechnął się, zdecydowany rozegrać to dokładnie tak, jak sobie zaplanował. - Książę Guilford.

Czeladnik kiwnął głową i zniknął w pokoju na zapleczu, by po chwili wrócić z mężczyzną, który, sądząc po brzuchu wylewającym się z boków fartucha, musiał być ojcem otyłego chłopaka.

- Simon Dalton, pański uniżony sługa - przedstawił się i wykonał szeroki ukłon zaplamioną atramentem ręką, co zakrawało na wyraźną kpinę. - Trudno mi wprost wyrazić, jak bardzo czuję się zaszczycony. Wielcy tego świata rzadko zaszczycają mnie wizytą.

- Większość dżentelmenów nie widzi powodu, by pana odwiedzać, Dalton. - Guilford rzucił na biurko egzemplarz dzisiejszego numeru „Tattle'a”. - Ten stek kłamstw nie pozostawił mi wyboru.

Dalton wydał wargi.

- Mocne słowa, Wasza Wysokość. Doprawdy, mocne słowa.

- Słowa prawdy, choć pan pewnie nie potrafi dostrzec różnicy.

Dalton skłonił się, nie odrywając od Guilforda czujnego spojrzenia.

- Pragnę przypomnieć Waszej Wysokości, że ja sprzedaję gazetę, nie prawdę.

- Przynajmniej pan nie zaprzecza - zauważył Guilford z niesmakiem bynajmniej nieudawanym. - Czy to pan jest autorem tych kalumnii o wczorajszych wydarzeniach w Penny House?

Dalton skłonił się ponownie i uśmiechnął.

- Podziwia pan moją pracę, Wasza Wysokość?

- Podziwiam pańską bezczelność - stwierdził Guilford. - Mam ku temu powody. Nie był pan wczoraj w Penny House, zresztą nikt by tam pana nie wpuścił. Jak pan mógł powypisywać takie łgarstwa?

Dalton wzruszył ramionami.

- Dysponuję siecią informatorów. Ludzie mają prawo wiedzieć, co dzieje się za wysokimi drzwiami przy St. James Street.

- Ale ludzie powinni poznać prawdę, a nie pana skrzywioną wersję wydarzeń.

- Prawda, Wasza Wysokość, jest jak piękno, zależy zawsze od oceny patrzącego. - Dalton uśmiechnął się szeroko, jakby tym jednym kulawym aforyzmem mógł załatwić sprawę.

- Nie rozumiem jednak pańskiego niezadowolenia, Wasza Wysokość. Pan nie został w tym tekście wspomniany, nawet przelotnie. A może jest pan sekundantem jednego z urażonych dżentelmenów?

- Nie potrzeba sekundantów, bo nie będzie żadnego pojedynku - rzucił Guilford ostrym tonem. - Rozmawiałem dziś rano z obu panami i wybiłem im z głowy ten absurdalny i prawnie zabroniony czyn.

- Jaka szkoda! - zawołał wyraźnie rozdrażniony Dalton. - Nic tak nie podnosi sprzedaży, jak dobry pojedynek!

- Jest jeszcze parę czynów legalnych, ale jeszcze bardziej

groźnych, Dalton. - Cierpliwość Guilforda była na wyczerpaniu i gdyby nie chodziło o dobro Amariah, dałby temu nikczemnikowi po pysku i na tym zakończył sprawę. - Co, u licha, daje panu prawo do podżegania do zabójstwa? Nie obchodzi pana, ilu ludziom zniszczył pan życie oszczerstwami albo ile godnych szacunku firm może pan doprowadzić do ruiny bezmyślnymi słowami?

- Penny House! - Oczy Daltona zabłyśły. - O to chodzi, Wasza Wysokość? Nie zależy panu na Westbrookku ani tym drugim gościu, nie przejmuję się pan, że mogliby w porannej mgiełce wpakować sobie kulę między oczy. Pan myśli tylko o tym, jak taki pojedynek czy oskarżenie o oszustwo wpłynęłoby na pozycję Penny House i los ślicznej panny Penny.

Guilford złapał Daltona za szelki fartucha i niemal uniósł go nad ziemię.

- Ani mi się waź mówić o panie Penny, Dalton. Ani tutaj, ani w swoim szmatławym piśmidle.

Dalton wił się, próbując się uwolnić, ale nadaremnie skrobał czubkami butów o podłogę.

- Pan... pan mnie nie zastraszy, Wasza... Wysokość - wysapał. - Nie dam się przerazić ani... ani przekupić.

- Nie, ponieważ zrobisz to, czego sobie życzę. - Guilford potrząsnął nim jeszcze raz, zanim go puścił. - Żadnych więcej pomyj wylewanych na Penny House, bo pozwę cię do sądu za zniesławienie i oszczerstwo.

Dalton odskoczył do tyłu, trzymając się za gardło.

- Nawet z najlepszym prawnikiem na świecie nie mógłbym marzyć o wygranej! - zawołał z oburzeniem. - To nie fair! Nie jestem tak bogaty i utytułowany, jak pan, nie mam koneksji wśród sędziów. Wystarczy jedno pańskie słowo, a stracę gazetę i drukarnię. Pan mnie zniszczy!

- Rzeczywiście, mogę do tego doprowadzić - przyznał Guilford. - A czy pan nie robi dzień po dniu dokładnie tego samego z życiem i reputacją innych ludzi?

- Nie robię krzywdy ludziom z pańskiej sfery, Wasza Wysokość. Moje słowa nie mogą zranić wielkich dam czy lordów.

- Mogą, jeśli popychają ich do bezsensownych pojedynków. Jeśli sugerują, że w Penny House działa oszust.

- Nie przestanę pisać o Penny House! - zawołał Dalton z oburzeniem. - Nie mogę! Przecież tam przesiadują arystokraci, przegrywają fortuny, tracą dobre imię.

Guilford zmarszczył brwi.

- Możesz pisać o Penny House, Dalton, pod warunkiem, że będziesz pisał prawdę.

- Prawdę! - prychnął Dalton z niesmakiem. - A kto zapłaci, żeby o tym przeczytać?

- Nie dowiesz się, jeśli nie spróbujesz. - Przyszedł czas, by Guilford zagrał swą kartą atutową i wykorzystał jedyny sposób, by nazwisko Amariah nie trafiało na łamy tego szmatławca. Odwrócił się plecami do Daltona i przyglądał się starej rycinie, przedstawiającej Jamesa Charlesa Foksa i księżnę Devonshire. - Powiedziałeś, że masz swoich informatorów. Niech zaczną podawać ci rzeczywiste informacje.

- Ba! - Dalton niemal wypluł tę sylabę. - Sługusy i podkuchenni. Jaką oni mogą mi przedstawić prawdę, Wasza Wysokość?

Guilford nie odpowiedział, udając zainteresowanie ryciną, którą miał przed oczami. Podejrzewał, że Dalton nie jest z nim całkiem szczery. Choć jego historyjki były pełne łgarstw, to jednak pewne szczegóły wskazywały, że jego informator miał lepsze rozeznanie w tym, co się działo w Penny House, niż zwykły służący. Należało podejrzewać raczej jakiegoś chciwe-

go lokaja lub strażnika z sali hazardu. Pechowo się dla niego składało, bo Guilford postanowił położyć kres jego dalszej działalności, a co za tym idzie, dodatkowym dochodom.

- Guilford! - krzyknęła Amariah. - Co pan tu robi, na li-
tość boską?

Księżę nawet nie spojrzął w jej stronę w nadziei, że to tylko
złudzenie, że wcale nie przysłała i nie zniszczy jego planu.

Jednak tu była.

- Guilford? - tym razem zabrzmiało to pytająco. - To ty,
prawda?

Odwrócił się wreszcie z niechętnym westchnieniem. Stała
w drzwiach opromieniona słonecznym blaskiem i, jeśli wziąć
pod uwagę przeżycia poprzedniej nocy, wyglądała wyjątko-
wo ślicznie.

- Dzień dobry, panno Penny. - Skłonił się na powitanie. -
Mam nadzieję, że dobrze się pani czuje.

- Oczywiście, że tak. - Skinęła mu głową i natychmiast
zwróciła się w stronę Daltona.

Włożyła tego dnia ekstrawagancki kapelusz z rajskim pió-
rem, który naciągnęła nisko na czoło jak hełm idącego do ata-
ku rycerza. Kopię bojową zastępował ciasno zwinięty w rulon
egzemplarz „Tattle'a”, który ścisnęła w okrytej rękawiczką dło-
ni. Gniew przywołał na jej policzki silne rumieńce.

- Pan Dalton? - upewniła się, stając przed pismakiem wy-
prostowana, obcas przy obcasie. - Jest pan wydawcą i naczelnym
redaktorem „Covent Garden Tattle'a”?

- W rzeczy samej, proszę pani - potwierdził Dalton i poło-
żył rękę na sercu w pozie uprzejmego oczekiwania. - A mogę
zapytać o pani nazwisko?

- Panna Amariah Penny. - Trzasnęła zwiniętą gazetą
w biurko z siłą zarezerwowaną zwykle dla wyjątkowo dorod-

nych i uprzykrzonych insektów. - Dziwię się, że nie rozpoznał pan mnie, panie Dalton, biorąc pod uwagę, jak często bruka pan moje nazwisko w swoim szmatławcu.

- Jestem zaszczycony, panno Penny - odparł Dalton, choć wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Najwyraźniej nie spodziewał się, że właścicielka Penny House jest młoda i piękna, a przede wszystkim tak żądna zemsty. - Pozwoli pani, że ją powitam. Może wyślę syna za róg po herbatę?

- Nie ma mowy, panie Dalton! - Jeszcze raz głośno trzasnęła gazetą o blat. - Przyszłam tu po wyjaśnienia, nie na herbatę. Jak pan śmiał wypisywać takie brednie o mojej firmie?! Że mój personel toleruje nieuczciwość, że nie dbamy o członków klubu?!

- To pismo dla mas, panno Penny. - Dalton zdjął plik papierów z jedyne go krzesła i wysunął je do przodu jak gałązkę oliwną. - Rozrywki wyższych sfer zawsze były w centrum zainteresowania londyńczyków.

Amariah spojrzała na podsunięte krzesło z takim samym wstrętem, z jakim odrzuciła propozycję wypicia herbaty i nadal stała.

- Powiedział pan to tak, jakby to było bardzo proste, panie Dalton. Czy nie zdaje pan sobie sprawy, że przy okazji może mnie pan zrujnować?

- Przysięgam, panno Penny, że chcę tylko uczciwie zarobić na utrzymanie rodziny, a przy okazji dostarczyć rozrywki i przykładu moralnego czytelnikom.

- Od kiedy to kłamstwa mają umoralniać? - Machnęła gazetą w powietrzu z takim wigorem, że Dalton odskoczył w drugi koniec pokoju. - Penny House to nie tylko oaza rozrywki dla wyższych sfer, ale również przedsiębiorstwo dostarczające funduszy na działalność charytatywną w całym Lon-

dynie. Jeżeli odbierze nam pan zyski, to tym samym pozbawi pan środków do życia wdowy, sieroty i kaleki pozbawione innych źródeł utrzymania. To pana bawi, panie Dalton? To pana cieszy?

Dalton się wyprostował.

- To pani sprawa, panno Penny. Może pani wydawać zyski, na co tylko przyjdzie pani ochota. Nie widzę jednak powodu, bym ja wraz z rodziną miał cierpieć, żeby pani mogła odgrywać rolę wielkiej filantropia.

- Nie proszę, by pan cierpiał, panie Dalton - wycodziła. - Proszę, by pan już nigdy nie napisał ani słowa o Penny House.

- No nie, pani też?! - wykrzyknął Dalton z gniewnym błyskiem w niebieskich oczach. - Nie ma mowy, panienko. To samo powiedziałem Jego Wysokości. Nie możecie mnie do tego zmusić.

Amariah określiła się na pięcie i spojrzała na Guilforda.

- To prawda? Naprawdę go prosiłeś, by nie pisał więcej o Penny House?

- Po to tu przyjechałem. Przeczytałem, co powypisywał o wczorajszej, hm, zabawie i natychmiast zjawiłem się, by z nim porozmawiać.

- Postąpiłeś wyjątkowo szlachetnie.

Guilford westchnął, prawda nagle bardzo mu zaciążyła.

- Owszem, prosiłem Daltona - przyznał - co nie znaczy, że on wyraził zgodę.

- Nie wyraziłem - zapewnił Dalton, zakładając ręce na piersi. - Nie mogę zgodzić się na tak wygórowane żądania. Moi czytelnicy umarliby z nudów, gdybym wypisywał świątobliwe kawałki. Byłbym zrujnowany.

- Będzie pan również zrujnowany, jeśli pozwę pana do sądu

za zniesławienie - oznajmił Guilford. - W tym punkcie prze-
rwałem, kiedy weszłaś, Amariah. Dalton doszedł do wniosku,
że przydałby mu się lepszy, bardziej wiarygodny informator,
dostarczający wiadomości o tym, co dzieje się w Penny House.
Ktoś, kto może swobodnie wchodzić do klubu.

Amariah spojrzała na niego zwięzonymi oczami.

- Jeśli ktoś z mojego personelu okazał się niełojalny i wyja-
wił za pieniądze prywatne tajemnice członków Penny House,
to natychmiast wyrzucę go z pracy i to bez referencji.

- Wiem - przyznał Guilford poważnie - właśnie dlatego ja
będę nowym informatorem Daltona.

- Pan, Wasza Wysokość? - Dalton nie posiadał się ze zdumienia.
- Książę dostarczający informacji „Covent Garden Tattle'owi”?
Zdradzający tajemnice własnej sfery? Jak mogę panu zaufać,
sir? Skąd mam wiedzieć, że mnie pan nie oszuka?

Guilford z uśmiechem położył dłoń na gorsie idealnie wy-
prasowanej koszuli, dostrzegając ironię kryjącą się w tej skar-
dze pismaka. Może nawet lepiej, że Amariah jest świadkiem
tej sceny. Na własne oczy zobaczy, do jakich poświęceń dla
niej jest zdolny, przekona się, że gotów jest położyć na szali
własną reputację, byle ocalić Penny House.

- Rzeczywiście, skąd, Dalton? - powtórzył Guilford. - Chy-
ba będzie pan musiał zaufać mojemu słowu honoru, że nie
wprowadzę pana w błąd.

- Ale mnie wprowadziłeś w błąd! - zawołała Amariah i z tą-
ką siłą zdołała go w ramię zwiniętą gazetą, że aż jęknął. - Na-
prawdę mógłbyś zrobić coś podobnego?

Zaskoczony książę cofnął się i zaczął rozcierać ramię.

- Tylko w ten sposób możemy mieć pewność, że ten czło-
wiek będzie pisał wyłącznie prawdę.

- Ale ty będziesz szpiegiem! - zawołała, mocniej ściskając

w dłoni gazetę. - Penny House ma być azylem dla członków klubu, a nie miejscem, w którym będą szpiegowani przez tajnego agenta!

- Nigdy się nie dowiedzą - zapewnił Guilford, nie odrywając oczu od trzymanej przez nią gazety. Amariah zwykle wykazywała w sprawach Penny House tyle rozsądku; nie spodziewał się takiej reakcji.

- Ja nikomu nie powiem - zapewnił pospiesznie Dalton. - Jeśli Jego Wysokość chce, żeby to pozostało tajemnicą, będę milczał. „Jak zaobserwował pewien szlachetnie urodzony dżentelmen. ..” To im da do myślenia, prawda, Wasza Wysokość?

- Zaczną snuć przypuszczenia! - wykrzyknęła Amariah. - Wśród gości pojawiają się wzajemne podejrzania i nieufność, przez cały wieczór będą wybuchały kłótnie i oskarżenia!

- W takim razie zdobędę się na całkowitą szczerłość i pozwolę Daltonowi powołać się na moje nazwisko - powiedział Guilford. Dlaczego nie potrafiła dostrzec, że to idealne rozwiązanie? - Zrobię to dla Penny House.

- Wierzysz w to, że to... to podłe rozwiązanie jest najlepsze? Uśmiechnął się, żeby ją uspokoić.

- Chcę ci tylko pomóc, Amariah. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

- Czy kiedykolwiek prosiłam cię o pomoc, Guilfordzie? - zapytała. - Czy kiedykolwiek prosiłam, byś wtrącał się w moje sprawy?

- Nie musiałaś prosić - Z przykrością stwierdził, że jego głos brzmiał tak, jakby się przed nią tłumaczył. - Widziałem gazetę.

- Ja też, i doskonale potrafię sobie sama z tym poradzić!

- Nie potrafi pani, panno Penny - oświadczył Dalton, bardzo z siebie zadowolony. Najwyraźniej poczuł się zwycięzcą

i uznał, że może sobie pozwolić na odrobinę zadziorności. - Jest pani śliczną istotą, moja kochana, i z przyjemnością na panią patrzę, ale słuchać wolę Jego Wysokości.

Amariah zaczerwieniła się ze złości.

- Widzisz, co narobiłeś, Guilfordzie? - Jej wściekłość przybrała formę rozpaczliwej rezygnacji. - Gdybym była mężczyzną, wyzwalałabym cię na pojedynek.

Dalton wybuchnął śmiechem.

- Oto pańska pierwsza historia. Nikczemna jędza wyzywa dżentelmena na pojedynek.

O, do diabła, pomyślał Guilford, nawet taka gnida jak Dalton o tym słyszał.

- Ja tego nie powiedziałem, Amariah! - zawołał, podnosząc ręce do góry. - Wiesz, że nigdy bym cię tak nie nazwał.

Patrzyła mu w oczy przez długą chwilę i to spojrzenie sprawiło, że poczuł się nagle jak ostatni idiota.

- Nie musisz - powiedziała wolno. - Masz gromadę lizusów, którzy mówią za ciebie.

- Amariah, proszę... - zaczął Guilford, ale ona była już za drzwiami i prawie biegła do czekającej na nią wynajętej drożki.

- Prawdziwa jędza, Wasza Wysokość - zachichotał Dalton, wtykając kciuki za szelki fartucha. - Zasłużył pan sobie na lepsze słowo, co?

- Idź do diabła, Dalton! - warknął Guilford, nie odrywając wzroku od Amariah. - Niech cię piekło pochłonie!

Już chyba po raz setny tego wieczoru Amariah spojrzała na wysoki stojący zegar w salonie: prawie północ, a jeszcze się nie pokazał.

- Podejź tu, Pratt! - zawołała, kiedy zarządca przecho-

dził obok niej. - Powiedz, proszę, czy widziałeś dzisiaj księcia Guilforda?

- Nie, panno Penny. Dzisiaj nie.

- Dziękuję. - Zachowała kamienną twarz, ale na nieprzeniknionym zwykle obliczu Pratta dostrzegła cień współczucia. Czyżby wyczuwał jej rozczarowanie z przebiegu dzisiejszego dnia? A może litował się nad jej smutkiem spowodowanym tym, że Guilford nie przybył do klubu?

Niech go licho za to, co jej zrobił!

- Dobry wieczór, milordzie - powiedziała, uśmiechając się ciepło do mężczyzny, którego nazwisko i tytuł wyleciały jej z głowy. To też wina Guilforda, bo tak ją zirytował, że zapomniała o ważniejszych sprawach, o których powinna pamiętać.

- Bardzo nam miło, że zechciał nas pan dzisiaj odwiedzić.

Lord Jak-Mu-Tam odpowiedział jej uśmiechem i odgarnął przetłuszczone włosy ze skroni.

- A kto nie chciałby tu przyjść po wczorajszej bijatyce? - odparł. Podniósł do góry prawą rękę, żeby z dumą zademonstrować poobcierane i opuchnięte kostki. - Nie stoczyłem takiej wspaniałej walki na pięści, odkąd zostałem relegowany z uczelni, panno Penny. Naprawdę.

- Mam jednak nadzieję, że nie będziemy mieli takich atrakcji co wieczór, milordzie.

Dżentelmen puścił do niej oko.

- Ja jednak jestem zawsze gotów stanąć w obronie honoru, panno Penny.

- Oczywiście, milordzie - odparła, prowadząc go w głąb domu. - Pańscy znajomi zebrali się już przy stołach do wista.

Nie mogła uwierzyć, że te okropne rzeczy, które gazety wypisywały o jej klubie, sprawiły, że prawo wstępu do Penny House stało się jeszcze bardziej pożądanym niż poprzednio. Kil-

ku panów odpowiedziało na jej powitanie dokładnie tak samo jak ten młodzieniec.

Co jednak nie ułatwiło jej zaakceptowania Guilforda w roli informatora „Tattle'a”. Nie w tym rzecz, że nie ufała Daltonowi i nie miała pewności, co pismak zrobi z informacjami przekazanymi przez Guilforda. Martwiło ją, że ksiązę zdawał się przekonany, że postąpił właściwie, wręcz szlachetnie, dobrowolnie zgłaszając chęć szpiegowania znajomych i informowania świata o ich wyczynach. Co gorsza, wierzył święcie, że chciała, by to zrobił. Wydawało mu się, że ją ratuje!

Zresztą tak właśnie odebrała jego stwierdzenie, że przyszedł do siedziby gazety zaraz po przebudzeniu. Powiedział to i uśmiechnął się, a ona poczuła się jak zaczarowana królowna ocalona przed ziejącym ogniem smokiem.

A potem... Właściwie nie była pewna, co się stało potem, wiedziała tylko, że stanął przeciw niej ramię w ramię z Daltonem. Przeciw niej i Penny House, a także nakazom honoru, których, jak twierdził, przestrzegał. W jej oczach był to pakt z diabłem, pakt, z którego została wykluczona. Przestała się czuć jak zaczarowana królowna.

Odwróciła się od kłębiącego się w holu tłumu i pomasaowała czoło, by złagodzić nieznośne napięcie. Nie była pewna, czy chce, żeby ksiązę przyszedł dziś do klubu, nie była też pewna, jak się wobec niego zachować. Gdyby zabroniła odzwiernym wpuszczać go do klubu, wywołałaby jeszcze większy skandal, gdyby jednak pozwoliła mu wejść jak zwykle, to kto wie, co ukazałoby się w jutrzejszym „Tatle'u”?

Czy jeszcze kiedykolwiek będzie mogła mu zaufać?

Z westchnieniem dezaprobaty lady Frances Carroll nalała Guilfordowi kolejną filiżankę herbaty. Była jego najstarszą

i najbardziej szanowaną siostrą, co dawało jej prawo do wyrażania niezadowolenia, ilekroć uznała to za konieczne, również dzisiaj.

- Doprawdy, Guilfordzie, jesteś chyba najbardziej irytującym bratem w całym świecie chrześcijańskim - oznajmiła i potrząsnęła głową tak energicznie, że puder z jej włosów oprószył kołnierz aksamitnej sukni. - Od tygodni w odpowiedzi na moje zaproszenia przesyłałaś tylko usprawiedliwienia i wykręty, a kiedy wreszcie raczyłeś mnie odwiedzić, zamiast biec do jakiegoś klubu czy do którejś z kochanek, nie masz mi nic ciekawego do powiedzenia.

Guilford pożałował, że postanowił dziś spełnić braterski obowiązek, zamiast przysłać kolejny liścik z wykrętem.

- Pracowicie obiegam stado, by zbierać dla ciebie plotki, ale rzeczywiście chwilowo nie mam żadnych frapujących nowości.

- Stado? To nie było, Guilfordzie - skarciła go Frances. - Wyrażasz się o nich z okropnym brakiem szacunku. Te kobiety nie są może szczególnie wartościowe, ale to nie bezrozumne zwierzęta.

- Mówisz tak tylko dlatego, że żadnej z nich nie spotkałaś. - Guilford oparł brodę na dłoni i wpatrywał się w parę unoszącą się znad filiżanki herbaty, o którą wcale nie prosił. - Gdybyś spotkała, zmieniłabyś zdanie.

- I bardzo dobrze, że tak się nie stało.

- To prawda. - Po co tu przyszedł? Owszem, cenił Fan i jej rodzinę, ale pojawił się dzisiaj nie po to, żeby zobaczyć siostrę, a dlatego, by nie iść do Penny House. Właściwie nie unikał Amariah. Rzecz w tym, że po dzisiejszym spotkaniu w siedzibie „Tattle'a”, nie wiedział, co jej powiedzieć, gdy się ponownie zobaczą.

- Jak ona ma na imię, Guilfordzie?

Drgnął i zamrugał oczami.

- Jaka „ona”, Fan?

- Nowa pani twojego serca. - Uśmiechnęła się złośliwie, studiując jego twarz z przenikliwością naukowca, badającego owada. - Znam cię, Guilfordzie, i wiem doskonale, że nie potrafisz żyć bez przynajmniej jednej kobiety, więc możesz sobie darować zaprzeczenia.

- To nie jest pani mojego serca - oświadczył Guilford. - Nie możesz jej stawiać w jednym rzędzie z innymi.

Frances wyprostowała się w fotelu i złożyła ręce na kolanach.

- Wspaniale! - zawołała radośnie. - Znalazłeś wreszcie damę godną ciebie i twojej pozycji towarzyskiej. Najwyższy czas. A już zaczynałam się martwić, bo dochodziły do mnie plotki na temat ciebie i tej kreatury z jaskini hazardu.

Guilford zmarszczył brwi.

- Ona nie jest „kreaturą”, Fan. To panna Amariah Penny. Ma w sobie więcej szlachetności niż większość znanych mi „szlachetnie” urodzonych pań.

Szczęście siostry ulotniło się w jednej chwili jak powietrze z przekłutego balonika.

- Znowu to samo! A już miałam nadzieję na ślub w lecie i dziedzica tytułu w dziewięć miesięcy później.

- Panna Penny nie jest taka jak inne, Fan - zapewnił Guilford, choć wiedział, że siostra nigdy go nie zrozumie. - To córka wiejskiego pastora.

- Córka pastora? - Mina Frances stała się tak kwaśna, jakby włożyła naraz do ust wszystkie plasterki cytryny, leżące na talerzyku obok nakrycia do herbaty. - I prowadzi dom gry?

- Odziedziczyła go do spółki z siostrami - wyjaśnił. - Przenaczają wszystkie dochody na działalność charytatywną. Jest

dobra, miła i rozumna, a także niepozbawiona charakteru. Kompletnie mnie zawojowała.

- Jest też zapewne piękna?

- Wyjątkowo - przyznał Guilford i uśmiechnął się na myśl o rozlicznych zaletach Amariah. - Ma najwspanialsze na świecie rude włosy, błyszczące, niebieskie oczy i...

- Nie ma tytułu, majątku ani przyszłości - zauważyła trzeźwo Frances. - Pocięszam się tylko, że wkrótce zostawisz ją, podobnie jak inne.

- Jeśli się rozstaniemy - powiedział Guilford, przypominając sobie zranione spojrzenie Amariah, gdy rozeszli się dziś rano - będzie to *jej decyzja*, nie moja.

- Jej! - prychnęła Frances - To nigdy nie jest decyzja kobiety! Jaka kobieta mogłaby z ciebie zrezygnować?

- Panna Penny mogłaby, gdyby doszła do wniosku, że na to zasługuje.

Zamilkł, uświadomiwszy sobie, co powiedział. Od kiedy zaczął obawiać się kobiet; przejmować się, czy zasłużył na ich względy? W porównaniu z tym nawet ten piekielny zakład traci na znaczeniu. Jeśli rzeczywiście zależy mu na Amariah tak bardzo, jak przekonywał Frances, to powinien zrobić wszystko, by naprawić stosunki między nimi. Ukrywanie się w domu siostry nic nie da.

- Panna Penny i panna Penny - mruknęła Frances, wyraźnie zaniepokojona. - Moim zdaniem, powinieneś traktować tę pannę Penny tak, jak na to zasługuje.

- Masz rację, Fan - przyznał Guilford. Wstał i cmoknął siostrę w policzek. Biorąc pod uwagę godziny otwarcia Penny House, noc była jeszcze młoda. - Absolutną i niepodważalną rację. Zamierzam potraktować pannę Penny dokładnie tak, jak na to zasługuje. I to natychmiast.

Amariah powoli wchodziła po schodach do prywatnych pokoi. Ciężko oparła się o poręcz. Głowa dokuczała jej tak bardzo, że ból niemal ją oślepił. Mrugała ciągle, bo raziło ją światło świec, ogłaszał gwar męskich głosów. Podczas ostatniej migreny aptekarz zrobił dla niej specjalną miksturę, łagodzącą nudności i ból głowy, miała nadzieję, że i teraz jej pomoże.

Gdyby była tu jedna z sióstr, Amariah już parę godzin wcześniej poprosiłaby ją o zajęcie jej miejsca przy drzwiach i poszła na górę, by się położyć. Była jednak obecnie jedyną siostrą Penny w Penny House, więc, biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się w klubie w ostatnim czasie, nie mogła opuścić grających, niezależnie od tego jak bardzo źle się czuła.

Zatrzymała się na szczycie schodów, zaskoczona, że nie zastała na posterunku strażnika, którego zadaniem było pilnowanie jej prywatnych pokoi. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru kazała Prattowi skierować go do sali hazardu, by wzmocnić liczebnie siły porządkowe w newralgicznym miejscu klubu. Nieważne, pomyślała, dotychczas nie zdarzyły się najmniejsze nawet kłopoty na piętrze, pewnie była przesadnie ostrożna.

Otworzyła drzwi jednym z kluczy, które zawsze nosiła przy sobie, i przeszła przez salon do sypialni. Nie zapaliła świecy, bo światło potęgowało ból głowy. Znała ten pokój na pamięć, więc w zupełności wystarczał jej słaby blask dogasającego na kominku ognia i sącząca się przez firanki poświata księżycy.

Znalazła w szufladzie lekarstwo, rozpuściła je w wodzie nalanej ze stojącego na umywalni dzbanka i wypiała, zatykając nos, by nie czuć jego zapachu, jak jej poradził aptekarz. Smak był jednak tak obrzydliwy, że wstrząsnęła się, nie otwierając oczu i głęboko wciągnęła powietrze, by nie zwymio-

tować. Przełknęła i odetchnęła głęboko. Opłukała twarz wodą, ponownie wpięła pióro we włosy i ruszyła z powrotem ku klatce schodowej.

W drzwiach pomiędzy sypialnią a salonem, służącym jej również jako bawialnia i jadalnia, zatrzymała się. Coś było nie w porządku.

Wydało się jej, że ktoś kryje się wśród tych majaczących niewyraźnie w mroku sprzętach. Może to był jakiś ruch, szurnięcie buta o podłogę. Amariah zamarła w bezruchu, nasłuchując. Z dołu dobiegał znajomy gwar, jakby nic niezwykłego się nie działo.

- Jest tu kto? - zapytała chrapliwie. - Czego chcesz?

Żadnej odpowiedzi, zresztą tego się spodziewała. Ale ten ktoś wiedział już, że weszła do pokoju, i także wstrzymał oddech.

A jeśli to ten człowiek, który wrzucił list przez kuchenne okno i teraz wrócił, by spełnić groźbę?

Amariah powoli wyciągnęła lewą rękę i namacała brzeg małego, mahoniowego stolika. Przesuwała palcami po blacie dopóty, dopóki nie trafiła na ciężki świecznik ze stopu cyny i ołowiu. Wyjęła i odłożyła na stolik woskową świecę, a sam świecznik mocno chwyciła w obie dłonie. Nigdy przedtem nie pomyślała, że może on służyć za broń, teraz jednak ciężar solidnego staroświeckiego lichtarza uspokajał.

- Proszę stąd wyjść! - zawołała już z większą pewnością siebie. - Zabłądził pan, proszę natychmiast wyjść!

Przeszła na środek pokoju, mocno zaciskając w dłoniach świecznik.

- Wynos się, nikczemniku! - wykrzyknęła. - Wyłaż natychmiast, nim ja...

Kątem oka dostrzegła cień, o ton mroczniejszy od tła

i została odepchnięta na bok. Sapnęła ze zdumienia i ciężko upadła na podłogę. Próbowała zamachnąć się świecznikiem, ale trafiła w powietrze. Chciała wstać, lecz nogi zaplątały jej się w spódnice.

Przetoczyła się i zdołała ukłęknąć na kolanach, podpierając się rękami. Wstała wreszcie, ale natychmiast otrzymała cios w bok głowy, który znów powalił ją na podłogę. Straciła oddech. Leżała, próbując złapać powietrze i wtedy zobaczyła nogi napastnika - masywne kostki w pończochach i ciężkie buty. Ostatkiem sił uderzyła świecznikiem, którego jakimś cudem przez cały czas nie wypuściła z ręki, w kostkę mężczyzny.

Napastnik zaklął i z całej siły kopnął Amariah. Poczuła rozdzierający ból ręki. Z jękiem odturlała się jak najdalej od niego, obejmując rękę drugą dłonią i zwinęła się w kłębek.

Przez otwarte drzwi do pokoju wdarło się światło. Zamknęła oczy i odwróciła głowę, żeby się przed nim osłonić. Poczowała dotyk ręki na ramieniu, bezsilnie próbowała się jej pozbyć.

- Spójrz na mnie, kochanie - prosił mężczyzna. - Spójrz na mnie!

Znała ten głos; znała tego człowieka. Z urywanym szlochem odwróciła ku niemu głowę i otworzyła oczy.

Rozdział dziewiąty

- Porusz palcami - poprosił Guilford, kucając przy jej fotelu. - Proszę. Zrób to dla mnie.

Był pewien, że Amariah zaraz znowu zacznie płakać. W świetle świecy widział jej zapuchniętą od płaczu twarz, na skroni zaczynał już występować ciemny siniec. Miała rozczochrane włosy i podartą suknię, ale Guilforda najbardziej martwiło to, że utraciła zdecydowanie i waleczność, czyli to, co wyróżniało ją spośród innych kobiet i stanowiło o niepowtarzalności Amariah.

Co by się stało, gdyby nie przybył na czas, aby ją uratować?

- Chyba nie dam rady - szepnęła żałośnie, ciągle podtrzymując zdrową ręką obolałe przedramię. - Będzie bolało.

- Spróbuj - poprosił z naciskiem. - Jeśli nie zdołasz tego zrobić, to znaczy, że kość jest złamana i trzeba będzie wezwać chirurga, czy tego chcesz, czy nie.

- Nie! Chirurg zawiadomi konstabla, a nie mogę do tego dopuścić!

- Więc zrób to - powtórzył łagodnie. - Porusz palcami i udowodnij mi, że wszystko jest w porządku.

Głęboko nabrała powietrza i powoli wyprostowała rękę. Z marszczonego rękawa wyłoniło się przedramię, opuchnięte i czerwone w miejscu, w które kopnął napastnik. Guilford nie zdołał powstrzymać kolejnego przekleństwa. Już on dopilnuje, by ten, kto to zrobił, zapłacił za cierpienie Amariah, i to bardzo wysoką cenę.

- Jeśli jakakolwiek kobieta ma dość odwagi, by to zrobić, to właśnie ty.

Pomimo bólu zdobyła się na drżący uśmiech. Skoncentrowała się i ostrożnie zaczęła poruszać palcami, jednym po drugim.

- Czy możesz również poruszać nadgarstkiem? - zapytał.
- Tylko bez gwałtownych ruchów. Ostrożnie.

Wzięła głęboki oddech i zgięła nadgarstek do przodu, potem do tyłu, zaciskając i otwierając dłoń dla pewności.

- W porządku - stwierdził z ulgą. - Nie jestem chirurgiem, ale skoro mogłaś to zrobić, to kość nie jest złamana.

- Mówiłam ci. - Opuściła rękę i skrzywiła się. - Boli jak... jak wszyscy diabli.

- Na pewno. - Wstał i podszedł do stołu, żeby nalać jej szklaneczkę brandy. - Proszę, wypij to. Nie wezwę chirurga, ale powiem w kuchni, żeby przysłali ci trochę lodu. Chyba będą mieli lód, prawda?

- Oczywiście, że tak. Letty używa go do schładzania galaretek i szarlotek i do przechowywania ryb.

- A ty wykorzystasz go do zmniejszenia opuchlizny. - Zadzwoił do kuchni, po czym zapalił jeszcze trzy świece, by było widniej, i rozejrzał się po pokoju. Zamierzał porozmawiać z Pratem, ale najpierw chciał, by Amariah się uspokoiła. - Czy to mógł być ten drań, który przysłał listy z pogrozkami?

- Też o tym pomyślałam - powiedziała, nie podnosząc głowy, żeby nie dostrzegł w jej oczach przerażenia. - Napastnikowi nie chodziło o mnie. Gdyby chciał mnie dopaść, to... poszedłby za mną do sypialni. A on rzucił się na mnie dopiero wtedy, gdy zaczęłam wymachiwać świecznikiem.

Twarz Guilforda spochmurniała.

- Nie masz pojęcia, kim był ten mężczyzna?

- Nie - szepnęła żałośnie. - Widziałam tylko jego stopy, a i to po ciemku. Miał buty ze zwyczajnymi, owalnymi sprzączkami i bawełniane pończochy. Równie dobrze mógł być lokajem, jak dżentelmenem.

- Niewiele jak na początek. - Bardzo niewiele, bo ten opis pasował do wszystkich mężczyzn obecnych tej nocy w Penny House. Kiedy Guilford wchodził na górę, nie spotkał nikogo na schodach, a więc ten człowiek albo zdążył już opuścić budynek, albo wmieszał się w tłum gości. - Wiem, że zawsze zamykasz te pokoje. Musiał mieć dorobiony klucz albo...

- Zostawiłam drzwi otwarte - przyznała Amariah, wbijając wzrok w szklaneczkę brandy. - Miałam tylko połknąć lek od bólu głowy, więc darowałam sobie zamykanie drzwi na klucz. I uprzedzę twoje pytanie: strażnika nie było na stanowisku, bo posłałam go na dół, żeby wzmocnić ochronę sali hazardu. Popełniłam błąd i bardzo tego żałuję, ale taka jest prawda.

- Ja też żałuję, przede wszystkim dlatego, że cierpisz. - Guilford podszedł z lichtarzem do biurka. - Popatrz tutaj. Chyba nie zostawiłaś biurka w takim stanie, prawda?

- Oczywiście, że nie! - zawołała Amariah i spojrzała z ponurą miną na schludne zazwyczaj biurczko. Cały blat zarzucony był powymywanymi z teczek papierami, listami i otwartymi księgami buchalteryjnymi. - Ciekawe, czego szukał?

- Pieniądzy? Złota?

Pokręciła głową i pobiegła wzrokiem do wiszącego na ścianie pejzażu. Guilford domyślił się, że to tam znajduje się wbudowany w ścianę sejf, ale nie zamierzał o to pytać.

- Gdzie trzymasz weksle graczy? - zapytał. - Mógł szukać dowodu przegranej, która oznacza dla niego ruinę.

Znowu pokręciła głową.

- Weksle są przechowywane razem z banknotami i monetami - powiedziała. - Pratt co rano odnosi je w asyście dwóch uzbrojonych w strzelby strażników do banku. Przeważnie w klubie znajduje się bardzo niewiele pieniędzy.

- Tak czy owak ten drań czegoś tu szukał. - Guilford był właściwie zadowolony, że złodziej zaatakował Amariahnie jako przez przypadek, nie celowo. - Wypij brandy. To ci pomoże zasnąć. Rano przejrzysz ten cały bałagan i stwierdzisz, czy czegoś nie brakuje. A potem zdecydujesz, co dalej robić.

- Już postanowiłam. Nie chcę konstabla, nie chcę skandalu, nie...

- Zlekceważyłaś groźby zawarte w listach.

- To zupełnie co innego. Nie widzę żadnego związku.

- Nie wiesz tego na pewno, Amariah. To mógł być ten sam człowiek, który... Proszę wejść! - Przerwał i wpuścił stojącą pod drzwiami służącą.

Służąca weszła do pokoju, wodząc wzrokiem od Guilforda do Amariah i z powrotem.

- Przynies tu zaraz szeroki półmisek z lodem - nakazał Guilford. - Panna Penny poślizgnęła się na schodach i stłukła rękę. Potrzebuje lodu, żeby zmniejszyć ból.

Dziewczyna dygnęła i pobiegła spełnić polecenie.

- Pratt przyleci tu, jak tylko się dowie. Kontroluje wszystko, co się dzieje w tym domu, i nie da się tak łatwo oszukać. Co robić? Nie tylko z Pratem, ale w ogóle... z całym tym... bałaganem?

- Pratt aż do rana nie musi o niczym wiedzieć - zauważył Guilford. Zamierzał dopilnować, by Pratt zawiadomił konstabla, ale nie było powodu, by Amariah teraz łamała sobie tym głowę. - Już wie, że źle się czujesz. Połóż się do łóżka. Rozbierzesz się sama czy potrzebujesz pomocy?

- Doskonale sobie poradzę.

- A byłem gotów wystąpić w roli garderobianej. - Mrugnął, licząc na to, że wywoła uśmiech na jej ustach, ale Amariah już wstała i próbowała utrzymać się na nogach.

Szybko objął ją ramieniem w pasie i podtrzymał. Z wdzięcznością wsparła się na nim i pozwoliła zaprowadzić się do sypialni.

- Jednak jesteś poważnie ranna. Wzywam lekarza.

- Nie ma mowy - oświadczyła znacznie mocniejszym głosem niż poprzednio. - Nie wolno ci wspomnieć o tym Daltonowi. Jeśli przeczytam o tym w „Tattle'u”, to jak mi Bóg miły, urwę ci głowę.

- Gdzie twój nocny strój?

- W wysokiej skrzyni. Obok jest żółty szlafroczek. Obiecujesz, że nic nie powiesz Prattowi?

- Dzisiaj nie. - Znalazł delikatną płócienną koszulę. - Ale jutro musisz to zrobić.

- Zrobię - obiecała, biorąc od niego koszulę. - O, jest już Deborah z lodem.

- Ja to wezmę. - Przyjrzał się uważnie Amariah, zastanawiając się, w jaki sposób zamierza przebrać się w koszulę, skoro ma na sobie suknię zapinaną z tyłu na guziczki, - a ciągle

podtrzymuje chorą rękę jak ptak uszkodzone skrzydło. - Może przyślę pokojówkę, żeby ci pomogła...

- Nie. Dam sobie radę. A teraz bądź łaskaw zamknąć za sobą drzwi, żebym mogła spokojnie się rozebrać.

Najprawdopodobniej rzeczywiście da sobie radę, pomyślał Guilford. Istniała cienka granica między silną wolą a uporem; Amariah będzie potrzebowała całej swej woli, by przez to wszystko przebrnąć. Jutro będzie musiała znaleźć w sobie dość siły, by przyznać, że potrzebuje pomocy i wezwać konstabla. Tu nie chodziło tylko o skandal, chodziło o przestępstwo. Guilford nie wierzył, by udało się ująć intruza, ale przynajmniej zrozumie on, że sprawa została potraktowana poważnie.

Posługaczka czekała pod drzwiami z dużą, drewnianą misą pełną pokruszonego lodu i dwoma ręcznikami przewieszonymi przez ramię.

- Dziękuję, panienko - powiedział, biorąc to od niej. - To wszystko.

- Przepraszam, Wasza Wysokość - wyjąkała - ale pan Pratt kazał zapytać, czy panna Penny niczego więcej nie potrzebuje. Na tę rękę, znaczy się.

- Podziękuj panu Prattowi za troskę, ale panna Penny potrzebuje w tej chwili jedynie wypoczynku.

Dziewczyna kiwnęła głową i dygnęła, po czym odeszła, zostawiając Guilforda z lodem. Było oczywiste, że zawsze dyskretny Pratt podejrzewał jakąś romantyczną sytuację pomiędzy nim a Amariah, bo w przeciwnym razie przyszedłby sam. Cóż, niech sobie Pratt na razie myśli, co chce, a Amariah śpi spokojnie. Rano będzie czas, by wszystko wyjaśnić.

Zjął płaszcz i rzucił go na krzesło, a potem zapukał do drzwi sypialni.

- Gotowa przyjmować wizyty?
- Jeszcze nie, Guilfordzie. Za chwilę.

Czekał, wiedząc doskonale, że dla dobra Amariah powinien uzbroić się w cierpliwość. Zanim wreszcie zawołała, że może wejść, lód w drewnianej misie zaczął topnieć i zmienić się w wodnistą breję.

Amariah siedziała na krawędzi łóżka przebrana w nocny strój, a zniszczona błękitna suknia, zadziwiająco porządnie złożona, wisiała przewieszona przez oparcie krzesła. Jednak zamiast żółtego szlafrocza z rękawami zapinanymi na małe guziczki, Amariah okryła się kapą z łóżka jak peleryną, ostrzegając go wzrokiem, by nie ważył się robić na ten temat żadnych uwag.

- Jak ręka? - zadał najmniej niebezpieczne pytanie.
- Dość dobrze.

Jej twarz pod burzą miedzianych włosów, była blada z bólu i wyczerpania. Guilford nie potrafił sobie wyobrazić, jakim cudem Amariah się przebrała.

- Pewnie przez miesiąc będę musiała nosić długie rękawiczki, żeby ludzie nie gapili się na posiniaczoną rękę.

- Kiedy byłem dzieckiem, pewnej zimy spadłem z konia i skręciłem nogę w kostce. - Przyniósł mały stolik do miejsca, w którym siedziała Amariah, i postawił na nim misę z lodem.
- Ojciec i lekarz kazali mi trzymać nogę w wiadrze ze śniegiem. Noga zrobiła się czerwona, a ja kłąłem jak szewc z zimna, ale opuchlizna szybko zeszała. Teraz twoja kolej.

- Przynajmniej nie będę kłęta. - Pochyliła się i włożyła rękę do lodu. Nie zakłęta, ale jej mina wskazywała, że była tego bliska. - Czuję się jak filet z łososia - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Roześmiał się cicho.

- Po chwili poczujesz się lepiej. Zapewniam.

- Trzymam cię za słowo. - Westchnęła, najwyraźniej nie do końca przekonana. - A ja z kolei zapewniam, że nie zdradzę twoim przyjaciółom, że występowałeś w roli pielęgniarki.

- Z tym nie będę się spierał.

Rzeczywiście czuł się dość dziwnie, obsługując kogoś. Mężczyźni z zasady tego nie robili. Frances byłaby wstrząśnięta.

- Nie spodziewałam się tego po tobie. Czy mogę cię prosić o jeszcze jedną grzeczność?

Nagle poczuł przypływ nieznaney dotąd radości, że Amariah prosi go o cokolwiek, nieważne o co. Na pewno spełni jej prośbę.

- Jesteś taki szarmancki, Guilfordzie, że czuję się jak skończona idiotka. - Spojrzała na swoją rękę obłożoną lodem i uśmiechnęła się. - Jeśli odmówisz, w pełni to zrozumiem, ale... czy mógłbyś wyszczotkować mi włosy?

- Oczywiście, kochanie - zapewnił, ciesząc się w duchu, że jej prośba była tak łatwa do spełnienia. Podwinął rękawy koszuli, by zaprezentować gotowość do czynu. - To nie uprzejmość, a przyjemność.

Odwróciła się i spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Pewnie zmienisz zdanie, kiedy zaczniesz. Moje włosy przy najmniejszej okazji okropnie się płaczą. Jeżeli nie wyszczotkuję ich porządnie przed pójściem spać, rano są nie do rozczesania.

- Przekonasz się, będę biegły jak francuski mistrz grzebienia. - Guilford wziął z toaletki ciężką szczotkę i usiadł obok Amariah na krawędzi łóżka. - Powiedz mi, gdybym za bardzo ciągnął, dobrze?

Najwyraźniej nie do końca mu ufała, bo zesztyniała i wyprostowała się.

- Najpierw musisz wyjąć spinki. Większość wypadła, ale czuję jeszcze kilka we włosach.

- Pamiętam, że przyglądałem się, jak moje siostry były czesane przed inauguracyjnym bale najstarszej, Frances - powiedział Guilford, delikatnie szukając spinek w gęstych, splecionych włosach Amariah. - Miałem nie więcej niż osiem, dziewięć lat, więc pozwolono mi patrzeć. Wtedy modne były wysokie, sztywne fryzury. Mama wezwała najbardziej rozchwytywanego włoskiego fryzjera. Nazywał się Fortebello. Wszystkim kobietom z mojej rodziny robił po kolei na głowach ogromne, puchate koafiury, posypane białym pudrem i ozdobione ogromnymi kokardami i sznurami sztucznych pereł. Wszystkie były zachwycone, ale mnie przypominały polne dmuchawce, o czym nie omieszkałem siostrom powiedzieć.

Amariah się roześmiała.

- To było wyjątkowo nieuprzejme.

- Ale zgodne z prawdą - powiedział. - Wyjąłem chyba wszystkie spinki.

- Nie ciesz się tak bardzo. Najgorsze przed tobą, ale jeśli zaczniesz rozczesywanie od końców i nie będziesz się śpieszył, powinieneś sobie poradzić.

- Kobieto małej wiary!

Włosy Amariah rzeczywiście były splecione. Niegdyś artystycznie podkreślone loczki zmieniły się w kołtuny. Na próbę zaczął, zgodnie z jej radą, rozczesywać końce włosów, potem przesuwając się wyżej i z satysfakcją stwierdził, że udaje mu się rozczesywać kolejne pasma. W świetle świec lśniące jak płomień włosy opadały na jego nagie przedramiona. Stracił całkowicie poczucie czasu, ale słyszał dobiegające z ulicy rzenie koni, turkot kół powozów i ludzkie głosy.

- Dotychczas tylko raz wspomniałeś w rozmowie ze mną o swojej rodzinie - zauważyła. - A przez ostatni kwadrans mówiłeś o niej już dwukrotnie.

- Nie opowiadałem o swojej rodzinie, bo dla nikogo poza nami nie ma w niej nic interesującego - przyznał. - Nie miałem w dzieciństwie żadnych mrocznych tajemnic ani tragedii. Rodzice kochali nas, a my ich. Nikt nie chorował, nie wpadł w długie, nie pojechał na wojnę. Dla nas takie życie było wspa-
niałe, ale innym musi wydawać się nudne.

- Lubię o tym słuchać - powiedziała nieco sennym głosem.
- Mnie te opowieści wcale nie nudzą.

- W takim razie niepotrzebnie przesadzam dla osiągnięcia dramatycznego efektu.

Czuł, jak powoli opuszcza ją napięcie, a jej głowa odchy-
ła się lekko do tyłu, ku jego piersi. Kołtuny zniknęły, ale nie przerywał szczotkowania. Wciągał w nozdrza zapach Ama-
riah: bez i lawendę zmieszane z naturalną wonią jej ciała. Kiedy odprężyła się i przestała tak kurczowo ścisnąć narzu-
tę, gruby wełniany materiał zsunął się wraz z płóciennymi
ramiączkami nocnej koszuli, odsłaniając nagie ramiona. Jej
skóra zafascynowała go - biała i lekko lśniąca niczym perła
z mórz południowych. Marzył, by przesunąć po niej palcami
i sprawdzić, czy rzeczywiście jest miękka jak aksamit.

Tak, o nudzie nie mogło być mowy.

Amariah poruszyła zanurzoną w lodzie ręką, wprawiając
w ruch nieroztopione drobinki lodu.

- Zdrętwiałam - przyznała. - Jak długo jeszcze mam ją tu
trzymać?

- Jak długo zechcesz.

Gdyby to od niego zależało, zostałyby tu na wieczność.
Amariah była senna, miękka i ciepła, i wcale nie chciał od niej

odejść. Ubrana w zwykłą płócienną koszulę i z ręką w miednicy z lodem wydała mu się bardziej pociągająca niż wszystkie jego poprzednie kobiety w jedwabiach i francuskich koronkach. Teraz, trzymając ją w ramionach, czuł, że może ją chronić, zapewnić jej bezpieczeństwo. Podobnych uczuć doświadczył, dając Billy'emu Fokswi pracę chłopca stajennego. Teraz było jeszcze lepiej, ponieważ to Amariah była osobą, której pomagał.

Wyjęła rękę z lodu, wytarła ją jednym z kuchennych ręczników i odchyliła się nieco do tyłu, moszcząc się na jego piersi.

- Muszę ci coś wyznać, Guilfordzie - wyszeptała. - Nie byłam z tobą całkiem szczerą.

- Nie? - Do licha, co chciała mu powiedzieć? Może jest mężatką? A może człowiek, który ją uderzył, to jej kochanek? Albo coś jeszcze gorszego?

- Nie. Kiedy powiedziałam, że chcę cię prosić o grzeczność, nie mówiłam prawdy. Mam jeszcze jedną prośbę.

Odłożył szczotkę na łóżko i zamknął Amariah w ramionach.

- Tylko jedną?

- Tylko jedną - wyszeptała. - Możesz odmówić, naturalnie. Wiem, że jestem okropnym tchórzem i nie potrafię jasno myśleć. Powinnam być odważna, ale po tym, co się dziś stało, Guilfordzie, ja... byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś został do rana i dotrzymał mi towarzystwa.

- Chcesz, żebym tu z tobą został? - zapytał, nie wierząc własnym uszom, bo niczego bardziej nie pragnął.

- Tak. Trudno mi się do tego przyznać, ale... jestem przerażona. No, wreszcie to powiedziałam. Jestem przerażona i boję się zostać sama.

- W takim razie cię nie opuszczę. - Musnął wargami jej włosy. Jak to się stało, że zaczęła być mu tak droga? Czy naprawdę musiał niemal ją stracić, by uświadomić sobie, że nie wyobraża sobie bez niej życia? - Co by ze mnie był za przyjaciel, gdybym nie spełnił twojej prośby?

- Dziękuję - szepnęła, mocniej wtulając się w niego. - Dziękuję.

Przyciągnął ją do siebie i trzymał w ramionach dopóty, dopóki nie zaczęła równo oddychać. Wtedy zrozumiał, że zasnęła, ale nie wypuszczał jej z objęć, choć świeca wypaliła się, zamarł ruch uliczny, a on sam w końcu zasnął.

Wyczerpany Westbrook, wciśnięty w róg rozkołysanego powozu, nasunął kapelusz na oczy i zastanawiał się, czy pochoruje się znowu, w obecności siedzącego naprzeciw niego Stantona. Pierwszy raz zemdliło go z powodu perfum tej dziwki o żółtych włosach i podanej przez panią Poynton tańszej madery, choć zaklinała się, że to pierwszorzędne, pochodzące ze szmuglu wino. Gdyby miał odrobinę oleju w głowie, chlusnąłby jej tym w twarz, żeby dać jej nauczkę i wyszedłby, nie płacąc ani za wino, ani za dziwki.

Jednak dżentelmen musi dbać o reputację, a pyskówka z właścicielką przecenianego burdelu nie wpłynęłaby na poprawę jego pozycji towarzyskiej. Poza tym ta dziwka o żółtych włosach miała niewiarygodnie sprawny język i razem z tą francuską lalunią sprawiły, że ta noc we trójkę była jednak warta swojej ceny.

Dziwki nigdy nie sprawiały mu zawodu, w przeciwieństwie do hazardu. Westbrook nie mógł o tym zapomnieć. U pani Poynton zawsze wygrywał. Kiedy jutro rozejdzie się wśród znajomych wiadomość, że zaspokoił dwie dziwki naraz, nikt

nie będzie już pytał, jak mu poszło w Penny House ani czy w ogóle był tam, gdy...

- Mój Boże, Westbrook, spójrz na to! - zawołał Stanton. - Obudź się i powiedz, że nie śnię!

- A niby dlaczego?

- Dlatego, że on wygrał - odparł Stanton z taką zawiścią w głosie, że Westbrook poczuł się wreszcie zaciekawiony. - Ten cholerny Guilford wygrał.

- Guilford? - To wystarczyło, by Westbrook usiadł prosto i zsunął z czoła kapelusz. - A co znowu wygrał ten szczęśliwy drań?

Już prawie świtało, znajdowali się na St. James Street, w pobliżu Penny House, do którego Westbrook nie zamierzał zaglądać w najbliższym czasie. Ostatni ziewający chłopcy na posyłki gasili latarki i wracali do domu, a pierwsze mleczarki ze wsi taszczyły bańki z mlekiem pod drzwi stałych odbiorców.

Ale to nie chłopców na posyłki ani mleczarki wskazywał Stanton.

- Zwolnij! Zwolnij, mówię! - krzyknął do stangreta, uderzając w dach powozu. - Patrz tam, Westbrook. Jeśli mnie wzrok nie myli, to niebieski powóz Guilforda stoi dokładnie w tym samym miejscu, w którym widzieliśmy go, jadąc do przybytku pani Poynton.

Westbrook wychylił się przez okno, żeby przyjrzeć się karcie z drzemającym na koźle stangretem i lokajem skulonym z tyłu; zmrużył blade oczka, by dostrzec złoty herb na drzwiach.

- Zgadza się, to kareta Guilforda. I co z tego?

Stanton złapał go za ramiona i mocno nim potrząsnął.

- Nie bądź takim cholernym idiotą, Westbrook! Wyjeżdżając z klubu, widzieliśmy, że Guilford przyjechał, wszedł na gó-

rę i nie wrócił na dół. Przypomnij sobie, że nie widzieliśmy dziś tej Penny, jej ludzie twierdzili, że rozboleła ją głowa i położyła się spać.

- I co z tego?

Westbrook wzruszył ramionami, udając, że nic go to nie obchodzi, jakby wcale nie zaschło mu w ustach, a serce mocniej nie zabiło. Wolał nawet nie myśleć, że człowiek tak inteligentny, jak Guilford był przy Amariah Penny, zadawał jej pytania, kojarzył fakty. W ogóle nie chciał myśleć o nich dwojgu.

- Zakład! - rzucił Stanton ponuro. - Byłem tak pewien, że nawet Guilford nie zaciągnie tej jędzy do łóżka, że założyłem się z nim o pięćset funtów. Twierdziłem, że nie zdoła jej uwieść w ciągu dwóch tygodni. Dwa tygodni! A jemu wystarczył niespełna *tydzień*, by wskoczyć pod *jej* spódnicę, i *teraz* będę bulił. Dla ciebie zdobyć taką sumę to jak splunąć, ale ja będę musiał nieźle się nagimnastykować.

Westbrook gapił się ciągle na powóz, bo nie chciał, żeby Stanton zobaczył malujące się niewątpliwie na jego twarzy poczucie winy.

- Z tego, że jego karetka tutaj stoi, nie wynika jeszcze, że on leży w łóżku tej jędzy. Może nawet nie ma go w jej domu. Mógł też wyjść, a potem wrócić. Albo pójść do kogoś z domów w sąsiedztwie.

- To prawda - stwierdził Stanton po namyśle. - Prosiłem go o przekonujący dowód. Przynajmniej raz masz rację, Westbrook. Sam powóz jeszcze o niczym nie świadczy, mogą znajdować się w dwóch różnych miejscach.

- Powiadają, że jej pokoje są ściślej strzeżone niż Tower - zgodził się Westbrook, starając się uspokoić nie tylko Stantona, ale i siebie. - Wszystko pozamykane na klucz. Jak Guilford

mógłby się do niej dostać? To nie jest kobieta, która dałaby mu klucz wraz z pocałunkiem.

- Święta prawda! - zawołał Stanton i znów popukał w dach karety, żeby stangret ruszył. - Zakład nie zostanie rozstrzygnięty, dopóki Guilford nie przedstawi dowodu.

Westbrook skwapliwie przyznał mu rację, lecz Stanton już go nie słuchał.

- Nie powinienem był w ogóle przyjmować tego zakładu - powiedział. - Kobiety lgną do Guilforda jak pszczoły do miodu. To książę, par Anglii, a na dodatek bogaty jak krezus. Nie ma sprawiedliwości na świecie.

Westbrook westchnął, bębniąc bezmyślnie palcami po główce kapelusza, leżącego obok niego na siedzeniu. Guilfordowi wszystko uchodziło na sucho, wszystko mu się udawało. Upokorzył go publicznie na ulicy przed Penny House, potem zabronił mu pojedynkować się z tym szkockim szulerem. Ale najbardziej ubodło go, jak Amariah Penny patrzyła na Guilforda; wprost topniała na jego widok. A ilekroć usiadł do gry, szczęście mu sprzyjało, wszystko jedno w co grał.

Jednak nawet sprawiedliwość można odmienić, jeśli ma się dość rozsądku i łut szczęścia. Dowiódł tego dzisiaj, prawda? Westbrook potarł dłonią usta, żeby ukryć uśmiech. Stanton może sobie jęczeć i ubolewać, ile dusza zapragnie. Ale on poszedł i odmienił zły los na dobry, zaprowadził własną sprawiedliwość i to nie tylko dla siebie, ale również dla Guilforda i Amariah Penny.

Kiedy następnym razem usiądzie do gry, to jemu będzie sprzyjać szczęście.

Obudziło ją chrapanie.

Amariah leżała skulona na boku, na granicy snu i jawy. Nie

była jeszcze gotowa na powitanie nowego dnia. Nie opuściło jej zmęczenie, była cała obolała, ciało błagało o jeszcze odrobinę snu. Z westchnieniem odwróciła głowę od wpadającego przez okno słońca.

Nie mogła jednak umknąć przed donośnym, głębokim męskim chrapaniem, jakiego nie słyszała od śmierci taty. Drgnęła i w jednej chwili otrząsnęła się ze snu. Uniosła się, zaciskając z bólu usta i zwróciła się w stronę źródła hałasu.

- Guilford! - wyszeptała ze zgrozą, okrywając szczelnie ramiona. - Wielkie nieba, co ty robisz w moim łóżku?

Zmarszczył czoło, mruknął coś i przestał chrapać, ale nie był jeszcze w pełni rozbudzony. Właściwie nie leżał w jej łóżku, a na nim. Rękawy miał podwinęte i rozpięte górne guziki koszuli, buty kopnął gdzieś daleko, poza tym jednak był nadal przyzwoicie ubrany, co rzadko zdarza się dżentelmenom o tej porze. Kamizelka była porządnie zapięta, podobnie jak - Bogu dzięki! - spodnie, nawet złoty łańcuszek od zegarka opasywał, jak należy, jego brzuch.

- Guilford, wstawaj!

Wyciągnęła rękę, żeby nim potrząsnąć i jęknęła. Całe przedramię pulsowało równym, tępym bólem, a pomiędzy nadgarstkiem a łokciem widniał ogromny, przypominający monstrialną śliwkę siniak. Błyskawicznie przypomniała sobie wczorajszą noc - jak próbowała zatrzymać intruza, który ją uderzył i kopnął, jaka była przerażona i jak Guilford przybył jej na ratunek, gdy go najbardziej potrzebowała.

Ze zmarszczonym czołem spojrzała na mężczyznę, który leżał na plecach z głową wtuloną w drugą poduszkę. Ciemne włosy rozsypały się na białej pościeli, a na szczęce i wokół ust pojawił się cień zarostu. Kiedy spał, wyglądał inaczej.

Młodziej, bardziej chłopięco. Nie robił wrażenia dandysa ani światowca, czyli mało przypominał Guilforda, jakiego znała aż do ostatniej nocy.

Tamten Guilford nie szczotkowałby jej włosów i nie zajmowałby się nią ze wzruszającą delikatnością. Od kiedy pamiętała, to ona dbała o innych, ostatniej nocy on zaopiekował się nią i bardzo jej się to spodobało. Ten nowy Guilford uśmiechał się i opowiadał zabawne historyjki, by pomóc jej opanować lęk, a potem trzymał ją w ramionach dopóty, dopóki nie zasnęła. Pewnie tak wyglądały poranki jej siostr, które budziły się u boku mężów - spokojne i bezpieczne.

To nie wina Guilforda, że jej głupie serce zapragnęło od niego czegoś więcej, niż miała prawo oczekiwać, więcej niż był skłonny dać. Gdyby został odkryty w jej sypialni - wszystko jedno, w którym wcieleniu - zrujnowałby kompletnie jej reputację, a przy okazji i Penny House.

Lewą ręką dotknęła jego ramienia i leciutko nim potrząsnęła.

- Guilfordzie, proszę, musisz się obudzić.

Z cichym chrapnięciem ocknął się wreszcie i potarł twarz dłonią. Otworzył najpierw jedno oko, potem drugie i uśmiechnął się.

- Amariah - powiedział zaspanym głosem - rano wyglądasz cudownie.

- Już późno, musisz iść.

Uniósł się na łokciu.

- Co z twoją ręką, kochanie?

- Okropnie - odparła. - Guilfordzie, mówię poważnie. Musisz natychmiast stąd wyjść, zanim ktoś cię zobaczy.

- Tak szybko? - Wyjął z kieszonki kamizelki zegarek. - Nie

minęło nawet południe. Jeszcze wiele godzin do otwarcia klubu. Pewnie nikt mnie tu nie zobaczy.

- Południe! - Zerwała się i sięgnęła po niewielki zegar z brązu, stojący na pobliskim stoliku. - Och, już po jedenastej! Pokojówki wysprzątały ogólnodostępne pokoje i oczyściły wszystkie kominki, a personel kuchenny szykuje jedzenie na wieczór.

- Wszyscy są zbyt zajęci, by zwrócić na mnie uwagę - stwierdził.

- Nie! To znaczy, że wszyscy już zauważyli, że jeszcze nie zeszałam na dół. Pewnie szepczą teraz po kątach, snują domysły i stroją sobie żarty, a ponieważ Deborah widziała cię wczorajszej nocy, podejrzewają, że to przez ciebie.

- Więc mają rację. - Pochylił się do przodu i ze zmarszczonym czołem przyglądał się jej twarzy. - Siniak na twojej skroni paskudnie wygląda. Podejdź tu, żebym go lepiej widział.

- Wcale nie mają racji. - Odrzuciła włosy do tyłu, żeby mógł obejrzeć jej skroń. - Naprawdę jest taki okropny? Rękę mogę schować pod rękawiczką, ale nie pomaluję sobie twarzy.

- Dzisiaj chyba będziesz musiała. - Ujął jej brodę, by unieruchomić głowę. - Powinien to obejrzeć lekarz.

- On mógłby mi najwyżej puścić krew, a na to się nie zgodzę. - Stała bez ruchu, czekając na opinię Guilforda z większym niepokojem, niż gotowa była przyznać. - Mogę przyłożyć lód. Mówiłeś, że to pomaga.

- Na opuchliznę tak, ale nie zlikwiduje siniaka. - Cień zarostu nadał jego uśmiechniętej twarzy łobuzerski wyraz. - Większość kobiet nie miałaby nic przeciwko temu, by ich nazwisko łączono z moim.

- Nie jestem taka jak większość kobiet - oświadczyła. - Szczególnie ta większość, która wiązała się z tobą.

- Zauważyłem - powiedział cicho. - I podoba mi się ta twoja odmienność.

Chciała się odsunąć.

- Zaczekaj. Cieszę się, że czujesz się lepiej. Będąc tu z tobą, miałem mnóstwo czasu do rozmyślań nad tym, jaka stałaś się dla mnie cenna, Amariah. Nigdy dotąd nie znałem takiej kobiety jak ty.

- Chyba szukałeś w nieodpowiednich miejscach - wyszeptała.

- Kiedy myślę o tym, co cię wczoraj spotkało i co mogło się stać...

- Ale się nie stało. - Nigdy dotąd nie patrzył na nią w ten sposób, jakby poza nią nic się dla niego nie liczyło. - Już po wszystkim, Guilfordzie, minęło.

- Wcale nie. - Zbliżył do niej twarz. - Powiedziałbym raczej, że to dopiero początek.

Pocałował ją i Amariah nagle uświadomiła sobie, że czekała na ten pocałunek, odkąd znalazł ją poprzedniego dnia skuloną w mroku. Oddała mu pocałunek żarliwie, na te kilka chwili zapomniała o obowiązkach i po prostu była sobą.

Pochyliła się, by pogłębić pocałunek, jej rozpuszczone włosy okryły ich oboje. Podobało jej się, jak Guilford obejmował ją delikatnie, rozkoszowała się występłą przyjemnością całowania go tu, na swoim łóżku. Guilford wsunął dłoń pod luźny dekolt nocnej koszuli. Gdy odnalazł jej pierś i zaczął ją pieścić, sutki stwardniały natychmiast. Wyrwało jej się westchnienie rozkoszy, tuż przy jego ustach. Nie zapominając ani na moment o jej obolałej ręce, znalazł sposób, by ją delikatnie od-

wrócić i ułożyć na poduszce. Wyciągnął się przy niej, jakby tam było jego miejsce, jakby...

- Guilfordzie, ktoś stoi pod drzwiami! - Próbowwała mu się wyrwać, uwolnić się, wreszcie zaczęła okładać go kułakiem po plecach. - To pewnie Deborah z poranną herbatą. Muszę otworzyć.

- Wcale nie - szepnął, obsypując drobnymi pocałunkami jej szyję. - Jesteś panią Penny House. Nie musisz otwierać nikomu, szczególnie posługaczce z herbatą.

- Ale otworzę właśnie z tego powodu, że jestem panią Penny House - odparła, starając się nie zwracać uwagi na dreszcze wywoływane przez drobne pocałunki. - Z wszystkimi pytaniami zwracają się do mnie, więc nawet Deborah nie odejdzie od drzwi dopóty, dopóki jej nie otworzę.

- Więc wyrzuć ich wszystkich. Zasłużyli na to, a ty zasłużyłaś na mnie.

- Żadne z nas na to nie zasługuje - odparła, z głośnym kłasnieniem stawiając bosc stopy na podłodze. Znow rozległo się pukanie, tym razem głośniejsze. Amariah dokładniej owinęła się narzutą. - Obiecuj, że zostaniesz, póki ich nie odprawię, dobrze?

- Chowałem się już przed mężami, ojcami, a raz czy dwa przed żadnymi zemsty braćmi, ale nigdy dotąd przed dzbankiem herbaty. - Uśmiechał się szeroko, ale w oczach, którymi odprowadzał oddalającą się Amariah, był cień goryczy. - Wracaj szybko, kochanie. Proszę.

Uśmiechnęła się i zamknęła drzwi, choć jej ciało dygotało nadal z podniecenia, a serce mocniej biło po tym, co usłyszała przed chwilą.

„Wracaj szybko, kochanie”.

Znow rozległo się pukanie, wzięła się więc w garść i ru-

szła otworzyć drzwi. Dopiero w świetle dziennym zobaczyła, jakich zniszczeń dokonał intruz: poza podartymi strzępami papieru zauważyła powyciągane z biurka szuflady, których zawartość została przetrząśnięta, otwarte metalowe, malowane pudełko, w którym przechowywała listy od siostr, puste teraz i odrzucone na bok, leżało zgniecione w rogu pokoju. Ze łzami w oczach podniosła je z podłogi i pogładziła malowany metal. Co by się stało, gdyby Guilford nie przyszedł w tym momencie?

- Panno Penny? - rozległ się piskliwy głos Deborah i Amariah nawet przez zamknięte drzwi poczuła zapach parującej herbaty. - Panno Penny, jest tam pani?

- Idę, Deborah - powiedziała, odstawiając pudełko na biurko.

Większość dnia zajmie jej porządkowanie tego bałaganu i stwierdzenie, co zginęło, jeśli w ogóle coś zginęło. Starła się odpędzić myśl, że zdecydowanie wolałaby spędzić ten czas z Guilfordem.

Postanowiła nie dawać pokojówce tematu do plotek, zsunęła więc włosy na czoło, a posiniaczoną rękę ukryła pod narzutą. Dopiero wtedy otworzyła drzwi.

- Pani herbata z grzankami, panno Penny - powiedziała Deborah, trzymając przed sobą zastawioną tacę.

- Mam nadzieję, że czuje się pani lepiej - dodał stojący obok Pratt. Amariah dostrzegła przy nim innego dżentelmena. - Kiedy nie odpowiedziała pani na poprzednie pukanie, postanowiłem, że następnym razem będę towarzyszył Deborah i to wraz z doktorem Hislopem oraz panem Greenem. Pan Green jest konstabłem, panno Penny.

Pratt delikatnie pchnął drzwi i wszedł do pokoju wraz z obu mężczyznami i służącą.

- To całkiem zbyteczne, Pratt - zaprotestowała Amariah. - Nie potrzebuję ani lekarza, ani konstabla. Czuję się doskonale, naprawdę doskonale. Może pan przekonać się na własne oczy.

Pratt zobaczył już wystarczająco dużo. Zauważył skrywaną pod okryciem rękę, opróżnione szuflady i porozrzucane papiery, a obawiała się nawet, że nie umknęły jego uwagi zamknięte drzwi do jej sypialni.

- Skoro pani tak twierdzi, panno Penny - rzekł łagodnie. - Chyba jednak przyszedł czas, by powiedziała mi pani wszystko.



Rozdział dziesiąty

- Czy naprawdę nie może pani powiedzieć o napastniku nic więcej poza tym, że miał pończochy i ciężkie buty z owalnymi sprzączkami? - zapytał konstabl z niedowierzaniem. - Zupełnie nic więcej?

- Niestety.

Amariah siedziała w ulubionym fotelu z wysokim oparciem. Bandaże, którymi lekarz uparł się owinać czoło, nie poprawiły jej humoru, podobnie jak łubki, w których unieruchomił jej rękę - tylko po to, by móc zażądać gigantycznego honorarium za całkiem zbyteczne usługi, o czym Amariah była święcie przekonana.

- Było ciemno, panie Green - ciągnęła. - Przewrócił mnie na podłogę. Co więcej mogłam zobaczyć?

- Liczę, że poda mi pani jakiś charakterystyczny szczegół, który mógłby pomóc zidentyfikować sprawcę, panno Penny.
- Konstabl był bardzo chudym młodym człowiekiem i miał dziwny zwyczaj kołysania się w przód i w tył podczas mówienia. - Pani twierdzi tylko, że miał na nogach buty i pończochy, a to nam nic nie daje.

- Wobec tego nic tu po panu. - Wstała, gotowa go odprawić.
 - Słyszałem pogłoski, że doszło tu do oszustwa - ciągnął konstabl, ignorując wyraźną sugestię, że powinien wyjść. - Oszustwo to rodzaj kradzieży. Czy ten człowiek mógł przyjść na górę po to, by panią obrabować?

Amariah postanowiła nie mówić konstablowi o listach z pogrózkami. Guilford przyznał jej rację, że listy zapewne nie miały nic wspólnego z tym, co się tu wydarzyło poprzedniego wieczoru, nie widziała więc powodu, by jeszcze bardziej komplikować sprawę.

- Pojawiły się pogłoski o oszustwie, ale nie było dowodu - oświadczyła stanowczo. - Sami poradziliśmy sobie z tą sprawą.

Kiedy dawniej pojawiały się w Penny House problemy, gdy zamartwiała się o swą siostrę Bethany, wynajęła prywatnego detektywa. Udało jej się załatwić sprawę dyskretnie, nie wzywała na pomoc konstabla. Nie miała ochoty odpowiadać na pytania tego nazbyt dociekliwego człowieka, szczególnie że w sypialni czekał na nią Guilford.

- Z tą sprawą również uporamy się sami - ciągnęła. - Pratt, bądź tak dobry i odprowadź pana Greena do...

- Zrobię to z przyjemnością - odparł Pratt z tą samą wyrozumiałością, z jaką traktował ją przez cały czas - jak tylko zakończy pani składanie wyjaśnień. Nie usłyszeliśmy jeszcze ani słowa o udziale księcia Guilforda w tym dramacie. Deborah mówiła, że to on posłał do kuchni po lód i to on odebrał go od niej w drzwiach pani apartamentu.

Amariah poczuła, że się rumieni. Powinna była wiedzieć, że Pratt zapyta o księcia. Ciekawe, czy Guilford mógł słyszeć pytanie Pratta i jej odpowiedź? A jeśli tak, czy miało to jakieś znaczenie?

- Poszłam na górę, ponieważ źle się czułam - powiedziała, starannie dobierając słowa. - Jego Wysokość zdziwił się moją nieobecnością i wszedł na górę, żeby zapytać o zdrowie.

- To pani prywatne pokoje, prawda, panno Penny? - dociekał Green. - Czy Jego Wysokość często tu panią odwiedza?

- Proszę mieć wzgląd na damę - wtrącił się Pratt. - To było wysoce niedelikatne pytanie.

- Dziękuję, Pratt, ale jeśli pan Green uważa zadanie takiego pytania za celowe, to na nie odpowiem - stwierdziła Amariah, gotowa bronić swej wiodącej pozycji w Penny House, nawet owinięta narzutą. - Wczorajszej nocy Jego Wysokość wszedł do tych pokoi pierwszy i jedyny raz. Myślę, że spłoszył intruza i tym samym uratował mi życie.

- Możliwe, że to prawda, panno Penny. Przypuszczalnie to prawda - odparł Green. - Dlaczego akurat tego wieczoru Jego Wysokość postanowił pójść za panią na górę? Skąd mógł wiedzieć, że znalazła się pani w niebezpieczeństwie?

- Nie wiedział! - zaprotestowała Amariah. - Tylko zbieg okoliczności sprawił, że wszedł i mnie uratował.

- Zbieg okoliczności. - Green złożył ręce za plecami i obiegł wzrokiem cały pokój. Jego spojrzenie zatrzymało się na surducie Guilforda, nadal niedbale przewieszonym przez oparcie krzesła, tak jak zostawił go poprzedniego wieczoru. - Czy książę lubi grać wysoko, panno Penny?

- Nie - zaprzeczyła Amariah, nie mogąc oderwać wzroku od tego uszytego z najwyższej jakości czarnej wełny dowodu obecności Guilforda w tym pokoju. - Choć należy do członków-założycieli klubu, przychodzi tu raczej dla towarzystwa niż dla gry, a jeśli już obstawia, to bardzo umiarkowanie.

- A jednak jest tu niemal co wieczór?

- Mówiłam już, panie Green - stwierdziła stanowczym to-

nem - że księżę przychodzi do Penny House dla towarzystwa.

Green się uśmiechnął.

- Dla pani towarzystwa?

- Panie Green, bardzo pana proszę! - wybuchnął Pratt.

- Tak, oczywiście. Pozwoli więc pani, że zadam inne pytanie - powiedział Green, wcale niezbity z tropu. - Po co Jego Wysokość miałby przyjść na górę, jeśli nie dla pani towarzystwa? Jaki inny powód mógł go tu przyprowadzić?

- Ja... nie wiem - odparła Amariah, walcząc z ogarniającą ją paniką. Sama się nad tym zastanawiała, ale te rozważania wydały jej się przejawem nadmiernej podejrzliwości w stosunku do Guilforda, więc starała się wyrzucić je z myśli. Kiedy jednak konstabl podniósł tę kwestię, poczuła się niepewnie, zwątpiła w siebie i w księcia. - Nie potrafię na to odpowiedzieć, ale jestem bardzo wdzięczna, że to zrobił.

Green kiwnął głową i na jego ustach pojawił się uśmiech.

- Jednak z pewnością pozna pani odpowiedź na to pytanie, panno Penny. Wita pani wszystkich członków klubu w drzwiach. Rozmawia pani z nimi jak z najserdeczniejszymi znajomymi, często prawi im pani komplementy odnoszące się do ich dokonań, godności czy wyglądu.

- To prawda - przyznała Amariah niechętnie, bo nie miała pewności, do czego konstabl zmierza. - Do obowiązków właścicielki i gospodyni Penny House należy znać wszystkich członków klubu i ich gusty.

- W takim razie proszę mi powiedzieć, panno Penny - Green podniósł głos dla podkreślenia wagi pytania. - czy księżę przyjął nową modę noszenia przez mężczyzn długich spodni, czy też pozostał wierny zwyczajowi wkładania na wieczór pończoch?

- A niech cię licha, licz się ze słowami! - Drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł Guilford. Stał przy fotelu Amariah. - Przepraszam, panno Penny, ale nie mogłem zostawić pani dłużej samej. Jeśli ten wścibski łajdak ma do mnie jakieś pytania, to powinien zachować się jak mężczyzna i rzucić mi je w twarz!

Serce Amariah biło w zastraszającym tempie, nie odważyła się podnieść wzroku na Guilforda w obawie, że własna twarz ją zdradzi. Nie ulegało wątpliwości, że spędził tutaj noc, podobnie jak jej nocna koszula przykryta tylko narzutą nie pozostawiała złudzeń, że Amariah dopiero co wstała z łóżka.

Była skompromitowana. Całkowicie i bezdyskusyjnie. Wszyscy obecni zdawali sobie z tego sprawę.

- Wasza Wysokość, to pan Green, konstabl - dokonała prezentacji możliwie jak najbardziej opanowanym głosem.
- Panie Green, to książę Guilford. Pan Green rzeczywiście ma do Waszej Wysokości wiele pytań dotyczących ostatniej nocy.

- Jestem zaszczycony. - Konstabl skłonił się niemal w pas.
- Na ostatnie pytanie znam już odpowiedź, udzieliły mi jej własne oczy. Nadal woli pan pończochy.

- Owszem - odparł Guilford lakonicznie. - Podobnie jak tysiące innych dżentelmenów i ich służących w Londynie.

- Tak, Wasza Wysokość. - Green nie ustępował pomimo tak znacznej różnicy pozycji społecznej. - Ponieważ jednak panna Penny podała mi tak niewiele konkretów, jestem zmuszony skoncentrować się wyłącznie na nich.

- I stać pana tylko na obsadzenie mnie w roli napastnika?
- zapytał Guilford wyniośle. - Niech pan sobie lepiej przypomni, kim jestem i jakie w związku z tym należy mi się powa-

zanie. A potem proszę mi wyjaśnić z łaski swojej, dlaczego odwiedzenie tej pani jest zbrodnią.

Uśmiech Greena przypominał ironiczny grymas.

- Prawda jest taka, Wasza Wysokość, że wiele pobitych przez swoich kochanków kobiet stara się chronić ich przed karzącą ręką sprawiedliwości.

- Nie! - Zawołała Amariah pospiesznie, zanim Guilford zdążył powiedzieć coś niemądrego, czego później nie mógłby już cofnąć. Odwróciła się w fotelu, by spojrzeć mu w twarz i położyła dłoń na jego rękawie, żeby go powstrzymać. - Proszę, nie.

Nigdy dotychczas nie widziała go tak wściekłego.

- Nie rozumiesz, co ten gnojek o tobie mówi? - zapytał groźnym głosem.

Nie mogła liczyć na to, że Guilford zapanuje nad wzburzeniem i nie pogorszy i tak złej sytuacji. Wszystko zależało więc od niej. Zwróciła się znowu w stronę konstabla i przerażonego Pratta.

- Rozumiem, Wasza Wysokość - odparła - ale choćby pomówienia pana Greena były najbardziej nikczemne i skandaliczne, nie muszę się ich obawiać, ponieważ zostały oparte na fałszywych przesłankach i czczych podejrzeniach, a nie na prawdzie. Jego uwaga o kochankach nie może się odnosić do nas, ponieważ nigdy nie byliśmy kochankami.

- Proszę o wybaczenie, panno Penny - wtrącił Green - ale okoliczności wskazują na co innego.

- Okoliczności mogą sugerować niejedno, panie Green. - stwierdziła. - W tym przypadku okoliczności były takie, że przeżyłam wczoraj ogromny wstrząs i bałam się zostać sama, a Jego Wysokość uprzejmie zaoferował mi swe towarzystwo, za co jestem mu szczerze zobowiązana. Zapewne nie zda-

je pan sobie sprawy, że książę jest filarem naszego komitetu członkowskiego i często doradza mi w wielu sprawach dotyczących działalności klubu.

- Skoro tak pani twierdzi, panno Penny - Pogardliwie uniesiona brew świadczyła o tym, że Green jej nie uwierzył, czego zresztą się spodziewała.

- Panna Penny tak twierdzi - huknął Guilford - i ja również. A może chciałby pan poddać w wątpliwość moje słowo honoru, Green?

-Konstabl wykonuje tylko swoje obowiązki. - Amariah znów położyła mu rękę na ramieniu, tym razem jednak pozwoliła, by narzuta podsunęła się nieco wyżej. Liczyła, że widok łubków będzie bardziej wymowny niż jakiegokolwiek słowa.
- Nie sądzę, by pan Green patrzył na to jak na kwestię honoru. Przynajmniej nie pańskiego i mojego.

Podniosła głowę wysoko, królewskim gestem, jakby nadal miała wpięte we włosy ulubione białe pióro, próbując w ten sposób odzyskać zwykłą pewność siebie. Czy Guilford nie wierzył w nią i dlatego stanął w jej obronie? Czyżby nie cenił jej reputacji na równi ze swoją? Ona potrafi się wznieść ponad to... ponad tę głupotę.

Uśmiechnęła się do konstabla, rzucając przelotne spojrzenie na księcia. W jego oczach dostrzegła iskierki zdumienia, świadczące, że zorientował się, do czego ona zmierza.

- Podobne jak ja muszę być spozstrzegawcza, by poznać gusta członków klubu, panie Green - zaczęła - tak i w pana zawodzie zmysł obserwacji powinien być chyba dobrze rozwinięty.

- Istotnie, panno Penny - potwierdził, dając się zwieść magii jej uśmiechu. Wyjął mały, kieszonkowy notes, w którym zapisywał spostrzeżenia. - Obserwuję wszystko, by

zrozumieć, co się tu wydarzyło. W jaki sposób zostały opróżnione te szuflady, czego może brakować, jakie obrażenia pani odniosła. Każdy szczegół jest jak ważny fragment układanki, panno Penny. To, co w pierwszej chwili wydawało się niezbyt ważne, w ostatecznym rozrachunku może okazać się kluczowe.

Uśmiechnęła się zwycięsko, bo udało jej się sprowadzić Greena na doskonale sobie znany grunt: konstabl, jak każdy mężczyzna, zaczął się puszyć i popadł w nadmierne samozadowolenie.

- Nawet jeśli zapamiętałam tylko pończochy i owalne klamerki przy butach przestępcy?

- Wszystko jest tutaj, panno Penny. - Z uśmiechem samozadowolenia otworzył notes i przerzucał strony, aż znalazł notatkę o butach. - Masywne męskie nogi w pończochach, ciężkie buty ze zwykłymi, owalnymi klamerkami. To pani własne słowa, panno Penny.

- Jest pan tego pewien, panie Green? - zapytała, przechylając głowę na bok. - Zdaję sobie sprawę, że czasem mówię zbyt szybko.

- Jestem pewien, ponieważ zanotowałem je od razu, kiedy jej pani wypowiadała - oświadczył Green i popukał w okładkę notesu. - Szczegóły, panno Penny, szczegóły.

- Rzeczywiście. - Uśmiechnęła się i zdrową ręką wskazała stopy Guilforda. - Zanotował pan zapewne również szczegółowy opis butów Jego Wysokości. Owszem, nosi pończochy i buty, jak pan słusznie zauważył, ale jego klamerki nie są proste, a stalowe, z wyrzeźbionym wzorem. Szczegóły, panie Green, szczegóły. Zaryzykuję stwierdzenie, że książkę powinien zostać skreślony z pańskiej listy podejrzanych.

Green z kwaśną miną zerknął na stopy Guilforda i przynajmniej raz zdawał się nie mieć nic do powiedzenia.

Amariah zebrała narzutę i wstała.

- Pozwolą panowie, że się ubiorę. Panie Green, przyślę panu wiadomość, jeśli porządkując biurko, zauważę, że zginęło coś wartościowego. Muszę także prosić pana o zachowanie w tajemnicy tego, co pan tu widział i słyszał. Członkami Penny House są dżentelmeni z najlepszych i najbardziej wpływowych rodzin Londynu i nie byłiby zachwyceni, gdyby zaczął pan opowiadać o ich sprawach.

- Oczywiście, panno Penny, ma pani moje słowo, nie sądzę jednak, abym już skończył - odparł Green z uporem. - Dla pani własnego bezpieczeństwa radzę, żeby pozwoliła mi pani zostać przy przeglądaniu papierów, by mieć pewność, że nic nie zostanie przeoczone.

- Żaden istotny szczegół, panie Green? - Uśmiechnęła się radośnie. - Dziękuję, ale nie. Sama doskonale sobie z tym poradzę.

Konstabl nie miał wyboru, ukłonił się i wyszedł. Amariah zwróciła się w stronę Pratta.

- Proszę, przyślij mi na górę jedną z pokojówek, żeby mi pomogła uporać się z tym bałaganem.

- Dobrze. Niech mi będzie wolno powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że nie odniosła pani wczoraj poważniejszych obrażeń i jak bardzo mi przykro, że do czegoś podobnego mogło dojść w Penny House.

- To nie twoja wina, Pratt. Sama posłałam strażnika na dół i zostawiłam otwarte drzwi. - Uśmiechnęła się smętnie i poklepała go po ramieniu. - Doceniam twoją troskę o mnie, naprawdę.

Skłonił się lekko jeszcze raz i skierował odpowiedź do wszystkich.

- Jest pani najważniejszą osobą w Penny House. Bez pani klub nie byłby taki sam.

- Dziękuję, Pratt - szepnęła miękko. Nie była tak zarozumiała, by uwierzyć, że jest niezastąpiona, rozumiała jednak, co chciał przez to powiedzieć: że to właśnie ona dbała, by wszystko odbywało się zgodnie z wolą jej ojca i tchnęła jego ducha w ten nietypowy mariaż hazardu z dobroczynnością, bez niej więc działalność Penny House wyglądałaby inaczej.

- Proszę, żadnych lekarzy i konstabli. Szczególnie tego okropnego Greena.

- Tak, panno Penny. Nie można jednak dopuścić, by ci łądacy mogli tu swobodnie wchodzić i...

- Sami się tym zajmiemy, Pratt - przerwała mu stanowczo.

- Jeszcze dziś spotkam się z panem Fewlerem i jego strażnikami, a potem z resztą personelu. Chcę, żeby wszyscy stali się ostrożniejsi nie tylko dla dobra klubu, ale i dla własnego bezpieczeństwa.

- Ale...

- To wszystko, Pratt. - Odwróciła się w stronę biurka, więc, chcąc nie chcąc, musiał wyjść, co zrobił z wymownym westchnieniem.

Zostawił ją sam na sam z Guilfordem.

- Teraz z kolei ja zostanę odprawiony w taki sam sposób, Amariah? - zapytał z uśmiechem.

- Ty nie jesteś taki sam - odparła - i chyba doskonale o tym wiesz.

Czy zdawał sobie sprawę, ile prawdy jest w tych słowach? Czuła się teraz przy nim niepewnie, budził jej niepokój, bliskość, jaką odczuwała rano, ustąpiła miejsca dystansowi. Mo-

że dlatego, że została zmuszona do włączenia się w codzienny kierat obowiązków, wynikających z prowadzenia Penny House, spędzony z księciem czas zaczął jej się wydawać tylko snem. A może do głosu doszła wrodzona niezależność Amariah, wczoraj potrzebowała? Może po prostu uświadomiła sobie, że która nie pozwalała jej pogodzić się z tym, jak bardzo go po wczorajszej nocy ich stosunki już nigdy nie będą takie jak poprzednio.

Nie mogła się zmusić, by na niego spojrzeć, zaczęła więc nerwowo szarpać bandaż, mocujący łubki. Amariah nie potrafiła rozwiązać zaciśniętych supełów.

- Pomóż mi pozbyć się tego świństwa z ręki.

Guilford podszedł do niej i spojrzał na węzeł.

- Nie powinnaś tego zostawić?

- Nie potrzebuję tego. To był zwyczajny konował i naciągacz.

- Jeśli chodzi o ciebie, to już niczego nie jestem pewien - odparł Guilford, rozwiązał jednak węzeł bandaża, choć bez przekonania. - Poza tym, że zauważyłaś, jakie mam sprzączki przy butach.

Roześmiała się, dając wyraz poczuciu triumfu.

- Nie ośmieli się więcej cię wypytywać, prawda?

Guilford nie przyłączył się jednak do jej radości.

- Chyba nie wierzysz, że konstabl spełni twoją prośbę i nie puści pary z ust na temat tego, co tu zobaczył?

- Nie wierzyłam w to ani przez chwilę - odrzekła Amariah, rozcierając rękę w miejscu, gdzie dotykały jej łubki. - Przecież to mężczyzna.

- Nie przykładaj jednej miary do wszystkich mężczyzn.

Spojrzała na niego spod rzęs, próbując zorientować się, w jakim jest nastroju.

- W tej sprawie podejmę decyzję po przeczytaniu jutrzejszego numeru „Tattle'a”.

Wystarczył jeden rzut oka na jego twarz, by zrozumiała, jak bardzo się pomyliła.

- Jeśli w „Tattle'u” znajdzie się wzmianka na ten temat, informacja nie będzie pochodziła ode mnie - stwierdził Guilford pośpiesznie. - Mówiłem ci, że robię to dla ciebie i dla Penny House. Szkoda, że mi nie wierzysz.

- Tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś mówić. Jakie jest moje miejsce... kochanie?

To „kochanie” nie było pieszczotliwe, a zgryźliwe i Amariah doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

- My... nie jesteśmy kochankami, Guilfordzie, niezależnie od tego, co inni o tym myślą.

- Wczorajszej nocy w łóżku słyszałem co innego. - Zrobił krok w jej stronę. - Teraz chcę usłyszeć od ciebie szczerą odpowiedź. Naprawdę nic do mnie nie czujesz?

Odwróciła wzrok, żeby uniknąć jego badawczego spojrzenia i nie odpowiedziała.

- Od kiedy to jesteś taka milcząca, Amariah?

- Od kiedy nie wiem, co mam powiedzieć.

- Do licha, to chyba nie takie trudne.

- Dla mnie tak - odparła żałośnie. - Wiem, co ludzie będą mówić o... o tym. Jeśli stracę dobrą reputację, to odium spadnie również na klub, Penny House stanie się lokalem w złym guście. Zdaję sobie sprawę, że od dzisiaj każdy dżentelmen, przekraczający te progi, będzie patrzył na mnie nieco innym wzrokiem, a tym samym zmieni się jego stosunek do Penny House. Mężczyźni będą się na mnie gapić i śmiać się, że nie różnię się od byle aktoreczki z Haymarket, która zaprasza dżentelmenów do garderoby.

- Nie, jeśli będziesz ze mną - oświadczył Guilford buńczucznie. - Przy mnie się nie ośmiela.

- Nie udawaj. - Nie potrafiła ukryć smutku. - Jesteś zbyt inteligentny, by nie zdawać sobie z tego sprawy. Znasz ludzi z towarzystwa. Ty będziesz podziwiany jako pierwszy mężczyzna, któremu udało się wkraść w moje łaski, podczas gdy ja będę w najlepszym razie ceniona jako osoba, która nie sprzedała się tanio, bo samemu księciu.

- Nie słuchaj ich! - Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. - Nie jesteś jakąś głupiotką panienczką. Jesteś niezależną kobietą, obdarzoną własnym rozumem. Nieważne, co inni powiedzą.

Położyła lekko dłonie na jego wygniecionej kamizelce, starając się powstrzymać łzy.

- Dla ciebie to rzeczywiście nie ma znaczenia - szepnęła, wiedząc, że jego ramiona otaczają ją po raz ostatni. - Jesteś księciem. Nic nie może cię dotknąć. Mnie nie pozostaje nic innego, jak wnieść się ponad ludzkie gadanie, ignorować szepty i nie dawać nigdy więcej pożywki plotkom.

- Amariah, to śmieszne...

- Nie, Guilfordzie, proszę. - Położyła mu palec na ustach. - Wybacz, ale tak musi być. Od tej chwili nie mogę być widywana z tobą poza terenem klubu, a nawet tutaj nie możemy zostawać sam na sam ani zbyt długo ze sobą rozmawiać.

Podniósł jej rękę do ust i zaczął ją okrywać gorącymi pocałunkami.

- Do diabła z nimi, kochanie. Bądź ze mną, a już nigdy nie będziesz musiała się nimi przejmować. Moim zdaniem, lepiej odwrócić się do nich plecami i robić to, co nam sprawia przyjemność.

Zamknęła oczy, starając się zebrać myśli, podczas gdy on całował po kolei wszystkie jej palce. Był dobry, impulsywny i uroczy, on pierwszy potrafił ją skłonić do śmiechu i roztkliwić, i był pierwszym mężczyzną, który odważył się okazać jej czułość. Był jednak również człowiekiem o wysokiej pozycji społecznej, potężnym i bogatym. Po przyjeździe do Londynu stała się kobietą światową na tyle, by wiedzieć, co dla dżentelmena oznacza „przyjemność”. Sympatię, pożądanie, namiętność, przyjaźń, ale nie miłość.

Prosił, by została jego kochanką.

- Gdybym mogła myśleć tylko o sobie i o tobie, wszystko mogłoby być inaczej - powiedziała z żalem, wysuwając palce z jego dłoni. - Kiedy wezmę pod uwagę wszystkich, których byt zależy ode mnie i od Penny House, od Pratta poczynając, a na maleńkim Sammym kończąc, a także tych nędzarzy na ulicach i w domach parafialnych, którzy żyją dzięki temu, co im przywiozę... nie jestem w stanie odwrócić się do nich plecami, Guilfordzie. Nie mogę.

Wpatrywał się w jej twarz w nadziei, że za tymi słowami kryje się całkiem inna odpowiedź.

- A co ze mną, Amariah? Do mnie możesz odwrócić się plecami?

Pochyliła głowę.

- Nic na to nie poradzę. Gdybym poświęciła ich wszystkich dla własnej przyjemności, wyrzekłabym się również samej siebie, nie tylko ich. To byłoby samolubne.

- Więc dobrze. - Puścił ją tak nagle, że zatoczyła się do tyłu.
- Jeśli taka jest twoja decyzja.

- Taka. - Naciągnęła narzutę na ramiona. - To jedyne rozwiązanie, Guilfordzie.

- Dla pani, panno Penny, ale nie dla mnie. - Sięgnął po

przewieszony przez krzesło surduty i wsunął ręce w rękawy. - Przyszedłem tu wczoraj, żeby wszystko między nami naprawić. Wyjaśnić wątpliwości, odpowiedzieć na pytania. Wygląda na to, że właśnie to zrobiłaś, prawda?

- Tak, Guilfordzie - szepnęła tak cicho, że chyba nie usłyszał jej słów, wychodząc. - Tak.

Guilford oparł się o poduszki powozu. Był w wyjątkowo podłym nastroju: zmęczony, głodny i sfrustrowany.

Czego ta Amariah chciała, do licha? Uratował ją, pocieszył, pomógł jej przetrwać noc. A niech to, nawet wyszczotkował jej włosy! Darzył ją innym uczuciem niż jakakolwiek ze swych poprzednich kobiet i pragnął jej to okazać. Zachował się w stosunku do niej wyjątkowo rycersko, nawet mu przez myśl nie przeszło, by ją wykorzystać, ona natomiast wykorzystała go bez skrępowań. Żaden z przyjaciół Guilforda by w to nie uwierzył.

Rozumiał, dlaczego tak jej zależało na dobrej reputacji i czemu była taka zdenerwowana, gdy Pratt wprowadził tego okropnego konstabla. Sam miał siostry. Zdawał sobie sprawę, jak cenna jest reputacja dla każdej przyzwoitej kobiety. Ale potem, gdy chciał wszystko naprawić i zaoferował jej ochronę zarówno przed plotkami, jak i mężczyznami, którzy zaczęli się teraz wokół niej kręcić, stała się wobec niego wyniosła i arogancka. Gotów był dać jej wszystko, uczynić szczęśliwą i wprowadzić w wielki świat, a ona rzuciła mu to w twarz, jakby to było nic.

Znowu zaklął, nie mógł się pogodzić z tą decyzją. Właśnie! Jak mogła podjąć decyzję za nich oboje? Nigdy dotychczas nie odmówiono mu tego, czego pragnął, szczególnie gdy w grę wchodziła kobieta.

Amariah to zrobiła. Pożądał jej, ona również go pragnęła, jak tylko kobieta może chcieć mężczyzny. Całował już tyle kobiet, że znał smak pożądania, a ilekroć dotykał wargami ust Amariah, czuł jej pragnienie.

A potem go odprawiła. Gorzej, powiedziała, że nie ma dla niego miejsca nie tylko w jej łóżku, ale i w życiu. Wyłożyła mu zasady, jakby siedzieli przy partyjce wista! Mówiła kiedy, jak i gdzie ma prawo z nią rozmawiać. Pozbawiała wszystkiego nie tylko jego, ale i samą siebie! Nie potrafił znaleźć w tym sensu.

Nie mógł pozbyć się wrażenia, że pewną rolę odegrał w tym wszystkim paskudny zakład ze Stantonem. To, co zaczęło się jak błaha zabawa, przerodziło się w przekleństwo wiążące nad nim i Amariah, deprecjonowało to, co teraz do niej czuł. Przynajmniej to fatum mógł odegnąć. Postanowił napisać do Stantonowi i unieważnić zakład.

Powóz zatrzymał się i jak tylko lokaj otworzył drzwiczki, Guilford wyskoczył i wbiegł po schodach domu. Niehonorowy i w złym guście, tak powie Stantonowi, jeśli ten...

- Przepraszam, wasza łaskawość! - Chłopiec skłonił się nisko, nie wypuszczając z ręki miotły, którą zamiatał schody.

Guilford wpatrywał się w chłopca, oderwany nagle od rozmyślań o Amariah.

- Billy Fox.

- Tak, wasza łaskawość, to ja. - Uśmiechnął się i dotknął ręką runda czarnego, filcowego kapelusza. Kapelusz był pierwszą rzeczą, jaką Guilford kazał kupić dla chłopca, kiedy ten został przyjęty do niego na służbę, a następne polecenie, wydane na osobności, dotyczyło zwolnienia Billy'ego z obowiązku zdejmowania kapelusza przed wyżej od niego stojącymi w hierarchii. - Pan mnie pamięta.

- Trudno cię zapomnieć. - Jedząc regularne posiłki, chłopiec nabrał trochę ciała, a dzięki wygodnemu łóżku do spania na jego twarzy pojawiły się kolory. W prostej liberii wyglądał niemal przyzwoicie. - Czemu nie jesteś w stajni, przy koniach?

- Jeden chłopak ze służby się rozchorował - wyjaśnił Billy, wspierając się na miotle - i pan Cartwright... ochmistrz... prosił, żebym go dziś zastąpił.

Guilford wiedział, że pan Cartwright wpadłby w furję, gdyby usłyszał, w jak familiarny sposób Billy zwraca się do księcia, choć sam odnosił się do niego z podobną prostoduszną poufałością. Guilford polubił chłopca od pierwszej chwili, więc czuł się tym bardziej rozbawiony niż urażony. Poza tym Billy kojarzył mu się z Amariah.

- Hop i Buck są chyba głodne. - Billy ze zmarszczonym czołem przyglądał się zaprzężonym do karety koniom. - Trudno im się dziwić, przecież spędziły całą noc poza domem, razem z panem, wasza łaskawość.

- Chodź tu, Billy, zostaw w spokoju Jego Wysokość! - zawołał wstrząśnięty stangret z wysokości kozła. - Już, chłopcze, już!

Guilford spojrzął przez ramię.

- Nie ma problemu, Johnie - zawołał. - Chłopiec jest grzeczny.

Billy z opóźnieniem wyprostował wąskie ramionka, jak go tu uczono.

- Coś jeszcze, wasza łaskawość?

Guilford skinął głową.

- Myślisz, że konie cierpiały tej nocy?

- Na pewno są głodne, ale John je napoił. - Billy pozwolił ramionkom opaść swobodnie i zerknął na Guilforda z zacie-

kawieniem. - Czy gra była tak ostra, wasza łaskawość, że siedział pan przy kartach do rana?

- Jeśli mam być szczerzy, wcale nie grałem - odparł Guilford.

- Byłem na obiedzie u siostry i bardzo późno przyjechałem do Penny House.

Chłopiec stuknął miotłą o stopień.

- Założę się, że widział pan pannę Penny, wasza łaskawość.

- Rzeczywiście, widziałem - przyznał Guilford, spoglądając na drzwi swojego domu. Podejrzewał, że lokaj albo nawet sam Cartwright czuwa po drugiej stronie, żeby otworzyć natychmiast, gdy tylko księżę zdradzi chęć wejścia, podsłuchując przy tym bezwstydnie jego rozmowę z Billym. - Nie byłeś u niej, odkąd zacząłeś tu pracować, prawda?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Panna Penny była dla mnie dobra, od kiedy przyjechała do miasta, wasza łaskawość.

- Miałeś więc od niej wiadomość?

Chłopiec znowu wzruszył ramionami i utkwiał wzrok w jakimś odległym punkcie.

- Panna Penny mówiła, żebym ją zawsze uważał za swoją przyjaciółkę, wasza łaskawość.

Guilford westchnął ze zniecierpliwieniem. Ile razy jeszcze będzie wywodzony w pole w ciągu jednego dnia?

- Wejdz ze mną do domu, Billy - powiedział i drzwi natychmiast stanęły otworem, a lokaj zgiął się w niskim ukłonie.

- Porozmawiamy chwilę, kiedy będę jadł śniadanie.

Jednak chłopiec się nie ruszył.

- Przepraszam, wasza łaskawość, ale nie wolno mi wchodzić na górę - powiedział niepewnie. - Mogę mieć przez to kłopoty.

- Nie, kiedy jesteś ze mną - oświadczył Guilford i uświad-

mił sobie, że tego samego zapewnienia udzielił dzisiaj Amariah. - Parker, zjem dziś śniadanie we frontowym salonie. Billy, tędy.

Chłopiec wszedł za nim do salonu i stanął niepewnie, z opuszczonymi rękami. Przynajmniej miotłę zostawił na schodach, pomyślał Guilford.

- A teraz powiedz mi prawdę, Billy - poprosił stanowczo.
- Czy miałeś kontakt, osobisty lub listowny, z panną Penny, odkąd wstąpiłeś do mnie na służbę?

Chłopiec nadal nie odpowiadał.

- Jeśli jesteś niezadowolony z posady, powinieneś porozmawiać o tym z Cartwrightem lub nawet ze mną, a nie z panną Penny.

- Ależ ja tu jestem szczęśliwy, wasza łaskawość! - zaprotestował Billy, całym wyprężonym ciałem podkreślając prawdę tych słów. - Nie skarżyłem się pannie Penny, wcale nie! Poszedłem do kościoła Świętego Crispina, jak miałem wychodne, a ona tam była i zapytała, jak mi się tu podoba, i pytała też o pana, wasza łaskawość, i to najprawdziwsza prawda, niech mnie zły porwie, jeśli łzę!

Teraz Guilford zmarszczył mocno czoło, żeby ukryć zaskoczenie.

- Pytała o mnie?

- Tak, wasza łaskawość, tak! - Billy energicznie kiwnął głową. - Powiedziałem, że u pana wszystko dobrze, o ile się orientuję, a panna Penny uśmiechnęła się, wasza łaskawość, jakby naprawdę była zadowolona. Ona uśmiecha się jak anioł, tak, jak najprawdziwszy anioł. Ale nie robi tego dla każdego dżentelmena, wasza łaskawość.

- Robi to co wieczór dla każdego dżentelmena, który staje w drzwiach Penny House. - Guilford nadal czuł się dotknię-

ty odtrąceniem i nie chciał uwierzyć, że jej uczucia mogły być odmienne.

- Założę się, że nie uśmiecha się do nich tak samo jak do pana, wasza łaskawość - oświadczył Billy z przekonaniem. - Widziałem na własne oczy. Do pana uśmiecha się z miłością.

- Ha! - Guilford nie starał się ukryć przed chłopcem rozgoryczenia. - A co byś powiedział na to, Billy Foksie, że właśnie dziś rano zaproponowałem jej miłość, a ona mnie odtrąciła?

To miało być pytanie retoryczne, ale Billy na nie odpowiedział.

- Powiedziałbym, że pewnie nie użył pan słów, które chciała usłyszeć.

Drzwi otwarły się i lokaj wniósł zamówione przez Guilforda śniadanie. Postawił wielką tacę na stole pod oknem.

- A jakich słów ty byś użył? - zapytał Guilford, sięgając po tost z masłem. - Co byś zrobił, żeby zostać dobrze zrozumianym przez anielską pannę Penny?

Billy zmarszczył cienkie brwi, założył ręce na piersi i zamyślił się.

- Powiedziałem, że ona uśmiecha się jak anioł, a nie że jest aniołem. Jest na to stanowczo zbyt praktyczna. Kiedy przyjeżdża do św. Crispina, to obejmuje tam dowodzenie jak generał na polu bitwy, o tak, ona troszczy się o życie tutaj, na ziemi, a nie o przyszłe.

- To prawda - przyznał Guilford, siadając na krześle przy stole. Sięgnął po marmoladę brzoskwiniową do tostów. - Jest znacznie bardziej praktyczna niż większość kobiet.

- Zgadza się - przytaknęła Billy. - Myślę, że powinien pan rozmawiać z nią właśnie w ten sposób. Rozsądnie i praktycznie. Tylko w ten sposób można wygrać z panną Penny.

Guilford jadł w zamyśleniu. Zastanawiał się nad przyjęciem rady dziesięcioletniego chłopca stajennego. A dlaczego nie? Billy był mądry ponad swój wiek i miał rację. Serduszkami, kwiatami i rubinowymi bransoletkami nie miał szansy zdobyć Amariah. Gdyby jednak znalazł sposób, by stać się bardziej moralnym i praktycznym niż ona, to ona z kolei nie miałyby wyboru i stałyby się bardziej namiętna i zdecydowanie mniej praktyczna od niego. Czy mógł być lepszy sposób, by oboje dostali to, na czym im zależało?

- Rozsądnie i praktycznie - powtórzył Billy. - To klucz do jej serca, wasza łaskawość.

Amariah z westchnieniem pomasowała obolałą rękę i zaczęła przeglądać ostatnią stertę papierów z biurka, którą Pratt miał odłożyć na miejsce. Jak dotąd ani jedna strona nie została wydarta z ksiąg buchalteryjnych, nie zauważyła też, by cokolwiek zginęło.

Spotkanie z personelem przebiegło tak, jak się spodziewała. Trudno było coś przed nimi ukryć; większość wiedziała już o nocnym intruzie i głęboko wzięła sobie do serca jej apel o zwiększenie czujności. Amariah włożyła suknię z długimi rękawami, żeby ukryć siniec na przedramieniu, ale nałożyła zbyt mało pudru na twarz, by całkiem zamaskować krwiak na czole i przyłapała jedną czy dwie młode pokojówki na gapieniu się na nią z pełną grozy fascynacją. Postanowiła wieczorem zakryć czoło szarfą, może nawet włożyć turban, żeby nie prowokować członków klubu do robienia zakładów, kto ją pobił.

Zastanawiała się, czy Guilford wróci wieczorem do Penny House. Czy będzie zachowywał się jak gdyby nigdy nic? A może zniknie na zawsze z klubu i z jej życia?

- Czy coś pani znalazła? Coś jest nie w porządku? - zapytał pan Fewler, szef wynajętych strażników. Fewler, mężczyzna o wypukłej jak beczka piersi i czarnych, przylizanych włosach, pracował niegdyś na Bow Street. Założona przez niego prywatna firma specjalizowała się w zapewnianiu bezpieczeństwa przedsiębiorstwom na wyższym poziomie, takim jak Penny House. Amariah wiedziała, że jej siostry nie lubiły go ani mu nie ufały, twierdziły też, że jest zbyt brutalny i szorstki w obejściu, ona jednak uważała, że jego opinie i rady są zadziwiająco celne i przenikliwe. I choć ani on, ani konstabl Green nie zbliżyli się jeszcze do wyjaśnienia, kim był nocny intruz, to Fewler nie miał w sobie zadufania Greena, a już na pewno nie uczepliłby się kurczowo fałszywej koncepcji, jak Green podejrzeń wobec Guilforda.

Zastanawiała się, jakie bezceństwo szykował teraz Guilford. Czy pisał właśnie jakieś kalumnie do „Tattle'a”, czy też odwiedzał mądrą i piękną kobietę, bardziej skłoną obdarzyć go swymi względami niż ona? A może po prostu położył się do łóżka, by porządnie wypocząć w oczekiwaniu na wieczorne rozrywki, jego ciemne włosy rozsypały się na białej poduszce, a prześcieradła okryły nagą pierś... ,

- Nie włamał się siłą do żadnej z tych szuflad - stwierdził Fewler, przeciagnawszy palcem po drewnianej krawędzi. - Czy mógł mieć drugi klucz?

Amariah zarumieniła się z zakłopotania. Najpierw przed Guilfordem, potem przed Greenem, a teraz przed Fewlerem musiała kolejno przyznawać się do swej niefrasobliwości.

- Nie potrzebował klucza - wyznała. - Nie zamknęłam ich na klucz, tak samo jak nie zamknęłam drzwi pokoju. Nie mogłam bardziej ułatwić włamania.

Fewler zmarszczył brwi.

- To nie było rozsądne, panno Penny, chyba nie muszę pani tego mówić.

- Dostałam już nauczkę, panie Fewler - zapewniła, nie przestając przeglądać papierów. - Nie przypuszczałam, że tu, na górze, powinnam stosować szczególne środki ostrożności. Dziwne! Pratt, wiedziałeś, że baron Westbrook wczoraj wieczorem wygrał?

- Baron Westbrook? - Pratt podniósł wzrok znad pudła, do którego pakował dokumenty. - Nie, panno Penny, nie wiedziałem. Jeśli dobrze pamiętam, to był w klubie niezbyt długo, ale mogę się mylić, bo wczoraj mieliśmy tłum gości.

- Ja go w ogóle nie widziałam - stwierdziła Amariah. - Masz rację, mogłam go nie zauważyć. Ten weksel świadczy, że wygrał wczoraj od lorda Stantona znaczną sumę. Cieszę się ze względu na niego. Zazwyczaj ma pieknie szczęście, więc dobrze, że choć raz udało mu się wygrać. Bałam się, że po tej idiotycznej awanturze ze Szkotami będzie nas unikał.

- Mogę zerknąć na ten zapis, panno Penny? - poprosił Fewler. Amariah podała mu dokument. - Czy nie chowa pani weksli do kasy panczernej, wraz z gotówką?

- Z reguły tak - przyznała Amariah. - Ale, jak Pratt zauważył, wczoraj mieliśmy taki ruch, że nie mogłam ich natychmiast posegregować. Widzi pan, one nigdy nie są jednakowe, bo dżentelmeni ustalają rozliczenia między sobą. Ale przechowywane są przeważnie u nas.

Fewler oddał jej dokument.

- Wuj Westbrooka będzie szczęśliwy, że biedak tym razem wygrał. Idę o zakład, że staruszek w ostatnich miesiącach mocniej zacisnął sakiewkę.

Zdumiona Amariah odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

- Dlaczego?

- Jesienią stracił dwa statki podczas wielkiego huraganu na Jamajce. Zostały załadowane cukrem i w jednej chwili poszły na dno.

- To straszne. - Była zdumiona, że nigdy o tym nie słyszała; we własnym najlepiej pojętym interesie starała się na bieżąco zdobywać informacje zarówno o większych stratach członków klubu, jak i o dziedziczonych przez nich spadkach. - Jak pan o tym się dowiedział?

- Utrzymuję przyjacielskie kontakty z towarzystwami ubezpieczeniowymi. Oni zawsze pierwsi dowiadują się o zatonięciu statków. Czy Westbrook prosił o zwiększenie kredytu?

- Jeszcze nie. - Amariah schowała dokument do osobnej teczki. Dziwne, jak łatwo wróciła do pracy związanej z prowadzeniem klubu, jakby to, co stało się pomiędzy nią a Guilfordem, w ogóle nie miało miejsca. - Chyba powinniśmy być na to przygotowani. Niech pan uprzedzi Walthripa, żeby miał oko na barona Westbrooka i w razie konieczności porozmawiał z nim na ten temat.

Pratt kiwnął głową i zrobił stosowną notatkę.

- Moim zdaniem, minimalna kwota kredytu, bo na spadek przyjdzie mu jeszcze poczekać.

- Teraz, kiedy dowiedziałam się o tej historii, jestem skłonna sądzić, że ta ostatnia wygrana to dla niego uśmiech losu. - Amariah westchnęła. Przedłużenie, a jeszcze bardziej cofanie kredytu członkom klubu, którzy znaleźli się w finansowych tarapatkach, nie było przyjemne. - Żaden dżentelmen, przyzwyczajony do szerokiego gestu, nie lubi zaciskać pasa. Może dlatego taki był skłonny do awantur w ostatnim czasie.

- Oby nadal miał dobrą passę, panno Penny, dla dobra nas wszystkich - zauważył Pratt, patrząc na weksel. - Wygrana zawsze poprawia humor graczom.

- Święte słowa, panie Pratt, święte słowa. - Fewler poklepał wksel Westbrooką otwartą dłonią, jakby to był grzeczny, posłuszny pies. - Zadowoleni dżentelmeni, jak ten Westbrook, nigdy nie sprawiają nam kłopotów. To na przegranych i zawiedzionych musimy uważać.

Takich jak lord Guilford, pomyślała Amariah.

Rozdział jedenasty

- Pan Bly pragnie widzieć się z Waszą Wysokością.

Guilford odłożył pióro i posypał piaskiem notatkę, którą przygotowywał dla „Tattle'a”. Jeszcze raz przebiegł ją wzrokiem, by się upewnić, że podał wystarczająco dużo szczegółów. Chciał zadowolić Daltona, żeby nie interesował się Penny House, nie na tyle jednak, by rozdrażnić Amariah. Złożył kartkę i zapieczętował.

- Proszę to niezwłocznie dostarczyć - powiedział, podając list służącemu. - Odpowiedzi nie będzie. Teraz przyjmę pana Bly'ego.

Poprawił mankiety i przeczesał palcami włosy, to wystarczyło na spotkanie z adwokatem. Wiedział, jakiego zapisu pragnie dokonać, ale Bly musiał ująć to w prawnicze formułki. Chciał zrobić wrażenie na Amariah i nie zamierzał niczego pozostawić przypadkowi.

- To nie powinno być trudne - powiedział, gdy adwokat wszedł i skłonił się. - Przygotowywał pan już dla mnie takie kontrakty.

Pan Bly spojrział na niego znad wąskich okularów i uśmiechnął się.

- Bardzo mądrze pan robi, dysponując zawczasu swym majątkiem, Wasza Wysokość. Jest pan niezwykle wspaniałomyślny, ale postanowienia odnoszące się do młodych kobiet są wyjątkowo skomplikowane.

- Tym razem chodzi o coś innego - wyjaśnił Guilford, podczas gdy adwokat otwierał skórzaną teczkę. - Ta dama ma już własny dom w pobliżu St. James Square, nie interesuje jej biżuteria ani łoża teatralna, ani nawet otwarty rachunek u modniarki.

Krzaczaste brwi pana Bly uniosły się w górę ze zdumienia.

- Wobec tego Wasza Wysokość wykazuje najwyższą ostrożność, prosząc o kontrakt, skoro ze strony damy nie występują ani żądania finansowe, ani dotyczące innych dóbr w zamian za jej osobę i towarzystwo.

- Ona oczekuje funduszy, i to znacznych - oświadczył Guilford. - Tyle że nie będą wypłacane na jej ręce. Otrzyma tysiąc funtów za każdy miesiąc, kiedy będziemy razem, i pięć tysięcy funtów na otarcie łez po naszym ostatecznym rozstaniu.

Bly znów zerknął znad okularów.

- Muszę przyznać, Wasza Wysokość, że pańska wspaniałomyślność coraz bardziej mnie zaskakuje.

- Ta dama w pełni na to zasługuje, a nawet na znacznie więcej - rzekł Guilford, wspominając słodycz jej ust. - Chodzi o przekonanie jej, to wszystko.

Bly zanurzył pióro w atramencie.

- Jeśli ta dama odrzuci hojny dar dla siebie, to czy można wiedzieć, kim ma być drugi beneficjant?

- Kościół Świętego Crispina i należąca doń parafia - odparł Guilford. Jeśli Amariah naprawdę najwyżej stawiała działalność dobroczynną, to nie mogła odrzucić takiej oferty. Dla niego wydatek w wysokości tysiąca funtów nie robił specjalnej

różnicy, ale ileż dobrego można za taką sumę zdziałać w tamtej okolicy. - Proszę mi wierzyć, ta dama wyrazi zgodę.

- W takim razie to rzeczywiście wyjątkowa dama - stwierdził Bly, skrobiąc piórem po papierze. - Ufam, że doceni Waszą Wysokość i okaże mu w zamian równą hojność.

- Ja również - mruknął Guilford, przypominając sobie, jak się czuł, leżąc przy Amariah i zapragnął znowu się tam znaleźć. - Ja również.

Tego wieczoru, jak zazwyczaj, Amariah stała w holu i z uśmiechem witała przybywających członków klubu. Kunsztownie zawiązany jedwabny turban, który nasunęła nisko na czoło, dodawał jej egzotycznego wdzięku i wywołał wiele komplementów. Nikt nie podejrzewał, że służył do zamaskowania fioletowego sińca na skroni, podobnie jak długie eleganckie rękawiczki kryły opuchnięte przedramię. Uśmiechała się i udawała, że wszystko w porządku, że wcale nie niepokoi jej rzucająca się w oczy nieobecność Guilforda.

- Dobry wieczór, baronie - powiedziała, gdy Westbrook stanął w drzwiach. - Bardzo się cieszę, że tak szybko postanowił nas pan odwiedzić.

- Jakże mógłbym trzymać się z dala od pani ślicznej osoby?
- Był chyba bardziej podekscytowany niż zwykle, miał na twarzy rumieńce i szybciej niż zazwyczaj wyrzucał z siebie słowa.
- Za co miałbym się tak karać?

Amariah się roześmiała. Nie mogła się powstrzymać. Westbrook był tak zadowolony z siebie, ze swych czerwonych policzków i małych, czarnych loczków na skroni i z podwójnego rzędu błyszczących guziczków przy kamizelce. Mężczyźni, którym dopisało szczęście w Penny House, mieli to wyraźnie wypisane na twarzy.

- Słyszałam, że wczoraj odniósł pan sukces w grze. - Poklepała go lekko po obu ramionach piórami złożonego wachlarza, jakby była królową, pasującą go na rycerza. - Niech pan nie będzie taki skromny.

- Nie jestem pyszałkiem, panno Penny - oświadczył z lubością, świadcząca o czymś wręcz przeciwnym. - Moim zdaniem, nie należy głośno trąbić o własnej chwale, skoro inni mogą to zrobić za nas.

- Na przykład ja? - Uśmiechnęła się szeroko i zwinęła dłoń w trąbkę wokół ust, jak miejsy heroldzi. - Słuchajcie, słuchajcie, baron Westbrook wczoraj wygrał!

- Cii, panno Penny, już dosyć - powiedziała, nagle zakłopotany skupioną na nim powszechną uwagą. - Mówiłem pani, że jestem skromnym człowiekiem.

Opuściła rękę. Zachowanie Westbrooka ją zaskoczyło, bo dawniej puszył się przed wszystkimi najmniejszą nawet wygraną. Wyjął chusteczkę do nosa i otarł pot, który nagle wystąpił mu na czoło. Rozejrzał się dokoła, jakby w obawie, że ktoś mógłby podsłuchiwać.

- Skromność, panno Penny. Nie muszę tego tłumaczyć takiej damie jak pani. Nie chciałbym urazić człowieka, który do mnie przegrał, pani rozumie.

- Oczywiście, milordzie.

Trudno przewidzieć, jak mężczyźni zareagują na zrzucenie losu, zarówno złe, jak i dobre. Nie mogła chwilowo przypomnieć sobie nazwiska dżentelmena, który podpisał wksel barona, ale może łączyło go z baronem coś więcej niż gra w kości; kobieta, koń, obrażona siostra. Biorąc pod uwagę, jak bliski pojedynku był Westbrook po niedawnej awanturze ze Szkotami, trudno dziwić się jego obecnej ostrożności.

- Doceniam pańską dyskrecję w tej kwestii i szanuję ją.

- Dziękuję. - Kiwnął głową. - Mam nadzieję, że dobrze pani dziś się czuje, panno Penny?

- Tak, dziękuję. - Dlaczego zapytał o to w tym momencie rozmowy? Nasunęła turban nieco głębiej na czoło, żeby dokładnie zakrywał siniak. - Całkiem dobrze.

- Miło mi to słyszeć - oświadczył z taką powagą, że niemal mu uwierzyła. - A gdzie podziewa się Guilford?

- Jego Wysokość? - Teraz to ona rozejrzała się po zatłoczonej sali, choć doskonale wiedziała, że go nie znajdzie. - Jeśli jeszcze nie przyjechał, to zapewne wkrótce się pojawi.

Czyżby Westbrook usłyszał jakieś plotki? Czy zaczęły się rozchodzić pogłoski o tym, że ksiązę spędził u niej noc?

- O tej porze Guilford zwykle jest już w klubie, u pani boku - zauważył Westbrook. - Czasami trudno się do pani dopchać, by pożegnać się przed opuszczeniem klubu.

- Pan wybaczy, ale trudno mi w to uwierzyć - stwierdziła stanowczo. - Poza tym ksiązę zasiada w komitecie członkowskim Penny House i bardzo interesuje się funkcjonowaniem klubu. Jeśli widział go pan pograżonego w rozmowie ze mną, to zapewniam pana, że najprawdopodobniej dyskutowaliśmy o nowym dostawcy stołu do gry w faraona lub rozważaliśmy, czy wzbogacić naszą piwniczkę o nowy koniak.

Westbrook pospiesznie, niemal przepraszająco kiwnął głową.

- Może Guilford zaczyna być znużony tym miejscem. On szybko się nudzi. Zazwyczaj pierwszy odkrywa nową modę i pierwszy od niej odstępuje.

- Nie potrafię przewidzieć kaprysów czy upodobań Jego Wysokości. Wiem tylko, że nie zaszczyca nas swą obecnością codziennie, podobnie zresztą jak pan.

- Guilford nie jest również hazardzistą - zauważył Westbrook. - Nigdy nie gra o tak wysokie stawki, jak ja wczoraj wieczorem.

- To prawda - przyznała Amariah, zastanawiając się, dokąd prowadzi ta konwersacja. - Jego Wysokość ma wiele zainteresowań poza kartami i kośćmi. Byłabym najbardziej samolubną kobietą w Londynie, gdybym oczekiwała, że dżentelmeni będą przychodzić wyłącznie tutaj.

- Ja mógłbym - zapewnił baron z niespodziewaną gotowością, a na jego czole znowu załśniły krople potu. - Jeśli Guilford opuści Penny House, uznając, że jest zbyt szacowny, by zasiadać w pani komitecie, będę zaszczycony, mogąc zająć jego miejsce.

Tego Amariah najmniej się spodziewała.

- Co za wspaniałomyślność, baronie. Wiem, że pański czas musi być wypełniony po brzegi różnymi obowiązkami. Tym wyżej cenię sobie pańską uprzejmą propozycję.

- Nie jestem tak zajęty, by nie znaleźć czasu dla Penny House - oświadczył, mnąc w rękę chusteczkę do nosa. - Grałem w każdą grę, którą oferuje pani klub, czego Guilford z pewnością nie może o sobie powiedzieć.

- Bardzo pan uprzejmy - odparła, nie dając mu żadnej konkretnej odpowiedzi.

Westbrook nie dostanie miejsca w komitecie zarządzającym klubem, niezależnie od tego, ile gier rozegrał. Zbyt nisko stał w hierarchii towarzyskiej, by zająć tak ważną pozycję, był za impulsywny, humorzasty, brakowało mu rozumu i stylu, miał zbyt małe wpływy, by mógł przynieść Penny House jakikolwiek zysk. Jedyne, co można mu było zapisać na plus, to dobra wola i częste wysokie przegrane.

- Umieję też wygrywać, panno Penny. - Zadufanie, a mo-

że tylko szczerą chęć, sprawiły, że podniósł głos. - Na własne oczy widziała pani dowód. I jestem uczciwy. Nigdy nie przysporzyłbym pani takich kłopotów jak ten oszust, przez którego musiała pani podwoić strażę.

- Mam nadzieję, że nie. - Baron nie był na tyle bystry, żeby oszukiwać w grze, szczególnie przy stoliku nadzorowanym przez pana Walthripa.

- Nie pożałuje pani - ciągnął. - Przy mnie zapomni pani, że nie ma tu Guilforda.

Jakby ktokolwiek mógł go zastąpić!

- Dziękuję za pańską uprzejmą propozycję, baronie - odrzekła łagodnie, by nie zranić jego uczuć. - Obiecuję ją rozważyć.

- Proszę to zrobić - naciskał. - Nie umiem nawet wypowiedzieć, jak bardzo czułbym się *zaszczycony* mogąc spędzać więcej czasu tutaj, w pani towarzystwie.

Amariah przywołała na usta najbardziej uprzejmy, ale jednocześnie najmniej kokieteryjny uśmiech. Westbrook nie był pierwszym dżentelmenem, który wziął jej serdeczne powitanie w Penny House za coś więcej. - Proszę o wybaczenie, ale muszę zająć się innymi...

- Innymi członkami klubu. - Westbrook entuzjastycznie kiwnął głową. - Oczywiście. Oczekują pani gościnności. Wiąże pani, już zrozumiałem zasady funkcjonowania klubu. Zostawiam więc panią. Tak, wie pani, gdzie mnie znaleźć. Jak zawsze w sali hazardu.

Machnął ręką na pożegnanie i odwrócił się. Fewler twierdził, że najbardziej niebezpieczni byli przegrani i przewidywał, że z wygranymi nie powinna mieć problemów, chyba jednak nie znał barona Westbrooka.

Amariah westchnęła i uśmiechnęła się, żeby powitać na-

stępnego gościa. Wbrew sobie łudziła się, że zamiast Westovera, zobaczy w drzwiach Guilforda.

Aż do końca tego wieczoru łudziła się na próżno.

Guilford nigdy nie był tak wcześnie rano we frontowym salonie Penny House. Wydawało mu się to niestosowne. Zasłony w wysokich oknach zostały odsunięte, żeby wpuścić do pokoju słońce i świeże powietrze. Krzesła ustawiono do góry nogami na stołach, z których pozdejmowano obrusy. Lichтары stały puste, czekając, aż zostaną w nich umieszczone nowe świece, bufety pod ścianami również zostały opróżnione, przygotowane na przyjęcie platerowych półmisek z pieczonymi mięsami i drobiem, które zostaną przysłane z kuchni wieczorem.

Tak jak poranne słońce bezlitośnie ujawnia braki w urodzie i piękna o północy kobieta po zmyciu makijażu i zdjęciu peruki wydaje się szarą, zmęczoną myszką, tak samo ujawniły się skazy i niedoskonałości pokoju, bardzo wyraźne teraz, kiedy nie maskowało ich łagodne i pełne uroku światło świec. Krajobraz nad kominkiem okazał się nieudolną kopią dzieła starego mistrza, a blaty stołów zostały wykonane z bejcowego dębu, a nie z mahoni.

Różnica pomiędzy stylowym eleganckim wnętrzem, jakie widywał wieczorami, a tym, co miał przed oczami teraz, wzmocniła przekonanie, że postępował słusznie. Amariah była kobietą, która nie dawała się omamić piękną fasadą, za co ją podziwiał. Zrobiła z Penny House najszybkniejszy salon hazardu w Londynie, a dokonała tego, nie wydając niepotrzebnie pieniędzy, ograniczając się do niezbędnego minimum i umiejętnie łączyła prowadzenie interesu z działalnością charytatywną. Nie będzie mogła odrzucić jego propozycji.

Wiercił się na krześle, zaklinając ją w duchu, by zostawiła to, czym się zajmowała, i przyszła tu, do niego. Wystarczyło, że jej nie widział przez jedną noc, a już nie mógł się doczekać, by ją znów zobaczyć.

Podniósł wzrok, gdy usłyszał, że otwierają się drzwi.

- Panna Penny przysyła wyrazy ubolewania, Wasza Wysokość, ale przyjdzie z opóźnieniem - oznajmił Pratt. - Janey Patton wraz z dzieckiem opuszcza nas dziś rano i panna Penny musi się z nimi pożegnać.

- Tak, oczywiście - powiedział Guilford, chociaż przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, kim jest Janey Patton. Ach tak, to ta, której wysłał ubranka dla dziecka. Guilford miał nadzieję, że Amariah również o tym pamiętała.

I że wreszcie przypomni sobie o nim. Po raz kolejny wyjął z kieszonki zegarek i sprawdził godzinę. Cierpliwość nigdy nie była jego mocną stroną, a teraz, kiedy grał o tak wysoką stawkę, czekanie dłużyło mu się szczególnie.

- Życzy pan sobie czegoś jeszcze, Wasza Wysokość? - zapytał Pratt, ale Guilford odprawił go niecierpliwym ruchem ręki. Życzył sobie jedynie obecności Amariah, a nawet Pratt nie mógł mu jej dostarczyć.

- Ona przyjdzie, Wasza Wysokość - zapewnił Bly ze współczuciem. Wyciągnął kontrakty ze skórzanej teczki i zaczął je rozkładać na niewielkim stoliku. - Damy często mają odrębne poczucie czasu.

- Nie panna Penny. - Guilford opanował pragnienie ponownego spojrzenia na zegarek. - Ona nie traci ani minuty. Podejrzewam, że szkoda jej czasu nawet na sen.

- Jestem przekonany, że zdoła ją pan zmienić, Wasza Wysokość - zapewnił Bly, kładąc dłoń na kontrakcie. - Pan, pańska hojność i...

- Dzień dobry, książę - rozległ się głos Amariah, zanim jeszcze przekroczyła próg pokoju. - Chciał mnie pan widzieć?

- Tak - powiedział cicho Guilford, uświadamiając sobie z zaskoczeniem, ile prawdy kryło się w tym stwierdzeniu.

Nie zadała sobie trudu, by ukryć siniak na czole, i znak ten uświadomił mu znowu, jak bliski był utracenia jej na zawsze. Przy nim Amariah nigdy nie znajdzie się w takim niebezpieczeństwie.

Właśnie dlatego tu dzisiaj przyszedł. Patrzył teraz na prostą płócienną sukienkę, w jakiej chodziła za dnia, przypominając sobie perłowy połysk nagiej skóry, gdy narzuta zsunęła się z jej ramienia, i pełne, uwolnione z gorsetu piersi, widoczne pod cienkim materiałem koszuli. Dzień rano związała włosy w kok z tyłu głowy, Guilford pamiętał jednak ich jedwabisty dotyk, gdy podczas szcztokowania przesuwwały się pomiędzy jego palcami. Na myśl o jej zapachu, smaku, zapragnął natychmiast porwać ją w ramiona, całować i nie pozwolić odejść.

- Pratt powiedział, że chce pan ze mną przedyskutować ważną sprawę, Wasza Wysokość. Proszę wybaczyć, że kazałam panu czekać, ale byliśmy dziś rano bardzo zajęci, wiele spraw wymaga mojej uwagi.

Stała w progu, celowo ani nie wchodziła w głąb pokoju, ani nie zamykała drzwi. Pratt krył się gdzieś za jej plecami, najlepszy dowód, że mówiła serio, iż już nigdy nie będą rozmawiać sam na sam. Cóż, dobrze. Jeśli chciała żyć według tak idiotycznych reguł, to powinna zgodzić się na zaproponowane przez niego rozwiązanie.

Wstał powoli i poprawił mankiety koszuli.

- Panno Penny - powiedział i odchrząknął, by zacząć jesz-

cze raz. Z uwagi na obecność Pratta i Bly'ego nie mógł jej czarować ani *uwodzić*, ale być może rzeczowe podejście bardziej pasowało do zawarcia ugody handlowej pomiędzy nimi.

- Panno Penny, wie pani, jaką estymą darzę pani osobę.

Na jej twarzy natychmiast pojawił się wyraz niechęci i czujności.

- Wiem tylko tyle, ile mi pan mówi, Wasza Wysokość.

- Cenię panią bez porównania wyżej od wszystkich innych dam - oświadczył. - Pani rozum, inteligencja i uroda nie mają sobie równych.

- Dziękuję za komplementy, chociaż nie zasługuję na nie. Nie rozumiem jednak, dlaczego przyszedł pan tutaj, jeśli to wszystko, co miał mi pan do powiedzenia.

- To nie wszystko. - Podszedł i stanął przed nią. Nawet *jeśli* to miało być zawarcie *umowy* handlowej, *nie mógł się oprzeć*, by nie zmniejszyć dzielącego ich dystansu. - Wiem, jak bardzo różni się pani od innych kobiet, panno Penny, a ja nie tylko zachwycam się tą różnicą, ale także szanu-

- Guilfordzie, to do ciebie niepodobne - szepnęła. - Kompletnie niepodobne. Do czego zmierzasz?

- Do niczego nie zmierzam - odparł zirytowany. - A przynajmniej do niczego zdrożnego. Planuję tylko, w jaki sposób moglibyśmy być szczęśliwi.

- Ja jestem szczęśliwa - powiedziała bez przekonania. - Czemu miałbyś planować coś innego?

- Z powodu minionej nocy. Dlatego, że tak bardzo dobrze nam ze sobą.

Pochyliła głowę z ciężkim westchnieniem.

- Przestań. Zawróciliśmy już z tej drogi, wiesz, jak się czuję...

- Jestem tu również i z tego powodu - zapewnił pospiesznie. - Nie należysz do kobiet, które można skusić klejnotami czy własnym powozem.

- Co za przenikliwość!

- Tak, jestem przenikliwy. Podobnie jak ty. Rozmyślałem o tym, że twoja pozycja w Penny House uniemożliwia wszelkie... związki pomiędzy nami, i to z najszlachetniejszych powodów. Te wszystkie wdowy, ci nieszczęśni starzy żołnierze, osierocone dzieci jak Billy Fox, żeby nie wspomnieć o bęk... to znaczy o dzieciach takich jak mały synek Janey Patton. Oni wszyscy zależą od ciebie i tego, co zarobisz w klubie. Nie możesz ich wszystkich porzucić dla mnie i byłbym samolubny, gdybym tego od ciebie oczekiwał.

Jakie to szczęście, że Pratt wymienił nazwisko Janey Patton! Zauważył, jak złagodniała twarz Amariah, gdy okazało się, że Guilford pamięta nazwisko młodej matki, i uniosła nieco głowę, gdy wspomniał o dziecku.

- Masz wiele wad, Guilfordzie - stwierdziła - ale egoizm do nich nie należy.

- To już coś na początek, Amariah. - Sięgnął po jej rękę, licząc na to, że po wzmiance o dzieciach pozwoli mu na to. Na szczęście pozwoliła. - Ty mnie zmieniałaś. Zamierzam jeszcze bardziej wyzbyć się egoizmu.

Uśmiechnęła się tak słodko, że miał ochotę od razu ją pocałować, nie bacząc na obecność obcych mężczyzn i przed zawarciem porozumienia.

- Czy to wizyta w kościele Świętego Crispina otworzyła ci oczy? - zapytała. - Czy dopiero obecność Billy'ego Foksa w twoich stajniach, która unaoczniała ci, jak możesz odmienić życie takiego nieszczęśnika?

- To ty, moja słodka, i twoja działalność. Tobie należy się

cała zasługa. - Wziął ją za rękę. - Nie chcę ingerować w twoją działalność charytatywną, Amariah, ale nie chcę również, byśmy zostali pozbawieni siebie nawzajem w imię tego, co powiedziano by o nas w towarzystwie. To najlepsze z możliwych rozwiązań.

Potrząsnęła głową, nie przestając się uśmiechać.

- To nie ma sensu, Guilfordzie. Chcesz dobrze, ja wiem, ale twoje intencje stoją w sprzeczności z zamiarami.

Podniósł jej rękę do ust i pocałował. Naprawdę była wyjątkowa i nigdy dotąd nie pragnął żadnej kobiety tak bardzo jak jej.

- Tysiąc funtów płatne już dziś na rzecz parafii Świętego Crispina do rozdysponowania wedle twojej woli. Co ty na to?

Głośno wciągnęła powietrze.

- Co ja na to? Jesteś najbardziej wspaniałomyślnym dżentelmenem, jakiego można sobie wyobrazić!

Uśmiechnął się.

- Skoro tak, jestem gotów dawać tysiąc co miesiąc.

- Co miesiąc? - Jej oczy stały się okrągłe jak spodki. - Nigdy nie słyszałam o takiej... takiej dobroci! Jesteś pewien, że chcesz złożyć tak ekstrawagancką ofertę, Guilfordzie, czy po prostu oszalałeś?

- Oszalałem - przyznał. - Oszalałem na twoim punkcie.

- Och tak, oszalałeś na moim punkcie - zakpiła i nieoczekiwanie wybuchnęła radosnym śmiechem, który wydał mu się wyjątkowo cudowny. - Nikt nie jest aż takim wariatem, Guilfordzie! Nie za tysiąc miesięcznie!

- Jesteś warta każdego szylinga - stwierdził. - Tysiąc co miesiąc na parafię Świętego Crispina lub jakkolwiek wskazany przez ciebie cel przez cały czas, kiedy będziemy razem.

- Razem? W jakim sensie razem?
- W zwykłym, kochanie - odparł, zniżając głos do szeptu.
- W tym, który zaczęliśmy poznawać wczorajszej nocy. Pragnę cię, Amariah, a ty pragniesz mnie, w ten sposób będziemy mogli być razem, nie narażając na szwank twojej działalności charytatywnej.

Wyrwała mu swą rękę.

- Chyba oszalałeś! - wykrzyknęła. - Nadajesz się tylko do domu wariatów!
- Aż tak nie zwariowałem, Amariah! - zaprotestował, zdumiony jej reakcją, a ściślej mówiąc: przesadną reakcją. - Jestem tylko rozsądny, podobnie jak ty.

- Rozsądny? - powtórzyła tak drżącym głosem, że nagle dotarło do niego, iż w jakiś niezrozumiały sposób ją zranił.
- Rozsądny?!

Kiwnął głową na potwierdzenie.

- Zaaranżowałem wszystko tak, by nigdy nie doszło do nieporozumień czy wątpliwości. Amariah, zależy mi na tobie. Nie jesteś podobna do znanych mi wcześniej kobiet i pragnę, byś była szczęśliwa.

Potrząsnęła głową z rosnącym niedowierzaniem.

- Najpierw postanowiłeś mi pomóc, podejmując się szpiegowania na rzecz „Tattle a”, a teraz... to!
- Tysiąc funtów miesięcznie, dopóki będziemy razem, i pięć tysięcy po rozstaniu.
- Pożegnalny prezent, zanim jeszcze zgodziłam się na całą resztę? - zapytała, jakby wypluwała każde słowo, zła jak osa.
- Powiedziałabym, Wasza Wysokość, że to nieco przedwczesna troska.
- Bynajmniej, panno Penny - wtrącił Bly, nieświadom nagłej zmiany jej nastroju. Poklepał dłońią stosik porządnie ułożony

zonych dokumentów na sąsiednim stoliku. - Jego Wysokość wykazał się wyjątkową przenikliwością, rozstrzygając wszystko już teraz w kontrakcie, którego ustaleń nie podważy żaden sąd, a który zostanie podpisany, zanim namiętność przyćmi zdrowy rozsądek.

- Nie teraz, człowieku - rzucił Guilford. - Nie teraz!

Amariah zajrzała za drzwi i dopiero teraz zauważyła adwokata.

- Kim pan jest, sir?

- To Bly - przedstawił go szybko Guilford. - Mój adwokat.

- Chciałeś chyba powiedzieć stręczyciel. Zrobię wszystko, żeby spełnić wolę ojca, Wasza Wysokość, by pomóc i pocieszyć skrzywdzonych przez los. Pańska próba ustalenia ceny za moje wysiłki jest... godna pogardy.

- Więc co chcesz, żebyśmy zrobili, Amariah? - zapytał, głęboko sfrustrowany. - Do licha, odrzucasz każdą propozycję, jaką ci przedstawiam, każdy prezent, jaki pragnę ci ofiarować!

- Może pan zabrać swoje propozycje i prezenty na targowisko Covent Garden - rzuciła, odwracając się do wyjścia. - Na pewno znajdzie pan mnóstwo chętnych do ich przyjęcia.

- Amariah, zaczekaj, proszę! - Złapał ją za ramiona i przytrzymał mocno, by nie mogła się odwrócić. - Czy ty nie rozumiesz, jak jesteś mi droga? Dam ci wszystko, co zechcesz. Wystarczy powiedzieć.

- Może to pan powinien coś zrozumieć, Wasza Wysokość! - Jej twarz była zaczerwieniona z gniewu, a oczy płonęły wściekłością. - Nigdy nie będzie pan miał tyle złota, by kupić moje serce lub ciało. Mężczyźnie, którego pokocham, oddam je za darmo, chętnie i z radością, ale nigdy w zamian za jakąkolwiek cenę.

- Ale ja naprawdę cię kocham, Amariah - wyznał. - Kocham cię!

- Doprawdy? - Przez długą, niekończącą się chwilę wpatrywała się w jego twarz tak intensywnie, że poczuł, jak żar ogarnia jego policzki pod jej badawczym spojrzeniem.

Co dostrzegła w mojej twarzy? - zastanawiał się rozpaczliwie. Czego mu brakowało? Czego szukała?

- Naprawdę cię kocham, najdroższa.

- W takim razie bardzo panu współczuję - powiedziała cicho, łagodnie uwalniając się z jego rąk. Cofnęła się, wyraźnie zamierzając złożyć oficjalny ukłon na pożegnanie. - Z prawdziwym żalem jestem zmuszona rozczarować tak znakomitego dżentelmena jak pan, ale nie zostanę dziwką nawet za cenę pana miłości. Życzę miłego dnia, Wasza Wysokość. Jeśli postanowi pan nie przychodzić już więcej do Penny House, zrozumieć pańską decyzję.

Rozdział dwunasty

- Spójrz na to, Westbrook! - Stanton obrócił się w krytym skórą fotelu. - Zasłużyłeś sobie na imienną wzmiankę w „Covent Garden Tattle”.

- Naprawdę? - Zaskoczony Westbrook wyrwał gazetę z ręki Stanton. - Nigdy o mnie nie piszą.

- A dlaczego mieliby pisać? - Stanton pozwolił ręce bezwładnie opaść na wyściełane oparcie fotela. O tej porze, wczesnym popołudniem, klub był niemal pusty i zapewne dlatego udało mu się pierwszemu wziąć do ręki najświeższe wydanie „Tattle'a”. - Nie jesteś ani dość bogaty, ani dość interesujący, ani dość podły, by wzbudzić czyjekolwiek zainteresowanie.

- Autor tego tekstu najwyraźniej tak nie uważa. - Westbrook z nieskrywaną przyjemnością odnalazł w gazecie swoje nazwisko, oczywiście, jak zwykle, częściowo wykropkowane, co bynajmniej nie uniemożliwiało identyfikacji i nikogo nie mogło zwieść. Może to nawet wystarczy, by zajął miejsce Guilforda w Komitecie członkowskim Penny House. - O, tu jestem!

- Przeczytaj, zanim zaczniesz pisać z zachwytem! - przestrzegł

Stanton, spoglądając na niego ze znużeniem. - „Tattle” nie zwykł chwalić tych, których bierze pod lupę.

- Początek jest pełen szacunku - zauważył Westbrook i zaczął czytać na głos.

„W nieustannym poszukiwaniu PRAWDY odwiedziliśmy miejsce, w którym ostatnio doszło do pewnych niepokoїв, czyli elegancki klub dla dżentelmenów - Penny House przy St. James Street. Wielu szlachetnie urodzonych panów z dumą obnosi ślady minionej honorowej rozprawy i prezentuje sinia-ki, pasujące raczej do ringu bokser-skiego niż do Izby Lordów. Do tego bractwa świeżej krwi zaliczają się markiz S****I**d, lord Fl**t i baron W***b***k”.

- Widzisz moje kłykcie? - Westbrook podetknął Stantonowi przed oczy dłoń, zginając palce dla większego efektu. - W zamian dostałem więcej, niż zainwestowałem, to pewne.

Na Stantonie nie zrobiło to specjalnego wrażenia.

- Każ to wygrawerować na srebrnym półmisku.

- Zazdrościsz mi, bo ty nie zostałeś wymieniony - stwierdził Westbrook, zbyt przejęty, by poczuć się urażonym. Był ciekaw, czy dziewczyny z przybytku pani Poynton czytają „Tattle'a”; trzeba zapamiętać, by zanieść tam jeden czy dwa egzemplarze dzisiejszego wydania na wypadek, gdyby tego nie widziały.

Stanton niedbałym ruchem ręki przywołał kelnera, żeby podał mu następną brandy.

- Czytaj dalej - powiedział. - Zresztą pewno nie przestał- byś, nawet gdybym nie chciał słuchać.

- Zamknij się Stanton! - Westbrook zaczął znów czytać.

„Jednakże po tej niesławnej bijatyce ze zdumieniem stwierdziliśmy, że wszystko wróciło do normy. Zaobserwowaliśmy również z zadowoleniem dodatkowych strażników i innych przedstawicieli służb porządku, którzy zostali zatrudnieni, by pilnować uczciwości gier i rozrywek dżentelmenów, należących do klubu. Jesteśmy zaszczyceni i usatysfakcjonowani, że nasze wcześniejsze ostrzeżenia zostały wzięte pod uwagę, a sztandar PRAWDY i UCZCIWOŚCI znów został wciągnięty wysoko na maszt”.

- Cóż, tu bez wątplenia nie zostaniesz wspomniany, Westbrook - stwierdził Stanton. - Nie w sąsiedztwie prawdy i uczciwości.

Westbrook przestał chwilowo myśleć o sobie.

- Panna Penny była tam ostatniej nocy? - zapytał niepewnie. - Czy ona.... eeee... rozmawiała z tobą?

- Oczywiście, że była. Zawsze jest na posterunku. Przecież sam z nią rozmawiałeś, idioto. Widziałem na własne oczy.

Westbrook pomyślał, że przecież nie chciał jej uderzyć, naprawdę nie chciał. Zaskoczyła go wtedy w ciemności i zadziałał odruchowo.

- Nie powiedziała ci czegoś... eeee... niezwykłego?

- Była miła, jak zawsze, ale nie uznałbym tego za coś niezwykłego. Miała na głowie jedwabny turban, spod którego spływały jej na plecy długie loki, chyba nawet ty nie mogłeś go przeoczyć. Wyglądała jak hurysa z haremu. Mężczyzna zaczyna myśleć o wdziękach, które ten strój ukrywa.

- Myślisz, że właśnie dlatego włożyła turban? Żeby coś ukryć?

Westbrook pamiętał, że uderzył ją w głowę, kiedy ruszyła na niego z pistoletem czy co tam ścisnęła w garści w tych

ciemnościach. Czyżby zranił ją tak poważnie, że musiała to chować pod turbanem? Uderzenie kobiety, nawet przypadkowe, to paskudny postępek. Co mogła dostrzec w ciemnościach? Na pewno nie tyle, by móc go zidentyfikować w rozmowie z konstabłem. A jeśli powiążą go z tym wekslem, o którym zapomniał i zostawił go na jej biurku? Nie powinien tak przy niej paplać o wygranej, przypominać jej o tym. Starał się zmienić charakter pisma, ale co będzie, jeśli uważnie porównają litery z weksła z tymi z listów o oszustwie w klubie? Wtedy wpadnie po same uszy i nie będzie już sposobu, by się z tego wyplątać.

- Co ukrywała pod turbanem? - zapytał Stanton. - Klejnoty koronne ukradzione z Tower. Kompletnie nie zrozumiałeś, co miałem na myśli! Chodziło mi o to, co się kryje pod jej suknią, nie pod turbanem.

Westbrook skrzywił się i znowu pochylił nad płachtą gazety w nadziei, że się nie zdradził. Na szczęście Stanton nie był nawet po części takim geniuszem, za jakiego się uważał. Dobrze również, że tej rozmowy nie słyszał Guilford. Gdyby książkę zaczął wtykać swój przemądrzały nos, Westbrook mógłby się znaleźć w poważnych tarapatkach.

Wrócił do czytania.

„Musimy zatrzymać się przez chwilę przy głównej zarządzającej Penny House, którą trzeba cenić nie tylko za jej mądrość, ale i wyjątkową urodę. Dla niezamężnej kobiety honoru to niebezpieczne stanowisko, niosące ryzyko potępienia przez innych ludzi, ale CZERWONA KRÓLOWA - Królowa Kier, Królowa Karo, Królowa Penny House - zasługuje na to miano ze względu na szybkie rozprawienie się z nikczemnym oszustem, a także na wdzięk, z jakim uporała się z gromadą

bijących się dżentelmenów, jak również z powodu odwagi i siły, z jaką stawiała czoło zagrożeniu ze strony człowieka, który miał wobec niej złe zamiary. Życzymy wszystkiego najlepszego tej szlachetnej damie, która może być wzorem dla innych przedstawicielek swojej płci".

- No, no, co za wiązanka pochlebstw pod adresem panny Penny - zdziwił się Stanton. - Ciekawe, komu za to zapłaciła?

- Wszystko można kupić za odpowiednią cenę - stwierdził Westbrook, starając się wyjść na mędrca. Musiała powiedzieć wydawcy „Tattle'a", co się wydarzyło w jej pokoju przedostatniej nocy. Co innego mogły oznaczać słowa o odwadze w obliczu zagrożenia? Czy w następnym numerze napiszą: baron *W***b***k* zaatakował samą Czerwoną Królową?

- Ona jest cwana, ta panna Penny - ciągnął Stanton, biorąc szklaneczkę brandy z tacy kelnera. - Zaczęło się od pogłosek o oszustwie i bójki, którą wszcząłeś z całym klanem...

- To nie ja zacząłem! - zaprotestował Westbrook. - Zostałem sprowokowany!

- Jak wolisz - ustąpił Stanton, a na jego twarzy rozlała się błogość, gdy pociągnął łyk trunku ze szklaneczki. - Można by pomyśleć, że większość członków klubu będzie się po takim skandalu trzymać z dala od Penny House, a tymczasem ona zdołała obrócić to na korzyść dla siebie. Jeszcze nigdy nie widziałem tam takich tłumów jak poprzedniego wieczoru. Z przyjemnością zastosuję się do rady tego gościa z „Tattle'a" i wzniosę toast za Czerwoną Królową.

Uniósł szklaneczkę w chwili, gdy wrócił kelner, niosąc na tacy list.

- Co to może być? - Stanton odstawił szklaneczkę, by złamać pieczęć. - To od Guilforda.

- Książkę napisał do ciebie? - zapytał Westbrook głosem piskliwym z niepokoju. - Dlaczego?

- Sam zobacz. - Stanton rzucił mu kartkę na kolana. - Odwołuje zakład o Amariah Penny.

Westbrook przebiegł wzrokiem list i zalała go fala ulgi.

- To znaczy, że nie zdołał jej zaciągnąć do łóżka w wyznaczonym czasie?

- Został mu jeszcze tydzień. - Stanton obracał w palcach szklaneczkę. - Nie, powiedziałbym raczej, że odniósł całkowity sukces. Pamiętasz, wczoraj w nocy widzieliśmy jego pojazd pod Penny House.

- To dlaczego odwołuje zakład, skoro wygrał?

- Nasz lord zakochał się w niej po uszy, oto dlaczego. Nie chce, żeby świat się o tym dowiedział. Ze względu na reputację panny Penny! - Usta Stanton wygięły się w lubieżnym uśmiechu. - Wiesz co, Westbrook, może podzielimy się dobrą nowiną Guilforda z całym światem i damy tym łajdakom z „Tattle'a” do wydrukowania naszą notatkę?

- To znaczy, powiemy im, że lord Guilford ma nową kochankę? - zapytał Westbrook z entuzjazmem. To było lepsze niż jakikolwiek skandalik, który mógłby wymyślić. I znacznie pewniejsze. Co więcej, oddali od niego wszelkie ewentualne podejrzenia. - Czerwona Królowa przeistoczy się w Szkarłatną Dziwkę?

- Coś w tym rodzaju, Westbrook - odparł Stanton ze śmiechem. - Tak dla sportu, chyba rozumiesz.

Amariah siedziała samotnie w swoim pokoju przy biurku, posiniaczoną rękę trzymała w misie z lodem i próbowa-

ła skoncentrować się na ostatnim liście od swej najmłodszej siostry, Cassii. Nie pojawiła się w Penny House od ślubu Bethany, a Amariah, z racji obowiązków, które spadły na nią jako na jedyną już siostrę Penny w klubie, również nie mogła wybrać się w odwiedziny do Cassii i jej męża Richarda, którzy mieszkali w Greenwood Hall, swej rezydencji w Hampshire.

Szczególnie pragnęłaby spotkać się z Cassią właśnie teraz, bo siostra oczekiwała pierwszego dziecka. Opisywała Amariah w liście swą zmieniającą się figurę i różne nastroje, a ona próbowała sobie wyobrazić Cassie z własnym dzieckiem. Amariah opiekowała się młodszymi siostrami, przejmując na siebie rolę ich matki. Dziwnie się czuła na myśl, że teraz Cassia sama zostanie matką, a wkrótce pewnie Bethany pójdzie w jej ślady i tylko Amariah prawdopodobnie nigdy nie będzie miała własnego dziecka.

Kto by pomyślał, że jej życie potoczy się w taki sposób? Kiedyś wyobrażała sobie, że zostanie żoną jakiegoś młodego człowieka z prowincji, zapewne pastora, jak jej ojciec, i będzie miała dom pełen dzieci. Sądziła, że będzie wiodła na wsi pożyteczne życie, może nawet zostanie nauczycielką w szkółce niedzielnej. Chciała spełniać dobre uczynki i nawet jej przez myśl nie przeszło, że przyjdzie jej prowadzić w Londynie modny klub dla dżentelmenów, zarządzać licznym personelem, przestawać z lordami i innymi wielkimi panami, a wokół niej każdej nocy ogromne sumy pieniędzy będą przechodziły z rąk do rąk.

I nie przypuszczała, że w wieku dwudziestu sześciu lat będzie starą panną. Właściwie nawet nie pragnęła męża, bo większość mężów zmusiłaby ją do porzucenia Penny House, a tego nie chciała. W istocie marzyła o miłości.

Z westchnieniem przekręciła rękę w lodowatej wodzie. Było ciepłe słoneczne popołudnie, na tyle ciepłe, że otworzyła okna i kostki lodu stopniały do rozmiaru malutkich kuleczek. Guilford zapewniał, że łód dobrze jej zrobi, i miał rację. Prawdę mówiąc, w wielu sprawach miał słuszość: od zwrócenia uwagi na miłość Billy'ego Foksa do koni, poprzez dostrzeżenie czegoś dziwnego w zachowaniu barona Westbrooka, aż do zasugerowania Prattowi, by podawał lepszą - i mniej kosztowną - maderę.

Kiedy jednak wyznał jej wreszcie miłość, była przekonana, że się myli.

Zwiesiła głowę. Dlaczego wszystko zniszczył? To, co mieli, nie było może idealne, lepsze jednak od tego, co proponował i nieskończenie lepsze od niewidywania go w ogóle.

Była zaszokowana jego ofertą, ale im dłużej o niej myślała, tym wydawała jej się rozsądniejsza. Naturalnie nie mogła wziąć pieniędzy za swe ciało, ale potrafiła zrozumieć Guilforda, dla którego to było jedyne możliwe rozwiązanie.

Nie chciała iść z nim do łóżka w obawie, że skandal zmniejszy dochody klubu, więc zgłosił chęć wyrównania strat. Nie mógł się z nią ożenić, zatem zaproponował najlepszy z możliwych układów, zabezpieczony prawnie, czego taka legalistka jak ona nie mogła nie docenić. Zauważył, jak bardzo różni się od pozostałych kobiet, co czyniło ją w jego oczach bardziej, a nie mniej pociągającą. Zajmował wysoką pozycję w hierarchii towarzyskiej, ale poświęcił się dla niej i pojechał do parafii Świętego Crispina, a nawet wyszczotkował jej włosy, kiedy nie była w stanie tego zrobić. Ona zaś dała mu w zamian bardzo niewiele. Wiedział, że nawet kobieta tak silna, musi wesprzeć się na ramie-

niu mężczyzny. A gdy przekonał się, że pragnie go równie mocno, jak on jej, powiedział prawdę.

Tęskniła za nim.

Usłyszała, że Pratt zapukał do drzwi, więc zawołała, by wszedł. Wyjęła rękę z wody i wycierała ją ręcznikiem, gdy stanął przy niej.

- Najnowszy numer „Covent Garden Tattle”. - Pratt zaważał się, trzymając gazetę poza jej zasięgiem. - Chce pani przeczytać?

Z bijącym sercem wyciągnęła rękę. W głębi duszy miała ochotę zgnieść gazetę i cisnąć ją do ognia, bez torturowania się czytaniem tego, co powypisywał Guilford. Jednak wrodzona odwaga nakazała jej przeczytanie tekstu i stawienie czoła najgorszemu.

Amariah rozłożyła gazetę.

- Wiesz, co tu jest, Pratt?

- Nie, proszę pani. Gazeciarz, który przyniósł ją pod kuchenne drzwi, twierdził, że jest coś o Penny House.

Ze zniecierpliwieniem przerzucała stronicę, dopóki nie trafiła na nazwę Penny House. Szybko przejrzała artykuł, potem przeczytała go jeszcze raz, jakby chciała się upewnić, że wzrok jej nie myli.

- Aż tak źle, panno Penny? - zaniepokoił się Pratt. - Gorzej niż poprzednio?

Podniosła wzrok znad gazety, starając się ukryć emocje.

- Dlaczego sądzisz, że jest gorzej, Pratt?

- Poprzednio wpadła pani w furję, a teraz jest pani błada jak śmierć.

Starannie złożyła gazetę w taki sposób, by artykuł znalazł się na wierzchu. Ona jedna wiedziała, że napisał go Guilford. Dla niej. Spełnił obietnicę, starał się poprawić reputację klubu

i sprostować wszystkie kłamstwa, które wygłoszono w ostatnim czasie. Ale to nie wszystko. Królowa Kier, Królowa Karo, Królowa Penny House: przed zapadnięciem zmroku ta gazeta znajdzie się niemal w każdym salonie w Londynie, a ona będzie jedyną, która rozumie, co to oznacza.

Pojęła wreszcie, że mężczyzna może powiedzieć „kocham cię” na wiele różnych sposobów.

Guilford bez wątpienia ją kochał.

- Bądź tak dobry i wezwij dla mnie dorożkę, Pratt - poprosiła, podając mu gazetę, by sam przeczytał tekst. - Okazuje się, że muszę jeszcze raz odwiedzić autora tego artykułu.

- Tak mi przykro, panienko - powiedział Pratt i wyszedł z gazetą w ręku. - Dorożka będzie na panią czekała przed wejściem.

- Dziękuję. - Wstała, by się przebrać. - Zaraz będę gotowa.

Guilford zsunął się nieco głębiej do wanny, by ciepła woda sięgnęła jego piersi. Prawie cały ranek spędził w siodle i nie była to relaksująca przejażdżka, a ostry galop, wymagający zarówno od niego, jak i od konia maksimum wysiłku. Próbował w ten sposób rozładować stres. Wrócił zgrzany i zmordowany, a główny koniuszy popatrzył na niego z wyrzutem, że tak zmęczył konia.

Jazda konna nie pomogła. Nie był w stanie wyrzucić Amariah z myśli. Amariah z myśli.
 mniej o niej. Na próżno. Mógł zaakceptować to, że nie przyjmowała ani jego prezentów ani dokumentów Bly'ego, nie potrafił jednak przejść do porządku dziennego nad tym, że tak stanowczo go odtrąciła. Jak do tego doszło, że tak głęboko w niego wrosła, iż stała się niemal jego częścią?

Zamknął oczy i zaklął cicho. Jeśli ona nie chciała go widzieć, to on nie będzie zabiegał o spotkania. Wyjedzie z Londynu, do Szkocji lub do...

Co to, do diabła?

Podciągnął się wyżej, nasłuchując. Ktoś walił do drzwi, jakby dom stanął w ogniu. Gdzie się podziała służba? Dlaczego nikt nie otwiera drzwi?

Z wysokości dwóch pięt, poprzez zamknięte drzwi, usłyszał wyraźnie głos Amariah. Wygramolił się z wanny, zalewając wodą całą podłogę i pospiesznie złapał szlafrok. Wiedział, że dotarła pewnie już do holu przed jego sypialnią, bo jeszcze nigdy nie słyszał tak błagalnego tonu w głosie Dunnera, który próbował skłonić ją, by poczekała na zewnątrz.

Co się stało z tym jej przekętym poczuciem przyzwoitości? Wdarła się do jego domu - a co ze skandalem? I dlaczego teraz, kiedy doszedł do wniosku, że najlepszym wyjściem, a właściwie jedynym wyjściem, jest wyrzucenie jej z pamięci na zawsze?

Ledwo zdążył przewiązać szlafrok paskiem, kiedy Amariah wpadła do pokoju, zostawiając za sobą Dunnera i dwóch kulających się ze strachu lokajów.

- Dzień dobry, panno Penny - powiedział Guilford. Miała zaczerwienioną twarz, rozwiane włosy i kapelusz na bakier. Po raz pierwszy w życiu zapomniała włożyć rękawiczek. Jeszcze nigdy nie wydała mu się tak piękna pewnie dlatego, że zaczął już myśleć, iż nigdy więcej jej nie zobaczy. - Jak to miło, że wpadła pani z wizytą.

Amariah zmarszczyła czoło, zmierzyła wzrokiem jego mokre włosy, bose stopy i kałużę, która zaczynała się przy nich zbierać na podłodze. Jej twarz wyrażała taką determinację, że Guilford nie wiedział, czy wolałaby go pocałować, czy obić.

- Guilfordzie - powiedziała - ociekasz wodą.

Celowo postanowił nie uśmiechać się do niej, zanim nie dowie się, dlaczego przyjechała go dręczyć.

- Wdarłaś się do mojego domu, żeby mnie o tym poinformować?

- Nie. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Przyjechałam powiedzieć ci, że cię kocham.

Rozdział trzynasty

- Kochasz mnie? - upewnił się Guilford. - I przyjechałaś mi o tym powiedzieć?

- Tak - potwierdziła, starając się omijać wzrokiem ogromne łoże z baldachimem, zajmujące lwia część sypialni.

- Z przyjemnością posłucham, panno Penny. Pozwoli pani, że coś na siebie włożę...

- Nie pozwalam! - zawołała, podnosząc głowę. - To znaczy... tak jest doskonale, biorąc pod uwagę, co mam do powiedzenia.

Co było, oczywiście, wierutnym kłamstwem. Tak bardzo przypominał jej wielkiego, kudłatego psa, który właśnie wykapał się w rzece, że czekała podświadomie, aż się otrzepie, opryskując wodą wszystko dookoła. Potargane czarne włosy sterczały każdy w inną stronę, a czerwony, jedwabny szlafrok, który pamiętała doskonale z tego dnia, kiedy wyskoczył w nim na ulicę, przylgnął do wilgotnego ciała, oblepiając ściśle ramiona, tors i uda. Trochę ją to rozpraszało, ale skoro udało jej się wedrzeć tak daleko, nie zamierzała pozwolić mu umknąć pod pozorem ubrania się.

- Proszę usiąść, panno Penny - zaprosił, wskazując gestem

stojące po obu stronach kominka fotele kryte żółtym brokatem.

- Nie, dziękuję. Wolę stać.

- Mogę panią poczęstować herbatą? - zapytał Guilford jak każdy gościnnie gospodarz. - Albo czekoladą?

Potrząsnęła głową. Boże dopomóż, bo tym razem nie miał chyba nic pod szlafrokiem.

Dał służącym znak, by wyszli, i zaczekał, aż zamkną za sobą drzwi.

- Mów.

Wzięła się w garść, wyprostowała i podniosła głowę.

- Tak. - Powinna skoncentrować uwagę wyłącznie na jego twarzy. Zawsze doskonale jej się z Guilfordem rozmawiało. Dlaczego więc teraz, kiedy to takie ważne, tak trudno jej znaleźć odpowiednie słowa? - Zastanawiałam się nad tym, co mówiłeś, przemyślałam wszystko gruntownie i...

- Przyjmujesz?

- Tę ohydłą propozycję?! Oczywiście, że nie!

- To dobrze, bo oferta jest już nieaktualna. Proszę dalej.

- Dziękuję. - Splotała i rozplotała palce dłoni. W pośpiechu zapomniała włożyć rękawiczek i czuła się niekompletnie ubrana. To śmieszne, pomyślała, szczególnie w porównaniu z Guilfordem, który ma na sobie tylko szlafrok. - Jak wspomniałam, rozważałam twoją propozycję i muszę przyznać, że choć była ona grzeszna, to jednak zadziwiająco wspaniałomyślna. Skany Anula43, przerobienie pona.

- Byłem wspaniałomyślny, ponieważ spodziewałem się, że grzech będzie tego wart - wyjaśnił z brutalną szczerością. - Zważywszy jednak na twoje oburzenie, musiałem popełnić błąd.

Rumieńce wystąpiły jej na twarz, odwróciła się więc po-

spiesznie w stronę kominka, by Guilford nie zauważył jej zmieszania. I by na niego nie patrzeć.

- W takim razie ja również popełniłam błąd, przychodząc tutaj - stwierdziła. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że teraz dopiero zrozumiałam, iż oferowałeś mi znacznie więcej niż tylko niezwykle hojną dotację dla parafii Świętego Crispina, i bardzo wysoko to cenię.

- Chciałem ci dać nie tylko tysiąc funtów miesięcznie? - zapytał, nie kryjąc goryczy w głosie. - Wybacz, ale chyba nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Znacznie więcej, Guilfordzie - szepnęła. - Przypomnij sobie, co mi dałeś tamtej jedynej wspólnej nocy. Wyszczotkować mi włosy. Powiedziłeś, że lód zmniejszy opuchliznę. Obejmowałeś mnie, kiedy tego potrzebowałam, i opowiadałeś mi dykteryjki z dzieciństwa, żebym przestała się bać.

- Nic ci nie dałem - zapewnił, wyraźnie zdumiony. - Zrobiłem tylko to, co każdy dżentelmen na moim miejscu.

- Większość dżentelmenów nie uczyniłaby niczego podobnego - oświadczyła z przekonaniem. - Nie zapominaj, że co wieczór spotykam tłum dżentelmenów, Guilfordzie. Przypuszczam, że w najlepszym wypadku wezwaliby Pratta, po czym zniknęliby w największym pośpiechu, żeby nie być w to wplątanych.

- Nie mógłbym cię zostawić w takiej sytuacji. Nie ciebie.

- I to właśnie różni cię od innych. Stoisz ode mnie bez porównania wyżej pod względem pozycji społecznej i majątku, a traktowałeś mnie zawsze tak, jakbyś nie dostrzegał tej różnicy. To również mi dałeś, Guilfordzie.

- Do licha, Amariah, to ty jesteś wyjątkowa. Nie mogłem traktować cię tak jak innych kobiet, bo nie jesteś podobna do

żadnej z tych, którą znam. Nie robiłem z tego tajemnicy. Możesz zapytać, kogo chcesz.

- Nie muszę pytać, wystarczy mi twoje słowo. Przyszłam tu dzisiaj po to, żebyś i ty usłyszał to samo ode mnie.

- Że nie jestem podobny do żadnej ze znanych ci kobiet?

Nie roześmiała się. Nie mogła, choć zdawała sobie sprawę, że tego się po niej spodziewał. Próbowwała nie dopuścić, by emocje wzięły górę nad rozsądkiem. Stawka była zbyt wysoka.

- Oczywiście, Guilfordzie - odparła lekkim tonem, choć nie wypadło to przekonująco. - Ale również by ci wyjaśnić, że nie uwierzyłam ci, kiedy powiedziałeś, że mnie kochasz. Nie mogłam. Częściowo dlatego, że jesteś księciem, a ja tylko zwyczajną panną Penny, ale przede wszystkim dlatego, że... ja również cię kocham. Wreszcie to głośno powiedziałam, więc mogę już iść i nie zakłócać ci więcej spokoju.

Odwróciła się i po omacku ruszyła do drzwi z pochyłą głową.

Nie liczyła, że Guilford stanie jej na drodze, zatarasuje jej przejście własną, porośniętą ciemnymi kędzierzawymi włosami piersią, na której lśniły jeszcze krople wody.

- Nie możesz jeszcze wyjść, Amariah - powiedział. - Najpierw musisz jeszcze jedno dla mnie zrobić.

Wreszcie podniosła na niego wzrok, zresztą nie miała wyboru.

- Powinnam wyjść.

- Nie pozwolę ci - rzekł niskim, głębokim głosem, który Amariah odebrała jak pieśczęotę. - Mówiłaś, że tak wiele dla ciebie zrobiłem, pora byś ty zrobiła coś dla mnie.

- Dobrze, Guilfordzie, ale jeden - szepnęła. Była pewna, że chciała ją prosić o pożegnalny pocałunek. - Tylko jeden.

Uśmiechnął się leciutko.

- Mów mi po imieniu.

- Dlaczego?

- Chciałbym usłyszeć je z twoich ust. - Przesunął palcem po jej wargach.

- Poproś mnie o coś innego, Guilfordzie.

Uśmiechnął się szerzej.

- Nie wiesz, jak mam na imię, prawda? Pozwoliłaś mi położyć się obok siebie na łóżku, choć nie pamiętasz nawet mojego imienia.

- Kiedyś musiałam je znać - odparła pośpiesznie, zakłopotana. - Zwykle uczę się na pamięć imion, tytułów i adresów wszystkich członków Penny House. Również imion ich żon, jeśli są żonaci.

- Niestety, ja nie mam żony i najwyraźniej nie mam również imienia.

- Guilfordzie, proszę! Przepraszam, że nie pamiętam twojego imienia, ale nikt nigdy go nie używa. Pozwoliłeś mi mówić do siebie Guilford, jak wszyscy przyjaciele, a ponieważ nie używałam...

- Eliot - mruknął. Pochylił głowę i pocałował Amariah. - Ponieważ mnie kochasz, możesz mnie nadal nazywać Guilfordem.

Zamknęła oczy, by powstrzymać łzy, i rozchyliła wargi do pocałunku. Jeśli to miał być ich ostatni pocałunek, to chciała, by towarzyszyła mu radość, nie smutek. Oparła dłonie na ramionach Guilforda, by utrzymać równowagę, bo natychmiast poczuła zawrót głowy. Miał ciepłą skórę i szorstkie, sprężyste włoski na piersi, kontrastujące z jedwabistą gładkością szlafroka. Ten pocałunek był powolny, leniwy, głęboki i zdawał się trwać w nieskończoność, a ona była nieskończenie szczęśliwa.

Po jej szyi przesunął się śliski jedwab i zorientowała się, że Guilford rozwiązał wstążki jej kapelusza. Słomkowe rondo ześlizgnęło się po jej ramionach i kapelusz wylądował na podłodze, ale w ogóle się tym nie przejęła. Księżę przyciągnął Amariah bliżej do siebie, a ona zarzuciła mu ręce na szyję i przyłgnęła do niego całym ciałem. Teraz już nie ulegało wątpliwości, że Guilford jest pod szlafrokiem całkiem nagi, wyczuwała każdy mięsień, każdą kość. Wilgotne włosy łaskotały skórę jej dłoni, chłodziły ją, a krople wody znaczyły mokrymi plamkami muślinową suknię.

Wreszcie przerwał pocałunek, ale ich twarze pozostały tuż przy sobie.

- Czy teraz pamiętasz moje imię, kochanie?

- Guilford - szepnęła, oddychając szybko, jej wargi po pocałunku stały się tak wrażliwe, że doznała dziwnego uczucia, gdy się uśmiechnęła. - Ale mogę cię również nazywać Eliotem.

- Nie cierpię Eliota - wyznał. - Powiedz, Amariah, chyba nie chcesz teraz wyjść?

Doskonale wiedziała, o co mu chodziło. Ogromne łożo z baldachimem nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości.

- Ty mi to powiedz.

- Nie. - Przesunął palcami po jej policzku. - Nie mogę. Ty musisz podjąć decyzję, czego chcesz i co zrobisz.

- I co oboje sobie nawzajem damy. - Gładziła jego ramiona, nie mogła się zmusić, by przestać go dotykać. - Nie złoto czy rubinowe bransoletki.

- Nie? - Spojrzał na nią pytająco, pełen wątpliwości. - Jesteś pewna, kochanie?

- Tak - stwierdziła stanowczo. - Większość ludzi twierdzi, że przyjaźń pomiędzy kobietą a mężczyzną nie jest możliwa,

ale my od dawna jesteśmy przyjaciółmi. Ufam ci. Dałeś mi siebie, więc ja ofiaruję ci siebie w zamian. Nie potrzebujemy kontraktu. Kocham cię, Guilfordzie czy Eliocie, czy jak się tam nazywasz.

Wybuchnął głębokim śmiechem.

- A ja kocham ciebie - oświadczył, przesuwając lekko palcami po jej plecach. - Chcę, żebyś była pewna, kochanie. Trzeba liczyć się z plotkami, ze skandalem, który odbije się na sytuacji Penny House.

- Nawet jeżeli jedyny uczciwy informator „Covent Garden Tattle'a” jest moim najdroższym przyjacielem?

- Nawet - potwierdził. - W Londynie nie sposób zachować tajemnicy.

- Nigdzie nie dałoby się zachować tego w tajemnicy - powiedziała. Teraz, przy nim, czuła się odważniejsza, bardziej zuchwała i gotowa w imię miłości stawić czoło plotkom. - Nie zamierzam się tego wstydzić, Guilfordzie. Jak długo mogę chodzić z podniesioną głową i żyć tak jak lubię, będę szczęśliwa.

- Ze mną? - zapytał cicho z zadziwiająco bezbronnym wyrazem twarzy.

- Z tobą. - Ujęła jego twarz w obie dłonie i pocałowała. - Kocham cię. Tak bardzo cię kocham!

Jego nieartykułowany pomruk utonął w kolejnym pocałunku. Zarzuciła mu ramiona na szyję i pogłębiła pocałunek. Jedwabny szlafrok więcej odkrywał, niż zasłaniał i kiedy przygłępli ciasno do siebie, czuła nacisk jego męskości.

- Mam nad tobą przewagę, to nieuczciwe - szepnął, wędrując rękami po jej plecach. - Pozwól mi wyrównać szanse.

- Najpierw mnie czesziesz, potem rozbierasz. - Roześmiała się, stojąc bez ruchu. - Chyba chcesz zostać moją pokojówką.

- Zaufaj mi - poprosił cicho i rozsunał jej ręce. - Bez zastrzeżeń.

Pochylił głowę i pocałował najpierw jedną, potem drugą pierś. Wciągał do ust miękkie ciało i drażnił sutki językiem i wargami, aż naprężyły się i zaróżowiły, a Amariah jęknęła z niespodziewanej rozkoszy i przytuliła jego głowę. Serce szybciej jej zabiło, ciało ogarnął żar.

- No widzisz - wymruczał, całując znowu jej usta. - Przecież prosiłem, byś mi zaufała, prawda?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo nagle wsunął jej ramię pod kolana i podniósł ją.

Poeci opisywali to w ten sposób - porwana przez miłość, namiętność, pożądanie - i wreszcie zrozumiała, że wcale nie przesadzali. Była wysoka jak na kobietę, ale Guilford uniósł ją lekko jak piórko i zaniósł do łóżka.

Zatonęła w puchu. Tylko na moment spojrzała w górę na baldachim z żółtego brokatu i już Guilford był przy niej, a szerokie rękawy czerwonego szlafroka powiewały mu u ramion.

- Szkarłat i złoto, jak płomienie - szepnęła bez tchu, wyciągając do niego ramiona. - Jak ty.

- Jak ty - poprawił, pochylając się nad nią. - Mogłem się domyślić, że skoro masz tak płomienne włosy, to i cała reszta będzie równie ognista.

Tym razem pocałunek był inny, bardziej zaborczy, namiętny. Amariah pozbyła się butów i sukni, a jej koszulka była już tylko zrolowanym kawałkiem materiału w okolicy talii. Wsunęła dłonie pod szlafrok Guilforda i przesuwając nimi po plecach, wyczuwając pracę jego mięśni od ramion aż po biodra. Jego skóra zdawała się płonąć.

Guilford przesunął się lekko na bok, a jego ręka powędrowa-

wała z krzywizny biodra niżej. Delikatnie rozsunął jej nogi, tylko na tyle, by zacząć pieścić najbardziej intymne miejsce. Amariah głośno wciągnęła powietrze i zacisnęła ręce na jego ramionach.

- Zaufaj mi, najdroższa - szepnął. - Zaufaj mi.

Zabrakło jej tchu, więc nie była w stanie odpowiedzieć, że boi się tylko, by nie przerwał tego, co robił. Wygięła się, pragnąc więcej tego cudownego napięcia, które w niej budził. Położył się pomiędzy jej rozłożonymi nogami, a miejsce palców zajęło coś gorącego. Zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, wdarł się w nią mocnym pchnięciem. Krzyknęła z zaskoczenia i poczucia ostrego dyskomfortu. Znów zaczął ją całować, by ją uspokoić i dać jej czas, żeby do niego przywykła, potem zaczął poruszać się w niej powoli.

Pomału i ona zaczęła poruszać się wraz z nim, a to dziwne, przyjemne napięcie, które budował w niej palcami zaczęło wracać, ale wspanialsze, bo teraz dotykał jej wewnątrz ciała, czego nie doświadczyła jeszcze nigdy w życiu. Instynktownie objęła go nogami i wzięła go w siebie głębiej. Jęknęła i zaczęła poruszać się szybciej i mocniej, aż wreszcie w głębi jej ciała wybuchło coś jak fajerwerki, jak trzęsienie ziemi, jak... nawet poeci nie mieli na to adekwatnego określenia. Nawet oni nie znaleźliby słowa oddającego to, co się działo pomiędzy nią a Guilfordem.

Potem długo leżeli przy sobie spleceni w cudownym przyjaznym milczeniu.

- Kocham cię, Amariah - wyszeptał Guilford, odgarnął jej włosy z twarzy i pocałował ją.

- Ja też cię kocham. - Uśmiechnęła się do niego i zamrugała oczami. Były pełne łez nie z bólu, a z nadmiaru miłości.
- Było zupełnie inaczej, niż się spodziewałam.

- Ja też się tego nie spodziewałem. - Uniósł się na łokciu i spojrzął na nią. - Byłaś dziewicą.

- Tak - przyznała. - Wiem, dlaczego cię to zdumiało. Mam dwadzieścia sześć lat i pewnie w Londynie nie znajdzie się druga dwudziestosześcioletnia dziewica. Poza tym co wieczór spotykam w klubie wielu dżentelmenów...

- Teraz to już bez znaczenia. - Położył jej rękę na ustach. - Należysz do mnie i tylko do mnie. Jesteś moją kochanką. Żałuję tylko, że nie wiedziałem o tym wcześniej, bo gdybym miał świadomość, że to twój pierwszy raz, postępowałbym inaczej.

Uśmiechnęła się.

- W takim razie cieszę się, że nie wiedziałeś, bo nie chciałybym, abys postępował inaczej. To było... wspaniałe.

- Tak - przyznał i również się uśmiechnął. - Mnie też było wspaniale.

- I tak powinno być. - Nie mogła wyobrazić sobie większego zadowolenia ani większej radości. - Dziwnie pomyśleć, że jestem tu z tobą w tym gigantycznym łóżu, wielkim jak dziedziniec, oboje jesteśmy nadzy, ale przy tobie wcale się nie wstydę.

- Prawdziwa z ciebie rozpustnica.

Dała mu łokciem lekkiego kuksańca w żebra.

- A kto mnie taką zrobił?

- Prawdziwe rozpustnice są takie od urodzenia - oświadczył. - Ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Kłamca. - W jej ustach to słowo zabrzmiało pieszczotliwie, bynajmniej nie jak wyrzut.

- Nie ośmieliłbym się ciebie okłamywać. - Podniósł jej dłoń do ust i zaczął całować palce. - Nie żałujesz?

Wiedziała, dlaczego o to pytał.

- Nie chciałam czekać z tym do zamążpójścia. Mam dwadzieścia sześć lat i przyzwyczaiałam się, że jestem panią siebie. Mąż próbowałaby kierować moim życiem i oboje bylibyśmy nieszczęśliwi. Co gorsza, od dnia ślubu Penny House stałoby się prawnie jego własnością, a tego nie potrafiłabym znieść.

- To wszystko prawda - rzekł zamyślony.

Odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

Czyżby usłyszał w jej głosie wątpliwości, do których nie chciała się przyznać? Czy zdradziła się, że tęskni za mężem, który stałby u jej boku przez całe życie, i za dziećmi, których najprawdopodobniej nie będzie nosiła pod sercem? Może myślał o tym samym, co ona: że możni panowie mają obowiązek żenić się z córkami parów.

- To prawda - powtórzyła z naciskiem, starając się przekonać zarówno jego, jak i siebie. - Zresztą, gdybym była mężatką, nie leżałabym tu teraz przy tobie.

Uśmiechnął się tak słodko, że serce jej się ścisnęło, i poczuła, że natychmiast musi go pocałować. W tym pocałunku było więcej obietnicy niż namiętności. Ze zdumieniem odkryła, że zaczęła dostrzegać różnicę.

Stojący na kominku zegar z pozłacanego brązu i onyksu wybił pięć krótkich uderzeń. Westchnęła i opadła na poduszki.

- Jak to możliwe, że już tak późno, Guilfordzie?

- Wcale nie jest późno - zaprotestował. - Jest bardzo wcześnie.

- Dla Penny House już późno. Powinnam być z powrotem. Zawsze jest bardzo dużo pracy przed otwarciem i muszę być...

- Zostań. Nie idź. Zostań ze mną przez całą noc.

Spojrzała na niego z nieodgadnioną miną.

- Od dnia otwarcia każdego wieczoru witałam gości przy wejściu.

- Niech ten wieczór i ta noc będą pierwsze - powiedział niskim głosem i pochylił się, by ją pocałować dla przypomnienia, co przed chwilą robili.

Uśmiechnęła się, poczucie obowiązku walczyło w niej z pragnieniem pozostania przy ukochanym. Nigdy w życiu nie postąpiła tak samolubnie. Popatrzyła w błękitne oczy Guilforda, na jego nagi tors, i nagle doszła do wniosku, że najwyższy czas, by to zmienić.

- Wyślę Prattowi wiadomość przez jednego z twoich służących - szepnęła i splótła ręce na karku Guilforda, żeby go przyciągnąć do siebie. - Na tę jedną noc może przejąć moje obowiązki.

- I jak tu cię nie kochać. To niewykonalne.

Westbrook powoli wchodził po schodach Penny House w towarzystwie Stanton. Spodziewał się ciepłego powitania ze strony Amariah Penny. Nie pochwalił się Stantonowi, jak serdecznie jest tu witany, chciał, by on zobaczył to na własne oczy. Czuł, że dziś dopisze mu szczęście; może rzeczywiście wygra sumę, którą przypisał sobie w tamtym wekslu.

Jednak zamiast boskiej panny Penny gości witał Pratt.

- Gdzie jest panna Penny? - zapytał. - Gdzie ją ukryłeś?

Niewzruszony Pratt się skłonił.

- Przykro mi, milordzie, ale panna Penny nie dołączy dziś do nas. Niestety, nie czuje się dobrze i przesyła za moim pośrednictwem wyrazy ubolewania.

- Jest niedysponowana? - Westbrook nie mógł i nie chciał w to uwierzyć. - Jak może jej tu nie być? Do licha, zawsze tu była!

Pratt skłonił się ponownie.

- Przykro mi, milordzie. Panna Penny cieszy się zazwyczaj wyjątkowo dobrym zdrowiem, ale dzisiaj jest niedysponowana.

-Niedysponowana, akurat! - rzekł do Stanton, kiedy zmierzali w głąb klubu. - Ta kobieta nigdy nie choruje.

Stanton wzruszył ramionami.

- Dziś zachorowała - stwierdził. - Znasz kobiety, chętnie zasłaniają się złym samopoczuciem, byle tylko wymigać się od obowiązków. Może dowiedziała się, że zamierzasz przyjść, i to zbiło ją z nóg.

Westbrook się skrzywił.

- Nonsens, Stanton! Panna Penny uważa mnie za jednego ze specjalnych gości. Na pewno nie próbuje mnie unikać, to niemożliwe.

- Skoro tak mówisz... Już tyle dam posłużyło się tym wykrętem, by uniknąć spotkania z tobą, że powinienesz znać ten wybieg.

- Przestań, Stanton - warknął Westbrook. Skierowali się w stronę schodów, prowadzących na piętro, do sali hazardu.
- Kompletnie nie znasz się na kobietach!

Sala gier była zatłoczona, prawie wszystkie krzesła przy wielkim owalnym stole zostały zajęte. Gra rozpoczęła się jakiś czas temu, ale Westbrook pośpiesznie przepchnął się do wolnego krzesła, by jak najszybciej włączyć się do rozgrywki.

Czuł, że ta noc będzie należała do niego. Jeśli wygra, to Amariah znowu się do niego uśmiechnie i Stanton będzie musiał odszczekać swoje słowa. Niemal czuł, że nad jego głową unosi się złocisty obłok szczęścia, z którego spłynie oszałamiające powodzenie. Z entuzjazmem wpatrywał się

w grzechoczące w kubku kostki, zanim rzucił je na zielone sukno.

- Panie baronie - szepnął mu wprost do ucha lokaj w liberii - pan Walthrip chciałby zamienić z panem słówko na osobności.

Zaskoczony Westbrook się odwrócił.

- Walthrip chce się ze mną widzieć?

- Tędy, panie baronie. - Lokaj odprowadził go od stołu. - Pan Walthrip zaprasza pana do swego prywatnego gabinetu.

Baron ruszył za nim, nadymając się poczuciem własnej ważności.

- Kierownik chce się ze mną widzieć na osobności - rzucił, przechodząc obok Stantona. - Pewnie panna Penny kazała mu przedyskutować ze mną pewne aspekty gry.

Prywatny gabinet Walthripa nie był przestronnym pokojem, jakiego spodziewał się Westbrook, okazał się małym pomieszczeniem bez okien, w którym ledwo mieściło się proste krzesło z oparciem i wąskie biurko ze stołkiem. W pomieszczeniu nie było żadnych ozdób czy przedmiotów osobistych, tylko księga rachunkowa, pióro i kałamarz na biurku oraz pojedynczy świecznik.

Walthrip czekał, jego cienkie, białe włosy podświetlone z tyłu wyglądały jak aureola, a ramiona były pochylone do przodu, jakby nie przestawał śledzić przebiegu gry.

- Proszę wejść z łaski swojej, panie baronie - powiedział. - Dziękuję, że pan przyszedł.

- Nie ma za co. - Westbrook zajął jedyne krzesło. - Zawsze do usług.

- Postaram się zająć panu jak najmniej czasu. - Walthrip zajął do księgi rachunkowej i zaczął wodzić palcem wzdłuż pierwszej kolumny, wreszcie zatrzymał się przy

jednym z wpisów. Popukał weń palcem i zamknął księgę.
 - Wystąpił pan wczoraj o podniesienie kwoty pańskiego kredytu przy stole gry. Przykro mi, ale nasz dom zdecydował, że zwiększenie tego limitu nie jest w obecnym czasie możliwe.

Westbrook wpatrywał się w niego z osłupieniem. Nie chodziło jedynie o despekt, jakim było odrzucenie jego prośby; wuj odmówił mu kolejnej zaliczki na poczet przyszłych dochodów i spadku, odcinając go od źródeł finansowania na najbliższe dwa miesiące.

- Co to, do licha, oznacza, że „dom” podjął nieprzychylną dla mnie decyzję? - zapytał. - Cegły, zaprawa murarska, dachówki? Proszę mi podać nazwisko, Walthrip! Proszę mi powiedzieć, kto nie uważa mnie za dżentelmena?

Poznaczona błękitnymi żyłkami dłoń Walthripa uniosła się w górę.

- To nie jest kwestia honoru. Nikt nie ośmielił się podać go w wątpliwość. Chodzi jedynie o pański rachunek i...

- To niesłychane! - Westbrook zerwał się na równe nogi i rąbnął pięścią w blat biurka tuż obok zamkniętej księgi rachunkowej. - Jestem dżentelmenem, baronem i członkiem tego klubu, i nie pozwolę traktować się z takim brakiem szacunku!

Natychmiast otwarły się drzwi za jego plecami i do pokoiku cicho weszło dwóch potężnych strażników.

- Wystarczy spłacić długi, milordzie - stwierdził Walthrip - a z prawdziwą radością powitamy pana ponownie przy stole.
 - Do diabła z waszym stołem! - Westbrook kopnął krzesło i przepchnął się pomiędzy strażnikami do wyjścia. Zawrócił w stronę schodów, rozglądając się za Prate-

tern z nieprzyjemnym poczuciem, że obaj strażnicy depczą mu po piętach.

Pratt nadał stał przy drzwiach, witając nowo przybyłych, jakby Westbrook nie doświadczył właśnie najbardziej haniebnego upokorzenia, jakie można sobie wyobrazić.

- Muszę pomówić z panną Penny, Pratt - wyszeptał z naciśniętym głosem. - Ten stary drań Walthrip wyprosił mnie właśnie od stołu i mam prawo wiedzieć dlaczego. Panna Penny nigdy nie potraktowałaby mnie w taki sposób!

Twarz Pratta wyglądała jak maska wyrzeźbiona z kości słoniowej.

- Pan Walthrip przekazał tylko decyzję domu, panie baronie. Panna Penny nie zmieni tego postanowienia. Pozwolę sobie zasugerować, by spróbował się pan uspokoić, zanim...

- Oczywiście, że panna Penny może wszystko załatwić - upierał się Westbrook. - Przecież to Penny House, prawda?

Stojący w pobliżu dżentelmeni obserwowali go z zaciekawieniem jak jakiegoś włóczęgę bez grosza przy duszy czy domokrażcę, który zaraz zostanie wyprowadzony przez strażników.

- Panna Penny może zrobić dla swych przyjaciół, co zechce - ciągnął podniesionym z podniecenia głosem. - A jest moja osobistą przyjaciółką.

Stanton pojawił się nie wiadomo skąd i wziął go pod ramię.

- Chodź, Westbrook, odprowadzę cię do domu.

- Nie wyjdę, dopóki nie zobaczę się z panną Penny - upierał się baron, próbując zrzucić rękę Stanton'a. - Zawołaj, niech zejdzie na dół i sam ją zapytaj. Ona ci powie. Zastanawia się nad zaproszeniem mnie do komitetu członkowskiego, nigdy

nie potraktowałyby mnie w taki sposób. Znam drogę do jej pokojów na górze, Pratt, i...

Ręce strażników łagodnie, lecz zdecydowanie spoczęły na ramionach Westbrooka i skierowały go w stronę drzwi, a pozostali dżentelmeni skwapliwie usuwali im się z drogi.

- Dobranoc, panie baronie - powiedział Pratt, ale za późno, by uzyskać odpowiedź.

Westbrook został doprowadzony do drzwi, sprowadzony po schodach na ulicę i było po wszystkim.

Rozdział czternasty

Guilford doszedł do wniosku, że nigdy przedtem nie widział równie zadowolonej kobiety. Oczy pod ciężkimi powiekami były zamglone od nadmiaru miłości i braku snu, a wargi obrzmiały od pocałunków. Skuliła się przy nim, wyciągnęła nogi w samych pończoszkach na kanapie karety i oparła dłoń na udzie Guilforda. Otoczył ręką jej ramiona.

Jego służba starannie wyprasowała suknię Amariah i upięła jej włosy w schludny kok z tyłu głowy, ale nawet ślepiec zauważyłby różnicę, jaka w niej zaszła od wczorajszego poranka. Chciała utrzymać ich związek w tajemnicy, jak długo się da, ale trzeba by cudu, żeby domownicy i bywalcy Penny House nie zauważyli natychmiast, że panna Amariah Penny wzięła sobie kochanka.

- Wiele bym dała, żeby dzisiejszy dzień nigdy się nie skończył - powiedziała cicho. - Tak bardzo cię kocham, Guilfordzie.

Westchnął ciężko, bo i on wolałby, żeby ta chwila trwała wiecznie.

- Gdyby jednak ten dzień miał się nie skończyć, nie mógł-

bym oczekiwać z niecierpliwością na ponowne spotkanie z tobą wieczorem.

- Chyba raczej rano - stwierdziła z żalem. - Zamykamy klub dopiero po wyjściu ostatniego z dżentelmenów.

- Zaczekam - obiecał. - Mam potężną motywację.

Czuł, jak zatrzęsała się od śmiechu. Kusiło go, by kochać się z nią jeszcze raz, w powozie.

- Może poproszę Pratta, by poprzestawiał zegary i ogłosił zamknięcie klubu trzy godziny wcześniej.

- Zrobiłabyś to? - Po ostatniej nocy gotów był uwierzyć, że jest zdolna niemal do wszystkiego.

- Nie. Chciałabym bardzo, ale sumienie mi nie pozwoli. Wydaje mi się, że słyszę głos ojca, robiącego mi wymówki, że nie byłam wczoraj w klubie.

- Jestem pewien, że Pratt poradziłby sobie ze wszystkim równie dobrze, jak ty.

- Pewnie nawet lepiej. - Pochyliła się, żeby wyrzeć przez okno, bo powóz zwolnił. - O nie! Jesteśmy na miejscu!

Złapała swój leżący na przeciwległym siedzeniu kapelusz i pośpiesznie wsunęła stopy w stojące na podłodze pantofle. Zdażyła nawet wygładzić spódnice, zanim lokaj otworzył drzwiczki. Guilford doskonale wiedział, ile dla niej znaczy Penny House, i bynajmniej nie cieszył się z takiej konkurencji. Jeszcze nigdy nie musiał walczyć o kobietę z rywalem zbudowanym z kamienia, zaprawy i kości do gry.

- Nie uciekaj jeszcze ode mnie - szepnął i posadził ją sobie na kolanach. - Jeszcze jedna prośba.

Z westchnieniem zadowolenia oparła się o niego i poczuł, że przynajmniej chwilowo zwyciężył.

- Co tylko zechcesz - oświadczyła z łobuzerskim uśmiechem. - Cokolwiek, Eliocie.

- Do diabła z Eliotem - szepnął jej wprost do ucha i wy-czuł, że natychmiast przeszły ją dreszcz. - Chcę, żebyś myślała o mnie bez przerwy, kiedy się rozstaniemy.

- Nawet ty nie mógłbyś mnie zmusić, żebym o tobie nie myślała - powiedziała i musnęła jego usta wargami. - Zrobisz dla mnie to samo?

- Kochanie. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował w taki sposób, o jakim marzyła, odkąd opuścili Grosvenor Square.

- Oto odpowiedź na pytanie.

Lokaj otworzył drzwi i próbował przybrać nieprzeniknioną minę, choć widział, jak Amariah pospieszenie zsunęła się z ko-lan Guilforda i chwyciła kapelusz.

- Do nocy, kochany - szepnęła bez tchu.

Pozwolił, by sama wbiegła po schodach, zgodnie z jej życzeniem, nie mógł jednak oprzeć się pokusie i wyjrzał przez okno. Widział, jak spódnica plątała jej się w biegu wokół kostek, a miedziane włosy lśniły w popołudniowym słońcu. Tuż przed drzwiami zatrzymała się i obejrzała. Nie pomachała mu ręką, nie uśmiechnęła się nawet, ale sam wyraz jej oczu stanowił najlepszy dowód, że już o nim myśli.

Lokaj otworzył drzwi i zniknęła w głębi Penny House.

Od czasu gdy Amariah przyjechała wraz z siostrami do Londynu, Penny House stał się centrum jej życia. Dlaczego więc wchodząc teraz do holu, odniosła dziwne wrażenie, jak-by wkraczała w obcy sobie świat?

- Dzień dobry, panno Penny! - zawołał Pratt, który wpadł do holu, by ją powitać. - Bardzo się cieszymy, że wróciła pani bezpiecznie do domu!

Uśmiechnęła się, nie rozumiejąc jego zachowania.

- Ciekawe. - Postanowiła odnaleźć tę kartkę i jeszcze raz się jej przyjrzeć, może nawet poradzić się Fewlera. - Domyślałam się, że baron Westbrook nie przyjął potulnie uwag Walthripa?

- Nie, proszę pani. - Pratt skrzywił się na samo wspomnienie. - Musiał zostać wyprowadzony z klubu pod eskortą.

Amariah potrząsnęła głową.

- Przykro mi to słyszeć, ale nie można tolerować nieodpowiedniego zachowania. Najprawdopodobniej dziś rano się opamięta i podejmie starania, by odzyskać dawne przywileje przy stole gry. Zwykle tak się dzieje w podobnych przypadkach.

Pratt się zawahał.

- Tym razem nie było jak zwykle. Domagał się rozmowy z panią, twierdził, że jest pani bliskim przyjacielem i że poczyniła pani pewne związane z nim plany. Nie przyjął do wiadomości, że jest pani... eee... niedysponowana, i za wszelką cenę chciał wdrzeć się na górę do pani prywatnych pokojów.

Do licha, jak mawia Guilford. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował klub i ona sama był gość, domagający się od niej specjalnych przywilejów.

- Czy ktoś to widział?

- Trudno było tego nie zauważyć. Pan baron był... nieokielznany.

- Chcesz powiedzieć, że był głośny i gotów do bójki?

Tym razem Pratt udzielił odpowiedzi bez wahania.

- Tak.

- Przynajmniej mamy wielu świadków. - Bębniła palcami w oparcie fotela. Powinna tu być i uspokoić barona, zanim stracił panowanie nad sobą i wystąpił ze skanda-

licznymi żądaniem. Szkoda jednak już się stała i Amariah nie miała wyboru. - Wszelkie przywileje barona zostaną zawieszane do czasu rozpatrzenia sytuacji na zebraniu komitetu członkowskiego. Pójdę od razu napisać do niego list, który zostanie mu niezwłocznie dostarczony. Trzeba zawiadomić odźwiernych, żeby pod żadnym pozorem nie wpuszczali Westbrooka.

Wstała, by pójść na górę, i już zaczęła układać w głowie list do Westbrooka.

- Przepraszam - powiedział Pratt. - Pan Fewler również pragnie zamienić z panią kilka słów.

Z westchnieniem ponownie opadła na fotel, a szef strażników niemal wbiegł do pokoju. Ciekawe, ile jeszcze osób czeka w holu, by „zamienić z nią kilka słów”?

- Witam, panno Penny - zaczął szorstko. - Najpierw muszę zapytać o stan pani obrażeń.

Wyciągnęła do niego rękę, żeby przekonał się na własne oczy.

- Wiem, wygląda okropnie i ciągle jeszcze boli przy dotyku, ale jest znaczna poprawa.

- Ciągły ból ustąpił? - zapytał surowo, przyglądając się ręce, jakby spodziewał się, że obrażenia powiększyły się, zamiast ustępować. - Nic nie ogranicza swobody pani ruchów?

- Nie zauważyłam trwałych ograniczeń.

- W takim razie dobrze, że mamy tylu świadków, mogących potwierdzić pani obrażenia przed sądem - stwierdził, niemal rozczarowany. - Będziemy ich potrzebowali, by wystąpić z oskarżeniem. Panno Penny, zdobyłem świeże informacje na temat napastnika.

- Naprawdę? - zapytała z podnieceniem. - Kto to jest, panno Fewler?

- Z uwagi na to, że już raz została pani zaatakowana, muszę nalegać...

- Gdy będę opuszczać Penny House sama, obojętnie, na piechotę czy też powozem, wówczas przyjmę obstawę - obiecała w przekonaniu, że to nader mało prawdopodobne. - Kiedy będę w towarzystwie, wśród przyjaciół, nic mi nie zgrozi.

Fewler sceptycznie pokręcił głową.

- Nie jestem pewien, czy to najlepsze rozwiązanie, panno Penny.

- Ale ja jestem pewna, panie Fewler.

Wstała, zdecydowana tym razem uciec na górę do swojego pokoju. W porównaniu z tą skomplikowaną rzeczywistością godziny spędzone z Guilfordem wydawały się jej pięknym, nierealnym snem. Obiecując, że będzie ciągle o nim myśleć, nie przypuszczała nawet, ile problemów zwali jej się natychmiast na głowę.

Co Guilford teraz robi? - zadała sobie w duchu pytanie. Mówił, że zamierza wrócić zaraz do łóżka, zakopać się w prześcieradłach, na których się kochali, i śnić o niej aż do spotkania. Wyobraziła go sobie nagiego, wyciągniętego na środku ogromnego łóża...

- Proszę o wybaczenie, panno Penny. - Służąca dygnęła i zarumieniła się z zakłopotania, że zatrzymuje ją w holu. - Posłaniec przyniósł to właśnie do kuchni i pani Todd kazała od razu zanieść do pani.

Trzymała na tacy złożoną gazetę, najświeższe wydanie „Tattle'a”. Amariah z zainteresowaniem zaczęła przeglądać pismo, szukając czegoś, co mogło wyjść spod pióra Guilforda.

Zamarła.

„Według najświeższych informacji jego wysokość lord G***f*d znalazł sobie nową zabaweczkę na ten sezon...”

- Zabaweczkę? - przeczytał głośno Stanton, unosząc brwi.
- Czy to nie przesada?

- „Tattle” określał ją już jako Czerwoną Królową - odparł Westbrook, zaglądając Stantonowi przez ramię, by samemu przeczytać. - Zresztą daliśmy wydawcy zaledwie kilka sugestii. Tekst wyszedł spod jego pióra.

- I to na niego rzuci się z furią Guilford, o to ci chodzi, prawda? - Stanton zniżył głos i rozejrzał się niepewnie po gospodzie, w której zatrzymali się na piwo podczas konnej przejażdżki. O tej porze było tu niewielu klientów, ostrożność jednak nie zawadzi. - Zrobi to niechybnie, jak tylko zobaczy ten tekst. „Jędzowata westalka” to już na pewno twoje określenie, Westbrook.

- Uznałem je za dość adekwatne - oświadczył baron z dumą. Nie przeboleał jeszcze upokorzenia po odsunięciu go od gry i wyproszeniu z Penny House jak jakiegoś nędznego domokrażcę. Gdyby panna Penny była rzeczywiście jego przyjaciółką, nie dopuściłaby do tego, żeby spotkało go coś podobnego! Udowodniła, że jest równie fałszywa, jak każda z dziwek pani Poynton, może nawet gorsza, bo nie miała odwagi, by powiedzieć mu to prosto w oczy. - Nic więcej nie musiałem mówić.

- Ciesz się, że nie powiedziałeś - rzekł Stanton. - Guilford już ma z tobą na pieńku. Ten drukarz skwapliwie wyda mu twoje nazwisko, a kiedy Guilford dowie się, że to ty...

- Ale to on pierwszy nazwał ją jędzą - zaprotestował Westbrook. - Własnoręcznie napisał to w księdze zakładów.

- Tak, ale potem wykreślił - przypomniał Stanton. - Między innymi stąd wiemy, że ta Penny naprawdę zawróciła mu

w głowie. Kiedy wspomniałem, że powinniśmy dać cynk wydawcy „Tattle'a”, miałem na myśli jedną czy dwie linijki, tak dla sportu, żeby wyrównać rachunki z Guilfordem. Nie przypuszczałem, że będziesz szargał imię tej kobiety po ryszotkach.

Westbrook starł kciukiem pianę, spływającą po ściance kufła. Wszyscy znajomi wiedzieli o jego hańbie, o tym, co się stało i z jakiego powodu. Nawet ta kobiecina, która nalewała mu piwa, patrzyła na niego z góry. Gdziekolwiek wszedł, był traktowany pogardliwie, a wszystko z winy Amariah Penny.

- Zasłużyła sobie na to po tym wszystkim, co mi zrobiła.

- Sam sobie to wszystko zrobiłeś, idioto! Zapłać to, co jesteś winien, a znowu będziesz miał tam prawo wstępu.

- Nie powinna była do tego dopuścić - powtórzył Westbrook z oślim uporem, wpatrując się w kufel. - Gdyby mnie naprawdę lubiła, nie dopuściłaby do tego, co się stało.

Stanton rzucił mu gazetę i sięgnął po szpicrutę i rękawiczki, by wyjść.

- Powinieneś raczej zastanowić się nad tym, jak zareaguje Guilford, kiedy przeczyta ten tekst.

- Zasłużyła sobie - mruknął Westbrook, choć Stanton zdążył już wyjść. - Zasłużyła sobie na znacznie więcej.

Guilford obserwował siostrę, która szła ku niemu przez salon jak uzbrojony po zęby wojak zmierzający po pewną wygraną. Przyjął jej zaproszenie na herbatę, ale planował zostać tu najwyżej godzinę, może nawet mniej, jeśli jej towarzystwo stanie się zbyt męczące. Był to sposób na zabicie czasu; zanim będzie mógł pójść do Penny House, do Amariah.

- Tak się cieszę, że zechciałeś do nas dołączyć - oznajmiła.
- Mam gości, którzy nie mogą doczekać się spotkania z tobą.

Ukradkiem zerknął na osoby zgromadzone w salonie siostry. „Goście, którzy nie mogą się doczekać spotkania” to były zazwyczaj panny na wydaniu wraz z towarzyszącymi im mamami, niemogącymi się doczekać, by wydać córki za parę. Jako swatka, Frances była wytrwała, ale nieudolna. Jeszcze zanim ujęła go pod ramię i zaprowadziła do siedziska przy oknie, domyślił się, kim jest najnowsza kandydatka.

- Guilfordzie, to lady Cornelia Stanley. - Frances dokonała prezentacji z ogromnym entuzjazmem. - Droga lady Cornelio, pozwoli pani przedstawić sobie mojego brata, księcia Guilforda?

Dziewczyna była przerażona. Patrzyła na niego w milczeniu, bo nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Rzeczywiście była ładniutką, trochę cukierkową urodą panną, ale równocześnie za młodą, zbyt łagodną i nieciekawą.

Zupełnie niepodobną do jego Amariah.

- Jest pan niezmiernie mądrym człowiekiem, Wasza Wysokość! - oświadczyła matka lady Cornellii.

Wszystkie trzy damy zaczęły chichotać, przy czym Frances promieniała z dumy, jakby Guilford był rasowym bykiem, który zdobył główną nagrodę na wystawie rolniczej.

Myślał o Amariah, o tym, że góruje nad tymi kobietami rozumem i urodą, więc przynajmniej mógł się uśmiechnąć, rozmawiając z nimi.

- Ja także lubię fajerwerki, Wasza Wysokość - szepnęła nieśmiało lady Cornelia, rozgniatając nerwowo paluchami biszkopt w okrytej rękawiczką dłoni.

- Może więc powinnam wyprawić przyjęcie z fajerwerkami nad rzeką. - Frances uśmiechała się tak szeroko, że jej oczy

zniknęły pod pucołowatymi policzkami. Wzięła Guilforda pod ramię. - Wybaczcie nam, proszę, na moment.

Odciągnęła brata na bok, poza zasięg słuchu dam.

- Czy to nie zachwycająca dziewczyna? - zapytała. - Widzę, że ci się podoba, ty zresztą też od razu wpadłeś jej w oko.

- Przestań, Fan - powiedział ze znużeniem. - Ta biedna dziewczynka może być najśłodszym dzieckiem na świecie, ale nie widzę w niej kandydatki na żonę.

Siostra uderzyła go złożonym wachlarzem.

- A to dlaczego? Widziałam, jak się do niej uśmiechasz.

- Myślałem o czym innym - wyjaśnił. - Z taką żoną jak ona zanudziłbym się na śmierć.

- Żona nie służy do rozrywki, Guilfordzie - oznajmiła Frances z lekkim rozdrażnieniem. - Żenisz się, żeby twój tytuł pozostał w rodzinie, by mieć dziedzica. Żony nie wybiera się po to, by rozproszyć nudę.

- Może ja powinienem - odparł i uniósł ramiona, jakby chciał strząsnąć z siebie siostrę. Ileż to już odbył takich rozmów, najpierw z matką, a teraz z Fan? - Może spróbuję zadowolić siebie, a nie ciebie. I wybrać taką żonę, która mnie się podoba.

Siostra wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Przestań mnie prowokować, Guilfordzie. Nie jesteś coraz młodszy. Możesz spaść z konia albo zapaść na śmiertelną chorobę i gdzie będzie wtedy sukcesor?

- Zapewne gdzieś indziej. Później będę się tym martwił.

Nagle nawiedziło go niezwykle plastyczne wspomnienie Amariah i wczorajszej nocy, kiedy leżała w jego ramionach i prześcigali się w zadawaniu sobie coraz bardziej skandalicznych zagadek, aż areszcie wybuchnął głośnym śmiechem. Z Amariah nigdy by się nie nudził, to pewne; nieśmiała la-

dy Cornelia i legiony takich jak ona, doskonale wychowanych młodych dam nie miały najmniejszej szansy dotrzymać kroku błyskotliwej pani Penny House.

- Znowu się uśmiechasz - zauważyła Frances podejrzliwie, przysuwając się bliżej. - O czym myślisz, Guilfordzie? Mam nadzieję, że nie o tej okropnej kreaturze, która jest twoją nową kochanką.

Zamarł.

- O czym mówisz, u licha, Fran?

- O tym, o czym wszyscy będą mówić - odrzekła i machnęła ręką z dramatyczną rezygnacją. - Sama nie wiem, dlaczego zawracam sobie głowę szukaniem dla ciebie przyzwoitej młodej damy na żonę, skoro upierasz się, żeby przestawać z kobietami najgorszej konduity.

- Fan, o co chodzi?

- O haniebne pogłoski, którym jako twoja siostra muszę stawić czoło. - Pomaszerowała do najbliższej półki i podała mu najwyraźniej już przeczytany egzemplarz „Tattle'a”. - Jestem zaskoczona, że lady Cornelia i jej matka raczyły przebywać z tobą w jednym pokoju po... tym!

- Dlaczego trzymasz w salonie takie śmieci, Fan? - zapytał.

- Ponieważ tylko w ten sposób mogę poznać twoje skandaliczne sprawki. - Rozłożyła gazetę i puknęła palcem w tekst. - Zerknij na to, braciszku. Tylko popatrz! „Nowa zabaweczka”, też coś!

- Oszalałaś, Fan. - Wyrwał jej gazetę i przeczytał.

„Według najświeższych informacji Jego Wysokość książę G***f**d znalazł sobie nową zabaweczkę na ten sezon. Podczas gdy przyzwoite damy zaciekle rywalizują na małżeńskim rynku o jego względy, książę ulokował swe serce (oraz inne,

mniej heroiczne części ciała) w łóżku powszechnie znanej jędzowatej westalki z St. James Street. Z wiarygodnych źródeł wiemy, że pomimo cechującej ją zwykle dystynkcji, skwapliwie i bez oporów rzuciła się w ramiona znanego galanta G***f**da i dzięki jego światłemu przewodnictwu poznała rzadko spotykane lubieżne rozkosze. Czy teraz, dobrze ujeżdżona i osiodłana Czerwona Królowa opuści swój posterunek w P***y House i zostanie kolejną potulną i posłuszną klaczką w stajni księcia?"

A niech to! Guilford przeczytał jeszcze raz, żeby mieć pewność, że furia nie zaćmiła mu wzroku.

A niech to diabli!

Rozdział piętnasty

Amariah stała w holu jak w wiele innych wieczorów. Uśmiechała się, pamiętała nazwiska, gratulowała tym, którym dopisało szczęście, jakby nic się nie zmieniło, jakby nie doznała hańby i upokorzenia.

Guilford prosił, by mu zaufała, i zrobiła to z własnej woli, z radością. Dała mu swe serce i ciało. I, co gorsza, duszę. A co on zrobił z jej darami? Zdeptał je, wyszydził, a potem wystawił sponiewierane na widok publiczny, na pośmiewisko ulicy, ku obrzydliwej uciesze gawiedzi.

Dla dobra Penny House i wszystkich, których los od niej zależał, Amariah postanowiła być silna. Zapomni o pieśczołach i rozkoszy. Będzie z wysoko podniesioną głową, wyniośle spoglądać na ciekawskich i złośliwców, a także na tych, którzy chcieliby pójść w ślady Guilforda. Będzie ignorować nieuniknione spekulacje i kpiny. Zmusi się nawet do uprzejmości, jeśli się kiedykolwiek spotkają, dla dobra klubu i by nie dawać pożywki plotkom. Jeśli będzie nieugięta i zdobędzie się na to, jeśli w przyszłości nie pozwoli sobie już nigdy na fałszywy krok, zdoła odzyskać dobrą reputację.

Ale jej serce pozostanie już chyba na zawsze złamane...

ło nowe bordeaux, które dopiero niedawno sprowadziliśmy.
- Starannie wymawiała każde słowo. - Inni dżentelmeni o bardzo wyrafinowanych podniebieniach twierdzą, że jest najwyższej jakości. Będę wdzięczna również za pańską opinię.

- Amariah, przestań, proszę. Nie rób mi tego, nie rób tego nam!

Za wszelką cenę próbowała zapomnieć, jak całowały te usta, jak obejmowały te ramiona. Wyczuwała, jak trudno było mu powstrzymać się od dotykania jej.

- O ile się nie mylę, to grupa dżentelmenów kompletuje w sali hazardu partyjkę wista - ciągnęła, mocno zaciskając w pakach wachlarz, by ukryć drżenie dłoni. - Z pewnością chętnie przyjmą Waszą Wysokość do swego grona, jeśli ma pan dziś ochotę na grę.

- Amariah, spójrz na mnie i powiedz mi w oczy, że wolałaś uwierzyć tym oszczerstwom niż moim słowom - wyszeptał z naciskiem. - Spójrz na mnie i powiedz, że już mnie nie kochasz.

Uczyniła to i gdyby potrafił odczytać jej prawdziwe uczucia, to na pewno zobaczyłby w jej oczach więcej, niż pragnął usłyszeć.

- Miło mi się gawędzi z Waszą Wysokością, niemniej jednak za panem stoją inni dżentelmeni, z którymi powinnam porozmawiać, więc proszę o wybaczenie.

- Do licha, Amariah, nie zgadzam się!

- Wasza Wysokość. - Tym razem w jej głosie zabrzmiał nieco piskliwy ton, nie zdołała również powstrzymać łez gniewu, przez które widziała jego twarz niewyraźnie. - Pan będzie łaskaw.

- Dobrze. - Cofnął się i skłonił przed nią dwornie. - Pójdę, ale to się tak nie skończy, Amariah. To się tak nie skończy!

Jeden z tych wspaniałych ekwipaży powinien należeć do niego, a na drzwiach widnieć herb Westbrooka. Powinien mieć pulchną, ładniutką, francuską utrzymankę w ustronnym mieszkanku w Chelsea, do której wpadałby od czasu do czasu, gdy przyszłaby mu na to ochota, a na grzbiecie nowe ubranie, a nie te zeszłoroczne łachy, i brylanty przy klamerkach u butów. Może nawet jeszcze jeden kamyczek w szpilce do krawata. I miałby kieszenie wypchane złotem, a Amariah Penny błagałaby, skomlałaby, żeby tylko zechciał zasiąść przy tym jej cholernym stole do gry.

Walnął pięścią w żelazną barierkę, klnąc na los. Wuj Jesse powinien umrzeć już teraz, żeby Westbrook dostał spadek, kiedy jeszcze był w stanie się nim cieszyć!

- Hej, milordzie - rozległ się młody głos z szeregu oczekujących powozów. - Co pan powie na partyjkę?

Gwizdy i śmiechy rozległy się wzdłuż całej ulicy, dołączali następni stangreci i lokaje, a nawet mali ulicznicy. Rozwścieczony Westbrook obrócił się na pięcie z pięścią uniesioną do ciosu, ale nikogo za nim nie było. Jeśli kpiarz w ogóle pokazał twarz, to teraz zniknął, więc Westbrook zaklął ponownie, wzruszył ramionami i ruszył znowu ku Penny House.

Stanton chciał się założyć, że Westbrook nie zdoła dziś nad sobą zapanować. Stawiał dwadzieścia gwinei i barona kusiło, by przyjąć zakład. Garść złotych gwinei wygranych od Stantonna bardzo by mu się przydała. Znajdował się dziś jednak w takim nastroju, że nie mógł być pewien wygranej, tym bardziej że na każdym kroku spotykał się z prowokacjami. Zresztą nie miał dwudziestu gwinei.

Światło latarni umieszczonych po obu stronach wejścia do klubu padało na chodnik, jakby zapraszało go, by wszedł do

środku i dołączył do innych. Nie pamiętał, by kiedykolwiek widział tylu dżentelmenów pod drzwiami, tłoczyli się jak przed premierą w teatrze. Miał głęboką nadzieję, że ta skandaliczna historyjka o Amariah i Guilfordzie w dzisiejszym numerze „Tattle'a” zrujnuje Penny House, ale na razie do tego nie doszło.

Zatrzymał się w mroku i wygładził wyłogi surduta, czekając, aż przy drzwiach zrobi się miejsce. Tego wieczoru przyszedł sam, miał już dość towarzystwa Stantona jak na jeden dzień, a nie chciał wtopić się w większe towarzystwo. Zamierzał zrobić efektowne wejście, ponieważ planował odzyskać fortunę.

To dobry plan, z dużą szansą powodzenia. Jeśli tego wieczoru panna Penny będzie na swoim posterunku, powie jej, jak bardzo był dotknięty wczorajszym traktowaniem. Wyłumaczy jej dokładnie, ile szkód spowodowało to w jego życiu, poprosi, żeby go pożałowała i kazała Walthripowi podnieść wysokość jego kredytu i pozwolić mu znów zasiąść do gry.

Grupa oficerów weszła po schodach, za nimi było pusto. Westbrook dostrzegł swoją szansę i szybko wbiegł po białych, kamiennych schodach do wejścia, po obu stronach którego stali dwaj strażnicy w błękitnych liberiach Penny House.

- Przepraszam - zawołał jeden z nich, gdy już miał ich minąć. - Pan jest baronem Westbrookiem, prawda?

- Tak, rzeczywiście. - Westbrook wyprostował się i stanął o stopień wyżej od strażnika, by zniwelować różnicę wzrostu. Było mu miło, nawet bardzo miło, że został rozpoznany, że pamiętano jego nazwisko. - Jestem baronem Westbrookiem.

Może panna Penny zmieniła zdanie? Może postanowiła zapomnieć o przeszłości i zaprosić go znowu do stołu gry, gdzie jego miejsce?

- Czy przeczytał pan list, który panna Penny wysłała dziś do pana? - zapytał strażnik.

- Napisała do mnie? - To mu pochlebiało: prywatny list od panny Penny. Żałował, że go nie widział. Pod jego drzwiami leżała wielka sterta poczty, ale nie raczył do niej zajrzeć w przekonaniu, że to tylko rachunki.

- Tak, panie baronie. - Drugi strażnik stanął obok kolegi. Razem tworzyli błękitno-srebrny blok skutecznie tarasujący drogę. —W liście wszystko panu wyjaśniła.

- Naprawdę? - zapytał radośnie. - Cóż, ponieważ nie przeczytałem listu, powinienem wejść do środka i zapytać ją o to osobiście.

- Nie, panie baronie. - Strażnicy wymienili spojrzenia. - Panna Penny powiadomiła pana w liście, że komitet członkowski rozważy na najbliższym posiedzeniu pańskie członkostwo w klubie, a do tego czasu nie jest pan mile widziany w Penny House.

- Nie będę mile widziany? - powtórzył osłupiały Westbrook. - Co to ma, u licha, znaczyć? Jestem jednym z członków-założycieli tego cholernego klubu i mam prawo tu wchodzić, kiedy mi przyjdzie ochota!

- Przykro mi, ale otrzymaliśmy polecenie nie wpuszczać pana do środka pod żadnym pozorem - oświadczył strażnik.

- Przynajmniej dzisiaj. Będzie pan łaskaw przesunąć się na bok, by inni mogli wejść.

- Gdybym tylko mógł spotkać się z panną Penny...

- Panna Penny jest niedostępna. A teraz, jeśli pan baron pozwoli...

- Do diabła z wami! - wrzasnął Westbrook z wściekłością.

- Do diabła z wami wszystkimi!

Określił się na pięcie i wybiegł, roztrzając innych, bardziej

szczęśliwych bywalców, którzy czekali na schodach, by zrobić im przejście.

Tym razem ta przekłeta, rudowłosa dziwka posunęła się za daleko. Nie dość, że napiętnowała go jako pozbawionego honoru nędzarza, jako dżentelmena niezdolnego do pokrycia zobowiązań finansowych! Teraz postanowiła go wygnać z klubu, odseparować od przyjaciół, znajomych, ludzi z jego sfery. Zrobiła z niego wyrzutka, niegodnego towarzystwa ludzi szlachetnie urodzonych i za to będzie musiała zapłacić. Pozbawiła go tego, co mu się słusznie należało. Czas, żeby dostała to, co jej się należy.

Tak, już on się o to postara. Nawet gdyby miał na to wydać ostatni grosz. Ruszył w noc z uśmiechem na ustach.

Amariah szła przez dopiero co opustoszałe pokoje, a Pratt deptał jej po piętach, niosąc klucze. Codziennie robiła taki obchód, zanim dom został zamknięty, a światła pogaszone, nim wreszcie mogła położyć się spać. Rzadko zdarzało się, by coś było nie w porządku, żeby czegokolwiek brakowało. Personel pracował sumiennie i znał swoje obowiązki. A jednak nawet dzisiaj przemierzała, jak co dzień, pokój po pokoju, niczym matka, która szykuje dzieci do snu.

Kiedy jednak weszła do ostatniego pokoju, do głównego salonu, ktoś zastukał do drzwi frontowych tak głośno, że drgnęła, ale potem roześmiała się ze znużeniem.

- Zobacz kto to, Pratt - poprosiła i zarządca wyjrzał na ulicę przez jedno z bocznych okien. - To ktoś znajomy?

- Tak, panno Penny - przyznał z ociąganiem. - To księżę Guilford.

Wciągnęła w płuca powietrze, zatrzymała je, po czym wypuściła z głośnym westchnieniem. Pratt czekał na jej decyzję,

jego biała peruka i twarz w świetle wiszącej przed drzwiami ulicznej latarni wydawały się prawie niebieskie.

- Wpuść go - poleciła spokojnie.

- fest pani pewna, panno Penny? - zapytał Pratt, tak bardzo przejęty troską o nią, że posunął się do zakwestionowania polecenia.

- Jestem pewna - odparła, ujęta jego oddaniem. - Dziękuję, Pratt.

- Jak pani sobie życzy - odrzekł i otworzył drzwi.

Wbrew jej oczekiwaniu Guilford nie wpadł do środka niczym burza, a wszedł jak zwykle, nonszalanckim krokiem, jakby nie miał wątpliwości, jakie go czeka przyjęcie. W jej odczuciu taka pewność siebie była w zaistniałej sytuacji co najmniej nie na miejscu.

- Dobry wieczór, Pratt - powiedział, podając zarządcy kapelusz. - Choć chyba należałoby powiedzieć: dzień dobry.

- Tak, Wasza Wysokość. - Pratt najwyraźniej nie wiedział, jak ma się zachować. - Mogę panu w czymś pomóc, książę?

- Tylko jedna osoba mogłaby mi pomóc - odparł Guilford.
- Panna Penny.

- Mówiłeś wcześniej, że jeszcze nie załatwiliśmy wszystkiego między sobą, Guilfordzie, i chyba miałeś rację - stwierdziła Amariah, wyłaniając się z mroku. Szok, jakiego doznała poprzednio na jego widok, minał, pozostały natomiast gniew i ból. - Wejdz, proszę, powiemy sobie to, co musi zostać powiedziane. Możesz już iść na górę, Pratt.

- Dziękuję, panno Penny, ale pójdę jeszcze do kuchni, żeby coś zjeść przed snem. Może mnie pani zawołać, gdybym był potrzebny.

- Nie wiedziałem, że z Pratta taki wierny obrońca - zauwa-

żył Guilford, gdy umilkło echo kroków zarządcy na kuchennych schodach.

- Ktoś musi nade mną czuwać. - Przesunęła się na bok, by wpuścić go do pokoju. Nie zapaliła świec, by nie zachęcać go do pozostania dłużej niż to absolutnie konieczne, jedynne oświetlenie stanowiła więc niebieskawa poświata z latarni przed wejściem i słaby blask latarni ulicznych. - Po przeczytaniu dzisiejszego „Tattle'a” Pratt ci nie ufa.

- Trudno mu się dziwić. - Guilford nie usiadł, stał oparty o stół na środku pokoju i patrzył na nią. Niesamowita poświata uwypukliła niektóre partie jego twarzy, inne kryjąc w głębokim mroku, ostro zarysowały się kości policzkowe i szczęka, nie sposób było jednak dostrzec emocji malujących się w oczach. - A ty, Amariah? Nadal mi ufasz?

- Nie powinnam. - Stała przy drzwiach, obejmując się ramionami. - A jednak cię tu wpuściłam.

- Powiedziałem ci przecież, że to jeszcze nie koniec - rzekł ciepłym, niskim głosem kochanka. - A tak między nami, kochanie, nie potrafię wyobrazić sobie zerwania bez porządnej, głośnej awantury.

Uśmiechnęła się, zastanawiając się, czy to jedno z jego wyzwania, czy też nie.

- Tego ode mnie oczekujesz? Mam wrzeszczeć i skoczyć ci z pazurami do oczu?

- Co najmniej - odparł z lekkim uśmiechem. - Na razie nie mamy świadków, Amariah. Nikt nie może ci zarzucić słabości albo oskarżyć mnie, że cię zastraszyłem. Jak widzisz, wiem, w jaki sposób pani Penny House podchodzi do takich problemów.

- Ja też myślałam, że cię znam, Guilfordzie. - Nawet nie próbowała ukryć gniewu i niechęci.

- W głębi serca mnie znasz. Nie napisałem tych rzeczy o tobie, Amariah. Nie mogłem ich napisać nie tylko dlatego, że są podłe i nieuczciwe wobec ciebie, ale również z powodu braku czasu.

- Nie napisały się same.

- Ale nie mogły wyjść spod mojej ręki - obstawał przy swoim. - Kiedy miałbym je napisać, kochanie? Pomiedzy wydaniem poprzedniego numeru a ukazaniem się tego przez cały czas byłem z tobą.

- Nie mów do mnie: kochanie - mruknęła, rozważając już jednak jego słowa. Była tak wstrząśnięta i rozgniewana, że nie zastanowiła się nawet, iż przez cały czas byli razem, nie wzięła także pod uwagę, ile osób mogło źle życzyć jej bądź jemu i napisać ten odrażający tekst.

- Czy kiedykolwiek słyszałaś, bym wyrażał się o tobie czy jakiegokolwiek innej kobiecie w taki sposób? - ciągnął. - Dlaczego miałbym teraz zaczynać?

- Ty mi to powiedz, Guilfordzie. - Nie chciała przyznać, że jego słowa miały sens, mało tego, były najprawdopodobniej prawdziwe.

- Weź pod uwagę, że przyjechałaś do mojego domu bez uprzedzenia - kontynuował. - Oczywiście sprawiłaś mi tym ogromną przyjemność, niemniej jednak kompletnie się ciebie nie spodziewałem.

- Mogłeś przewidzieć, że przyjadę. Mogłeś napisać to na zapas.

- Jasne - mruknął. - Mogłem. Nie mam jednak daru przewidywania przyszłości.

- Mówię serio, Guilfordzie.

- Ja także. - Ton jego głosu potwierdzał słowa. - Nie ma dla mnie nic poważniejszego niż perspektywa utraty ciebie.

Powoli ruszyła ku niemu; stukanie jej obcasików o kamienną, ułożoną w szachownicę podłogę, rozlegało się echem w pustym pokoju. Zatrzymała się od niego na wyciągnięcie ręki. Uśmiechnęła się, a wówczas obu rękami pchnęła go w pierś z całej siły.

- A niech cię, Guilfordzie! Ja również nie chcę cię stracić!
- wykrzyknęła, wyraźnie sfrustrowana. - Już myślałam, że cię straciłam, a jednak nie mogłam przestać o tobie myśleć. Nakazywałam sobie nieustannie złamanie danej ci obietnicy, ale nie mogłam. Nie byłam w stanie!

- Ani ja. - Na jego twarzy pojawił się niepewny uśmiech. Z wahaniem wyciągnął do niej rękę. - Już poprzednio prosiłem cię, byś mi zaufała i, o ile pamiętam, oboje bardzo dobrze na tym wyszliśmy.

Spojrzała na jego dłoń i pomyślała, ile Guilford jej tym prostym gestem ofiarowuje i ile sama będzie musiała mu dać, jeśli tę rękę przyjmie.

- Prosisz, bym ci znów zaufała?

- Błagam o to - odparł. - Nie mam wyboru, skoro tak bardzo cię kocham.

- Nie bardziej niż ja. - Wreszcie zdecydowała się podać mu dłoń. - Och, Guilfordzie, dlaczego to musi być takie trudne?

- Nic wartościowego nie przychodzi łatwo.

- Naprawdę do siebie należymy, prawda?

Przyciągnął ją do siebie, znajome ramiona otoczyły jej talię.

Pochyliła się do przodu, by przypieczętować zgodę pocałunkiem, który Guilford natychmiast przyjął. Wsunęła palce w jego włosy i całkowicie zatraciła się w tym pocałunku. Guilford objął jej biodra i posadził ją na brzegu stołu, nie przerywając pocałunku. Całował ją zachłannie, szaleńczo, nieprzytomnie... Uwielbiała to i uwielbiała narastające w nich wzajemne pożądanie.

Uniósł jej spódnicę powyżej kolan, a ona natychmiast rozchyliła nogi, by się pomiędzy nie wsunąć. Już ciężko dyszała z pożądania, więc drżącymi z niecierpliwości palcami zaczęła rozpinąć jego spodnie. Podciągnął jej suknię jeszcze wyżej, aż do bioder i dotknął jej: była już wilgotna i gotowa. W następnym momencie był już w niej, głęboko, a wówczas objęła go w pasie nogami. Zaczęli poruszać się razem, złączeni szaleńczą namiętnością i wspólnym pragnieniem dotarcia do raju, którego o mało nie utracili.

- Jesteś taki rozpustny, Guilfordzie - szeptała nieprzytomnie, wpijając palce w jego ramiona. - Taki wyuzdany. I taki dobry, i tak cię kocham, i...

- Amariah?

Zachłusnęła się powietrzem z przerażenia i otworzyła oczy. Spojrzała ponad ramieniem Guilforda. Jak to możliwe? Wystarczył jeden rzut oka, by nawet w półmroku rozpoznała swoje siostry, Bethany i Cassię wraz z mężami, Richardem i Williamem, w strojach podróжных.

Jęknęła ze wstydu, uwolniła się od Guilforda i opuściła spódnicę, a on, podtrzymując spodnie, rozłożył poję surduta, by ją choć trochę osłonić. Kiedy zeskoczyła ze stołu, jej majtki z głośnym pacnięciem opadły na podłogę. Guilford pospiesznie kończył zapinać spodnie. Wzięła go za rękę i odwróciła się, by spojrzeć w twarz swej rodziny.

Wielkie nieba, co można powiedzieć w takiej sytuacji?

Richard wiedział. Zostawił Cassię i zdecydowanym krokiem podszedł do nich.

- Co ty wyprawiasz, Guilfordzie? - zapytał, zaciskając pięści, by przyłożyć księciu w szczękę. - Zostaw Amariah w tej chwili, ty skończony bydlaku!

- Nie! - krzyknęła Amariah i stanęła pomiędzy Guilfordem

a Richardem. - To nie jest tak, jak ci się zdaje, Richardzie! Proszę! Ja go kocham. Kocham!

Guilford odsunął ją na bok.

- Sam to załatwię, Amariah - wycedził. Rzucił się na Richarda i chwycił go za ramiona. Mocowali się ze sobą w milczeniu.

- Nie, Guilfordzie, nic nie załatwisz! - Złapała go z tyłu za surdut, rozpaczliwie próbując go odciągnąć. - Nie będziecie się bili z mojego powodu!

- Richardzie! - pisnęła Cassia i podskoczyła ku nim z zadziwiającą prędkością, jeśli wziąć pod uwagę jej stan. Złapała męża za rękę. - Natychmiast przestań, Richardzie! W tej chwili. Pozwól Amariah wytłumaczyć.

- Dość tego - rozkazał z niepokojącym spokojem mąż Bethany, William, najwyższy spośród trzech mężczyzn, wojskowy w stanie spoczynku, który podczas ostatniej wojny służył w armii w randze majora. Stał pomiędzy nimi, by ich rozdzielić. - Obaj wiecie, że to niczego nie załatwi.

Richard i Guilford niechętnie rozdzielili się i mierzyli wzrokiem, ciężko dysząc. Amariah znów wzięła Guilforda za rękę, odetchnęła głęboko i ponownie spojrzała w twarz siostrze i ich mężom.

- Wszyscy znacie Jego Wysokość księcia - powiedziała z wymuszonym uśmiechem. - Bardzo... zbliżyliśmy się do siebie po waszym wyjeździe z Londynu.

- Zbliżyliście się? - powtórzył Richard z niedowierzaniem.
- Do licha, jeśli na tym polega to zbliżenie, to ja...

- Cicho, Richardzie - rozkazała Cassia. - Pozwól Amariah wytłumaczyć.

- Tak, ja też chciałabym usłyszeć, co Amariah ma do powiedzenia - włączyła się Bethany.

Amariah sama chciałyby wiedzieć, co ma im powiedzieć. Młodsze siostry zawsze brały z niej przykład i przychodziły do niej z wszystkimi pytaniami i problemami jak do matki. Teraz dała im najgorszy przykład, pozwoliła przyłapać się z kochankiem.

Wreszcie to jej drogi, kochany Guilford zabrał głos, obejmując ją opiekuńczym gestem.

- Kocham Amariah z całego serca - oznajmił. Tego typu deklaracje mężczyźni rzadko składają w obecności osób trzecich. - Mam nadzieję, że ona odwzajemnia to uczucie.

Bethany złożyła dłonie, a jej okrągła buzia rozjaśniła się z radości.

- Będziemy mieć kolejne wesele w Penny House!

- Nie tak szybko, Bethany - przerwała jej pospiesznie Amariah. Nie miała odwagi spojrzeć na Guilforda.

- To nieprawda. - Głos Richarda był zachrypnięty z gniewu.

- Zrobiłeś z niej swoją kochankę, nie obiecując jej nic bardziej trwałego od tego, co przed chwilą oglądaliśmy.

- Nic podobnego, Richardzie! - zawołała Amariah, rozpaczliwie zastanawiając się, w jaki sposób im to wytłumaczyć.

- To nie tak.

- Nie przy pani, Blackley - zażądał Guilford ostrym tonem.

- Nie masz prawa mówić o niej w taki sposób, o mnie także nie.

Cassia podeszła i położyła rękę na ramieniu siostry.

- Chodź ze mną i z Bethany, Amariah - powiedziała delikatnie. - Zostawmy panów samych, niech rozstrzygną to między sobą.

- Nie ma potrzeby - zapewniła Amariah i dumnie uniosła głowę, czując, jak Guilford mocniej ścisną jej palce dla dodania odwagi. - Chcę usłyszeć, co Richard i William mają Guilfordowi do powiedzenia.

- Przykro mi, ale muszę to powiedzieć - stwierdził Richard.
- Szkoda, że upierasz się, by przy tym być.

Cassia wstrzymała oddech.

- Proszę, Richardzie, nie teraz, kiedy... nie w ten sposób... nie...

- To jej decyzja, Cassio - oświadczył. - Lepiej dla niej, by już teraz dowiedziała się, jakiego człowieka sobie wybrała.

- Co to ma znaczyć, Blackley? - warknął Guilford.

- To znaczy, że cały Londyn mówi o twoim zakładzie, którego przedmiotem była Amariah - odparł Richard ostro. - Założyłeś się z przyjacielem, że przed upływem dwóch tygodni zdołasz ją uwieść. Niestety, najwyraźniej wygrałeś, ty podły draniu!

Amariah wydawało się, że cała krew odpłynęła jej z serca, ogarnął ją nagły chłód. Odwróciła się w stronę Guilforda.

Bądź silna, bądź silna niezależnie od tego, co się zaraz wydarzy. Bądź silna, by stawić temu czoło i podjąć właściwą decyzję...

- To prawda? - zapytała, szukając w jego twarzy odpowiedzi. - Rzeczywiście zrobiłeś taki zakład?

Patrzył w dół, na ich splecione dłonie i Amariah znała odpowiedź, zanim się odezwał.

- Prosiłem cię poprzednio, byś mi zaufała, i proszę cię o to znowu. Zakład...

- Zrobiłeś - powiedziała cicho, zbyt odrętwiała, by podnieść głos. Wyczuła, że siostry podeszły i stanęły przy niej. Położyły ręce na jej ramionach, by ją podtrzymać, w razie gdyby rysująca się przed nią mroczna, pozbawiona miłości przyszłość okazała się ponad jej siły. - Założyłeś się o mnie. Naprawdę sądziłeś, że nigdy się o tym nie dowiem?

- Rzeczywiście zrobiłem ten zakład, Amariah - przyznał.
- Ale to było, zanim...
- Idź - powiedziała, odwracając się od niego. - Idź i tym razem już nie wracaj.



Rozdział siedemnasty

Guilford nie potrafił wyobrazić sobie życia bez Amariah, a przez własną głupotę ją stracił; jedyną kobietę, którą prawdziwie pokochał.

Uderzył pięścią w bok karety tak mocno, że zabolalo, ale nie pomogło mu to zapomnieć o tym, co zrobił. Był kompletnym idiotą, półgłówkiem. Ten zakład wydawał mu się teraz odległy o tysiąc lat, to było, zanim pokochał Amariah, nim go zmieniała.

Powinien był powiedzieć jej o zakładzie ze Stantonem, przedstawić to jako głupi żart, którego bardzo żałuje i za który szczerze przeprasza. W pierwszej chwili byłaby oburzona, ale wybaczyłaby mu, może nawet uśmiełaby się, gdyby przedstawił jej fakty w odpowiednim świetle. A tymczasem dowiedziała się o wszystkim w najgorszy z możliwych sposobów, w najpaskudniejszych okolicznościach i od najbardziej nieodpowiedniej osoby. Choć Blackley, oczywiście, miał rację; Guilford rzeczywiście zasługiwał na miano podłego drania.

Niespokojnie wiercił się na miękkich poduchach karety, już teraz tęsknił za Amariah, nawet nie wiedział, że można

tak bardzo tęsknić. Została mu w ręku tylko jedna karta, jedna jedyna szansa na to, by mu wybaczyła, a i to niepewna.

Powóz się zatrzymał. Okna siedziby „Tattle'a” były ciemne, ale Guilford się tym nie przejął. To nie była wizyta towarzyska.

Jego lokaj załomotał do drzwi tak głośno, że w sąsiednich domach pootwierały się okna i rozszczękały zaspane psy, zanim Dalton, w zsuwającej mu się na czoło szlafmicy, wreszcie otworzył drzwi.

- Za kogo ty się, do cholery, uważasz...? - zaczął, ale lokaj mu przerwał.

- Jego Wysokość księżę pragnie z panem mówić - oznajmił i pchnął drzwi, by otworzyć je na całą szerokość przed Guilfordem.

- Tak, Dalton, chcę z tobą pomówić - stwierdził Guilford, wchodząc do środka. - Wprost nie mogę się doczekać, by usłyszeć, co masz mi do powiedzenia.

- Wasza Wysokość, dobry... eee... dzień dobry. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Cholernie dobrze wiesz, dlaczego przyszedłem. Ten paszkwil o pannie Penny z ostatniego numeru... kto ci to podrzucił?

- Nie ujawniam źródeł informacji, Wasza Wysokość.

- Do diabła z twoimi zasadami! - Guilford uderzył pięścią w stół, zrzucając na podłogę papiery i kasety z czcionkami. - Jeśli mi powiesz, kto ci naopowiadał takich łgarstw, to może zostaniesz w redakcji. W przeciwnym razie dopilnuję, by do południa ta szcurza nora została zamknięta.

- Z jakiego powodu? Nie może pan bez powodu zamknąć mojej firmy!

- Już konstabl znajdzie jakiś pretekst. Ty i ja będziemy wie-

dzieli, że to dlatego, iż postanowiłeś wziąć na siebie winę za oszkalowanie jednej z najwspanialszych kobiet w Londynie.

- To był baron Westbrook, Wasza Wysokość - poddał się Dalton.

- Westbrook? - powtórzył Guilford z niedowierzaniem. - Dlaczego Westbrook miałby do ciebie przyjść?

- Tego nie wiem, Wasza Wysokość. Przyszedł tu z innym dżentelmenem, lordem Stantonem, ale tylko baron Westbrook opowiadał mi o pańskich... eee... stosunkach z panną Penny.

- Kłamstwa - warknął Guilford.

- Teraz to zrozumiałem. - Dalton energicznie kiwnął głową. - Wydawało się, że baron jest doskonale zaznajomiony z tą damą i jej... eee.... sytuacją, więc uznałem jego opowieść za wiarygodną. Dawał do zrozumienia, że byli nie tylko znajomymi, jeśli Wasza Wysokość rozumie, co mam na myśli.

- Westbrook?! - O ile wiedział, to nigdy nie łączono nazwiska Westbrooka z żadną kobietą, a już szczególnie z Amariah Penny. Oczywiście Guilford zdawał sobie sprawę, że baron byłby zdolny do takiej podłości, uważał go za podstępnego bufona, nie potrafił jednak wyobrazić sobie powodu, dla którego miałby zadać sobie tyle trudu, by zniszczyć reputację Amariah. - Westbrook to powiedział?

- Tak, tak! - Dalton zsunął z czoła szlafmycę, odstawiając brwi. - Jak inaczej mógłbym się dowiedzieć? Ale teraz nie zostało już śladu po ich miłości, to jasne jak słońce. Używał znacznie gorszych określeń od tych, które ja zamieściłem w druku. Mogę przysiąc. Ten drugi dżentelmen próbował go mitygować, ale baron Westbrook nie dał sobie zamknąć ust.

- A ty, oczywiście, musiałeś to wydrukować - zauważył Guilford.

Dalton pochylił głowę, starając się wyglądać na skruszonego.

- Dżentelmen wydawał mi się wiarygodny, Wasza Wysockość.

Guilford potrząsnął głową z niesmakiem. Trudno było wymyślić mniej wiarygodną parę niż Stanton i Westbrook. Teraz będzie musiał sprostować ich łągarstwa i naprawić stosunki z Amariah.

- Przynieś mi pióro i papier - polecił Daltonowi. - Zaraz napiszę prawdziwe wyjaśnienia i jeśli chcesz zachować swój interes, to je wydrukujesz.

Nie pozostawało mu nic innego, jak liczyć na to, że Amariah to przeczyta i będzie w stanie zaufać mu jeszcze raz.

Amariah wpatrywała się w filiżankę herbaty i słuchała rad siostr. Siedziały przy długim dębowym stole w kuchni, przy którym najczęściej się spotykały. W tej chwili Amariah czuła się tu wyjątkowo niezręcznie i nieswojo.

- Bardzo łatwo jest mówić o miłości - powiedziała Cassia - ale musisz pomyśleć o przyszłości. Sama mi to kiedyś powtarzałaś. A jeśli już zaszłaś w ciążę? Chyba zdajesz sobie sprawę, że to nie jest wykluczone.

- Guilford na pewno nie uchylałby się od odpowiedzialności za swoje dziecko - oświadczyła Amariah. - Nie muszę się o to martwić.

- A o siebie? - zapytała Bethany, nakrywając dłonią rękę siostry. - Co z jego odpowiedzialnością wobec ciebie? Jeśli tak cię kocha, jak twierdzi, to nie widzę powodu, dlaczego nie miałby...

- Jest księciem Guilford, a ja tylko Amariah Penny z Penny House. Wiedziałam o tym, idąc z nim do łóżka. To arysto-

krata, a ja pochodzę z pospólstwa, więc nie ożeni się ze mną. Wcale tego od niego nie oczekuję.

- Dlaczego nie? - upierała się Cassia. - Miałby szczęście, gdyby zdobył taką żonę.

- Czy on ci to kiedykolwiek powiedział? Że nie jesteś go godna? - zapytała Bethany.

Amariah pokręciła głową.

- Nie musiał. Każdy wieczór spędzam w towarzystwie dżentelmenów z wyższych sfer i wiem, jak bardzo są czuli na punkcie swoich tytułów i błękitnej krwi.

- A Guilford nie?

- Nie, ale to nie oznacza...

- Oznacza - orzekła Bethany. - Każdy człowiek jest inny. Spójrz na Williama. Jego ojciec to earl Beckham, a jednak William obawiał się, że uznam go za niegodnego mojej ręki.

- Ale to William, nie Guilford. - Amariah odsunęła krzesło i wstała. - Zresztą nie warto się nad tym zastanawiać, bo odprawiłam go na zawsze.

Bethany również podniosła się z krzesła, pozbierała filiżanki po herbacie i wytarła stół.

- Widziałam, jak on na ciebie patrzył. On cię kocha, a ty jego kochasz. Nie odszedł na zawsze. Wróci do ciebie.

Amariah uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Problem polega na tym, czy potrafiłabym mu jeszcze zaufać na tyle, by pragnąć jego powrotu. Nie na tym, czy go kocham.

- Jeśli go kochasz, to mu zaufasz - oświadczyła Cassia i wstała nieco ociężale, kładąc rękę na krzyżu. Ziewnęła. - Kochane, muszę iść do łóżka. Przyzwyczaiałam się do wiejskiego trybu życia, odwykłam od godzin aktywności, obowiązujących w Penny House.

Bethany przewiesiła ścierkę przez drażek.

- Ja też pójdę na górę, zanim William zacznie mnie szukać.

Amariah się odwróciła.

- Dlaczego przyjechaliście?

Uśmiechnięta Cassia wyjaśniła:

- Na wezwanie Pratta. Napisał do Richarda i do mnie, że wyraźnie zabroniłaś mu ponownie wzywać lekarza i konstabla, ale nic nie wspomniałaś o siostrach.

- A my zatrzymaliśmy się w Greenwood po drodze do Londynu - dodała Bethany. - To czysty zbieg okoliczności, że znaleźliśmy się tam, kiedy przyszedł list Pratta.

- Albo palec opatrności. - Amariah pocałowała obie siostry na dobranoc. - Cieszę się, że tu jesteście. Jest prawie tak jak dawniej.

- Będzie zupełnie jak dawniej, kiedy zastaniesz mnie rano w kuchni - powiedziała Bethany. - Nie guzdraj się tu zbyt długo.

- Nie będę - obiecała i zmusiła się do uśmiechu, odprowadzając wzrokiem wchodzące na górę siostry. Nic dziwnego, że spieszyły się do sypialni, skoro czekali tam na nie mężowie, podczas gdy ona mogła liczyć tylko na własne towarzystwo, a jej ciało nadal cierpiało ból niespełnienia.

- Och, Guilfordzie - szepnęła żałośnie, przysuwając krzesła do stołu. - Co ja zrobiłam? Co my zrobiliśmy?

Sprawdziła zamek przy kuchennych drzwiach i spojrzała na skrawek ciemnego nieba, widoczny ponad dachami i kominami pobliskich domów. Księżyc niemal w pełni wisiał na niebie jak błyszcząca srebrna moneta. Pod wpływem impulsu otworzyła drzwi, by go lepiej zobaczyć. Przypominała sobie stare podanie o tym, że księżyc w pełni sprzyja kochankom;

może gdyby księżycowa poświata ją obmyła, to ona i Guilford mogliby liczyć na pomyślność? Uśmiechnęła się do siebie, rozbawiona tym, że można wierzyć w takie bzdury, ale wyszła na podwórze i poszukała miejsca, w którym nic jej nie zasłaniało widoku na księżyc, ani drzewa, ani dachy.

Cóż, stary, dobry księżycu, jeśli kiedykolwiek chora z miłości dziewczyna potrzebowała twojej pomocy, to właśnie ja.

Tu jestem....

- Długo jeszcze szanowny pan chce czekać? - zapytał wysoki mężczyzna w szarym płaszczu, opierając się o ścianę i ssąc niezapaloną fajkę. - Niedługo świt. Jeśli ta dama jeszcze się nie pokazała, to raczej już nie wyjdzie.

- Jak chcesz zarobić - rzucił Westbrook - to będziesz czekał, jak długo zechcę.

Mężczyzna wzruszył ramionami i oparł się wygodniej o mur, podczas gdy jego towarzysz o rażąco żółtych włosach drzemał na siedząco, opierając głowę na kolanach.

Westbrook z niepokojem potarł ręką brodę. Ci dwaj marnie nadawali się na złoczyńców, ale kiedy wpadł mu do głowy ten plan, w gospodzie nie było nikogo innego. Zresztą, kiedy już spełnią swoją rolę, wtopią się w uliczki Londynu i nikt ich nie znajdzie, a o to przecież Westbrookowi chodziło. Nie zdradził im swego nazwiska, nie pytał również ich, jak się nazywają. I, naturalnie, nie zdradził im nazwiska Amariah Penny. Im mniej wiedzą, tym lepiej.

Wsunął ręce do kieszeni i jeszcze raz wyjrzał zza rogu, by rzucić okiem na Penny House. Jego plan był bardzo zuchwały: zamierzał zaczekać, aż w domu zapadnie ciemność, przekraść się pod ścianą pod tylne wejście, włamać się do domu i dostać kuchennymi schodami do prywatne-

go apartamentu Amariah Penny. Był już tam, więc na pewno odnajdzie drogę.

Sprawy jednak się skomplikowały. Zaraz po przybyciu pod Penny House z tymi dwoma drabami, pod kuchenne drzwi podjechała karetka i do domu weszło dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Potem zobaczył, jak kobiety wraz z Amariah wracają do kuchni. Zapaliły świece, więc rozpoznał wszystkie trzy siostry Penny. Siedziały tam niemal w nieskończoność.

Jak miał niespodziewanie przydybać tę Penny, skoro W domu kręciło się tyle osób? Jak odpłacić jej za haniebne traktowanie? Jak zniszczyć ją tak, jak ona zniszczyła jego? Westbrook z furią obserwował siostry, klnąc swojego pecha.

A potem nagle, jakby cudem, wszystko się zmieniło. Osłupiali, gdy Amariah otworzyła drzwi, wyszła na podwórze i zapatrzyła się w niebo, bezbronna jak niemowlę.

- Idziemy, chłopaki - wyszeptał Westbrook głosem ochrypłym z podniecenia. - Szczęście jednak nam dopisało.

Guilford powoli wygramolił się z powozu i zaczął wchodzić po schodach do domu. Odźwierny otworzył przed nim drzwi i już miał je zamykać, gdy nagle z mroku wyskoczyła jakaś drobna figurka i zaczęła biec w górę po schodach.

- Znikaj, Jego Wysokość nie życzy sobie, byś biegał po frontowych schodach. - Lokaj złapał chłopca za kołnierz, żeby go wystawić za drzwi.

- Wasza łaskawość, wasza łaskawość, muszę z panem porozmawiać! - krzyknął Billy Fox, próbując wyrwać się z rąk lokaja. - To kwestia życia i śmierci!

- Puść go, Parker - polecił Guilford i spojrzał z góry na chłopca. - Ale on ma rację, Billy. Nie powinienes tu wcho-

dzień, szczególnie o tej porze. Dlaczego nie śpisz w swojej kwaterze?

- Mówiłem, wasza łaskawość, to kwestia życia i śmierci! - powtórzył chłopiec, ciężko dysząc. Bandana, którą okrywał teraz swą pokancerowaną twarz zsunęła się podczas szamotaniny, więc naciągnął ją na miejsce i przechylił głowę na bok, by obserwować Guilforda jedynym okiem. - Proszę o wybaczenie, wasza łaskawość, ale to nie może czekać! Proszę!

- Billy, jestem taki zmęczony, że mogę zaraz przewrócić się na podłogę. Mów szybko, co masz do powiedzenia, albo daruj sobie na dzisiaj.

Chłopiec kiwnął głową.

- Pilnowałem koni, to były Hop i Buck, kiedy poszedł pan dziś do Penny House, wasza łaskawość, i usłyszałem coś, co chciałem panu od razu przekazać, ale Robert odesłał mnie do domu, gdy pan wyszedł, więc mogę panu powiedzieć dopiero teraz.

- Co takiego musisz mi powiedzieć?

- Baron Westbrook chce skrzywdzić pannę Penny!

Guilford w jednej chwili zapomniał o zmęczeniu.

- Co takiego?!

- Stałem przy Hopie i Bucku, gdy baron Westbrook minął mnie, zataczając się i gadając do siebie, jakby był kompletnie pijany. Mówił, że wróci później, żeby ukarać pannę Penny, dać jej nauczkę za to, że była wobec niego taka zła.

Najpierw ten skandaliczny tekst w szmatławcu, szargający dobre imię Amariah, potem relacja Daltona o irracjonalnej nienawiści Westbrooka i jego groźbach kierowanych pod jej adresem w siedzibie „Tattle'a”, a teraz to. Wszystko zaczynało układać się w sensowną całość. Guilforda ogarnął lęk o ukończoną.

Przykucnął, by jego twarz znalazła się na wysokości twarzy chłopca.

- Jesteś pewien, że to słyszałeś? Że to był baron Westbrook?

- Odpowiedź na oba pytania brzmi: tak - odparł Billy i potarł nos rękawem. - Inni stangreci i woźnice wołali go po nazwisku, wykrzykiwali różne rzeczy i wyśmiewali się z niego, że nie ma szczęścia w grze. Tylko ja słyszałem, co mówił o panie Penny, bo siedziałem na chodniku. Niech pan wyśle jej ostrzeżenie, wasza łaskawość. Niech pan napisze słówko, żeby na siebie uważała.

- Zrobię coś więcej, Billy - stwierdził Guilford ponuro. - Zaraz do niej pojedę.

Amariah spojrzała na księżyc, pomyślała o Guilfordzie i uśmiechnęła się. Choć znajdował się daleko stąd, to jednak wypełniał jej myśli i sprawiał, że zapominała o wszystkim.

Gdy usłyszała zbliżające się kroki, było już za późno.

Odwróciła się i zobaczyła biegnącego ku niej człowieka ubranego na szaro. Instynktownie wyciągnęła ręce przed siebie, by go zatrzymać, ale złapał ją w tali i poderwał z ziemi. Krzyknęła z przerażenia, więc zakrył jej usta cuchnącą ręką. Rozpaczliwie wrywała się, kopiąc i drapiąc, by się od niego uwolnić, ale wówczas pojawił się następny mężczyzna, który złapał ją za nogi i razem wynieśli ją z zalanego księżycową poświatą podwórza w mroczny zaułek na tyłach domu.

- Macie ją! - wyszeptał ochryple trzeci mężczyzna. W jego głosie dawało się wyczuć podniecenie. Górę jego twarzy skrywało rondo kapelusza, dół zasłaniał szalik. - Dobra robota, chłopaki, dobra robota! Przynieście ją tutaj!

Pomimo przerażenia Amariah nie przestawała walczyć na-

wet w chwili, gdy rzucili ją na twarde kamienie chodnika pod murem.

- Dzika bestyjka, co? - stwierdził mężczyzna z zakrytą twarzą - Przytrzymajcie ją!

Dwaj mężczyźni rozciągnęli ją na ziemi, unieruchomili jej ręce i nogi. Wiła się, wreszcie zrzuciła z twarzy rękę mężczyzny.

- Kim... kim jesteście? - wychrypiała, walcząc o odzyskanie oddechu. - Czego ode mnie chcecie?

Szalik stłumił śmiech mężczyzny.

- Dlaczego miałbym pani zdradzić, kim jestem, panno Penny? Wystarczy powiedzieć, że jestem tu, by zapłacić pani za to, co mi pani zrobiła.

- Niczego nie zrobiłam! - zawołała rozpaczliwie. - Nie wiem nawet, kim pan jest! Ja nie...

- Dość tego - rzucił ostro mężczyzna i wepchnął jej do ust zwiniętą chusteczkę do nosa. - Podciągnąć jej spódnice.

Trzymający ją mężczyźni podwinęli jej spódnice aż do pasa, odsłaniając ciało. Poczowała na udach chłodny wiatr. Łkała z przerażenia, ale nie przestawała rozpaczliwie walczyć, by się im wyrwać. Mężczyzna nad nią ciężko dyszał z podniecenia, wyrwane guziki od spodni upadły na bruk. Amariah zacisnęła powieki, by nic więcej nie widzieć, jej twarz była mokra od łez.

- Dam ci to, na co zasługujesz, ty suko - wycedził mężczyzna przez zaciśnięte zęby, wciskając kolano między jej nogi i kładąc się na niej. - Zniszczyłaś mnie, więc teraz ja ciebie zniszczę.

- Do diabła z tobą, Westbrook! - rozległ się głos Guilforda.

Leżący na niej mężczyzna został odrzucony na bok, a Ama-

riah zdołała przekręcić się na bok. Zobaczyła Guilforda nad mężczyzną, tarzali się po ziemi, okładając się pięściami, klnąc i kopiąc.

Usłyszała dochodzące z głębi domu głosy, widać hałasy wzbudziły zainteresowanie, jej uszu dobiegły jakieś okrzyki, widziała wysuwane z okien latarenki.

Ubrany na szaro napastnik najwyraźniej również to usłyszał, bo dał głową znak współnikowi, puścili ją i rzucili się do ucieczki. Wkrótce zniknęli w mrocznej alei. Niezdarnie podniosła się na kolana, każdy mięsień w jej ciele dygotał, rozsypane włosy zakryły twarz. Płakała bez przerwy, nie mogła przestać. Próbowwała wstać.

- Amariah! - Guilford znalazł się przy niej, podniósł ją, objął, nie puszczał. - Jesteś ranna? Powiedz mi, kochanie, powiedz!

- N...nic m...mi nie j...jest - wyszlochała, czepiając się go kurczowo. - Och, gdybyś nie...

- Ale jestem - przerwał, tuląc ją w ramionach i uspokajająco gładząc jej włosy. - Ciii, wszystko będzie dobrze. Nic ci nie jest, a ja cię kocham i tylko to się liczy.

Spojrzała ponad jego ramieniem i zobaczyła, że tamten mężczyzna chwiejnie wstaje i wyciąga zza pazuchy pistolet.

- Odwróć się, Guilfordzie! - wykrzyknęła.

Natychmiast obrócił się na pięcie, nie wypuszczając jej z objęć, ale mężczyzna zdążył już unieść broń i wycelować.

- Rzuć to, Westbrook! - rzucił rozkazująco Guilford. - Nic przez to nie zyskasz.

- Nie?! - wrzasnął Westbrook, a pistolet zachwiało się w jego dłoni. - Twoja dziwka zniszczyła mi życie. Traktowała mnie jak śmiecia, wystawiła mnie na pośmiewisko całego Londynu.

- To nieprawda!

- Do licha, Guilford - warknął Westbrook roztrzęsionym głosem, a jego kciuk zaczął odciągać spust. - To prawda!

Amariah dostrzega nagły błysk, usłyszała głośną eksplozję. Przygotowała się na uderzenie pocisku i ogarnęło ją poczucie straty i buntu, że jej życie dobiegło końca, zanim się na dobre rozpoczęło. Och, Guilfordzie, nigdy już nie powiem ci, jak bardzo cię kocham, jak wiele dla mnie znaczysz, pomyślała.

Jednak krzyk bólu wyrwał się z ust Westbrooka, nie jej ani Guilforda. Z grozą patrzyła, jak Westbrook upadł do przodu, trzymając się za ramię, a pistolet wysunął się z jego palców.

- Czy pan i panna Penny nie zostaliście zranieni, Wasza Wysokość? - zapytał Fewler, stając nagle przed nimi z dymiącym pistoletem w ręku. - Przykro mi, że nie zjawiliśmy się parę minut wcześniej, by państwu tego oszczędzić.

- Dobrze przynajmniej, że teraz, a nie chwilę później - mruknął Guilford.

Obie siostry dopadły teraz Amariah, obejmowały ją z płaczem, dopytywały się, czy nic jej nie jest, całe podwórze wypełniło się ludźmi, którzy rozmawiali, krzyczeli, pokazywali coś sobie nawzajem.

Guilford wziął Amariah za ręce i odwrócił twarzą do siebie, podczas gdy pozostali cofnęli się nieco, tworząc wokół nich krąg zalany księżycową poświatą.

- Jest tylko jeden sposób, żeby to wszystko naprawić - powiedział szorstko. - Proszę cię o to przy świadkach. Czy wyjdiesz za mnie, Amariah?

Uśmiechnęła się przez łzy, a jej serce wezbrało taką miłością, że o mało nie pękło.

- Tak - szepnęła. - Tak, Guilfordzie, tak!

Następnego wieczoru, tuż przed otwarciem klubu, Amariah siedziała z Guilfordem w NOWY m salonie kiedy przyniósł im najświeższe wydanie „Covent Garden Tattle'a”.

„Prasa niezbyt chętnie i niezbyt często zamieszcza sprostowanie faktów, chyba że, jak my, nade wszystko ceni sobie uczciwość. Kiedy zostajemy wprowadzeni w błąd przez fałszywych informatorów, musimy skorygować własne błędy, by móc wrócić na drogę prawdy.

Tak się też stało w opisanym w poprzednim numerze przypadku Czerwonej Królowej, panny P***y z St. James Street i lorda G***f**da. Pragniemy wyrazić nasze najgłębsze ubolewanie tej szacownej damie i dżentelmenowi oraz nadzieję, że ten, kto dostarczył nam fałszywych informacji, zostanie ukarany przez los.

Dziś możemy podać znacznie szczęśliwszą wiadomość o tej parze. Naszych wiernych czytelników ucieszy zapewne informacja, że Jego Wysokość oświadczył się o rękę panny P***y.

Oby zostali na wieki połączeni węzłem małżeńskim!

Oby na wieki znajdowali w swych ramionach miłość i szczęście!

Oby ich związek został pobłogosławiony powodzeniem, zdrowiem i pięknymi dziećmi dla zachowania szlachetnej linii rodowej Jego Wysokości!"

Amariah podniosła wzrok znad gazety i podejrzliwie zmarszczyła czoło.

- Kiedy to napisałeś?
- Chyba wczoraj wieczorem, nie pamiętam dokładnie.
- Napisałeś to, kiedy pojechałeś do biura „Tattle'a", zanim

wróciłeś do Penny House. Napisałeś to, nim poprosiłeś mnie o rękę.

- Powiedziałem przecież, że nie pamiętam dokładnej godziny, kochanie - odparł.

- A gdybym odmówiła? - Rzuciła w niego gazetę. - Przecież mogłam tak postąpić.

Guilford zgniótł gazetę, posadził sobie Amariah na kolanach i całował tak zapamiętale, że niemal zapomniiała o tym, co czytała.

Niemal, ale nie całkiem.

- A przecież mówiłeś kiedyś, że nie potrafisz przewidywać przyszłości.

- Dla ciebie mogę zrobić wszystko - zapewnił i znów zaczął ją całować. - W przyszłości czeka cię wyłącznie szczęście i miłość twego idealnego, przystojnego męża.

- Doskonale, Guilfordzie - wyszeptała. - Doskonale.

Posłowie

Pobrali się w Penny House pewnego ciepłego słonecznego popołudnia pod koniec października, w dniu świętego Crispiana. Cassia udekorowała wszystkie pokoje kwiatami z własnych cieplarni oraz bukietami jesiennych liści, które w powszechnym mniemaniu idealnie pasowały do włosów panny młodej. Weselny obiad Bethany zadowoliłby nawet najbardziej wybredne podniebienia, a jego ukoronowaniem było prawdziwe dzieło sztuki: wielopiętrowy tort zdobiony kandyzowanymi fiołkami. Amariah, z wrodzonym wyczuciem sytuacji, przygotowała listę gości zaproszonych na to najbardziej oczekiwane wydarzenie towarzyskie sezonu. Listę otwierał książę krwi, a kończyło kilku pastorów z najszacowniejszych parafii Londynu.

Największym sukcesem Amariah było zwycięstwo nad siostrą Guilforda, lady Frances Carroll. Umiejętnie łącząc takt, rozsądek i urok osobisty zdołała do dnia ślubu oczarować lady Frances do tego stopnia, że ta ogłaszała wszem i wobec, że Amariah będzie wręcz wymarzoną księżną.

Najważniejsza część ceremonii nastąpiła jednak po ślubie i weselnym przyjęciu. W ślubnej sukni, w diademie z pereł i brylantów we włosach, ze ślubną wiazańką w dłoni Arna-

riah pojechała wraz z Guilfordem otwartym, udekorowanym kwiatami powozem do White'a. Tam z pewnością siebie nabytą w roli gospodyni Penny House minęła osłupiałego odzwiernego i zdecydowanym krokiem weszła przez święte wierzeje, kierując się prosto do księgi zakładów.

- To niespotykane, panno....eee... chciałem powiedzieć Wasza Wysokość! - zaprotestował oburzony kierownik klubu, który wyrósł nagle u boku Amariah. - Chyba zna pani reguły, stanowczo zakazujące damom wstępu do klubu!

- Oczywiście - odparła Amariah z uśmiechem - ale to zajmie najwyżej chwilę, obiecuję wyjść, zanim którykolwiek z dżentelmenów zdąży zaprotestować. Znalazłeś to już, Guilfordzie?

- Błagam, Wasza Wysokość. Proszę natychmiast zabrać stąd Jej Wysokość!

- Przykro mi, Duncanie - odparł Guilford, przerzucając stronicę księgi. - Nigdy nie miałem kontroli nad postępowaniem tej damy i nie sądzę, by coś się w tej dziedzinie mogło zmienić. O, tutaj jest, kochanie. „Dwadzieścia gwinei, że panna Amariah Penny, jędza z Penny House, nigdy nie wyjdzie za mąż”.

- Wygląda na to, że przegrałeś.

- Wcale nie przegrałem - oświadczył, wpisując rezultat zakładu do księgi. - Bo tym razem przegrana okazała się w istocie wygraną.

Uśmiechnęła się do niego i przysunęła twarz do pocałunku.

- Zapłać, Guilfordzie - szepnęła.